

ŻYĆ JAK NA ZACHODZIE
Co afera GetBack mówi
o dzisiejszej Polsce

POTĘPIONA ANTYKONCEPCJA
Znamy kulisy decyzji
Pawła VI sprzed pół wieku

GŁÓD FESTIWALI
Muzyka najsilniej
porusza w wakacje

WSIADAJ BRACIE
Marek Bieńczyk rusza
autostopem w Europę

Kraków 22 lipca 2018 nr 30 (3602)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

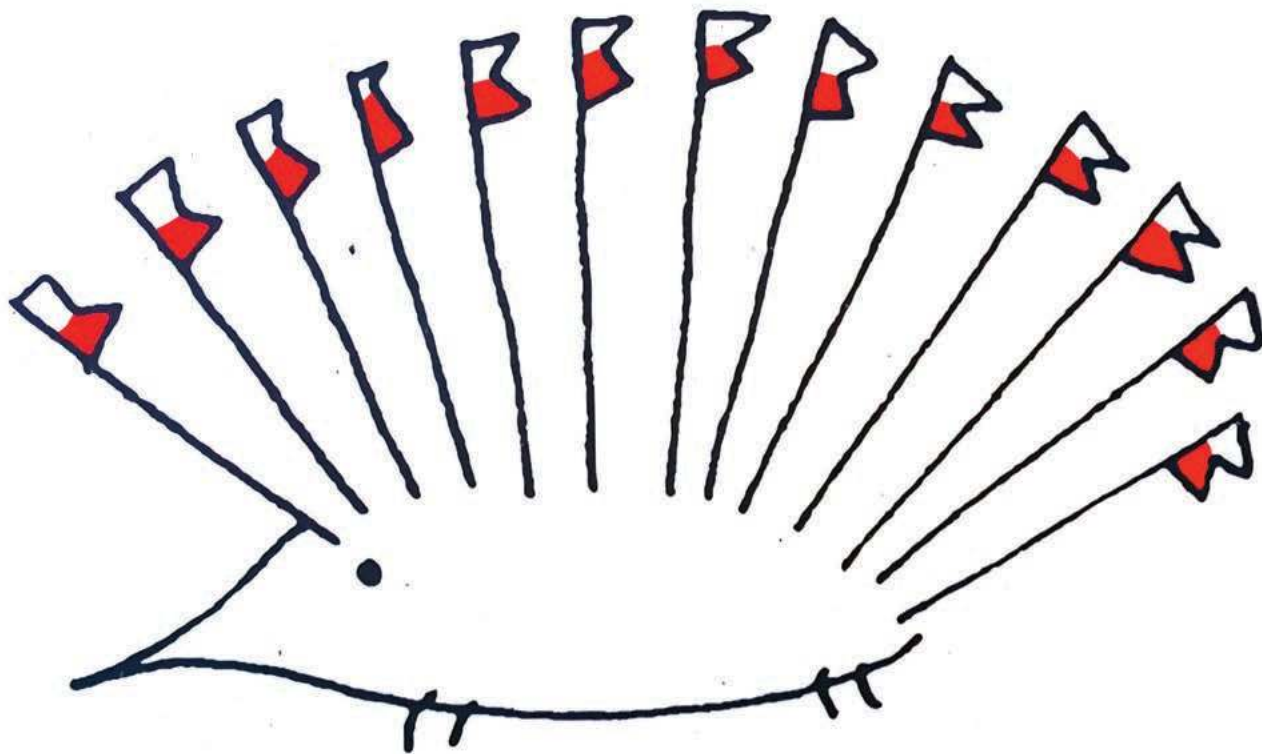
TYGODNIK POWSZECHNY

Na tropie polakożerców

Fakty i mity
o antypolonizmie

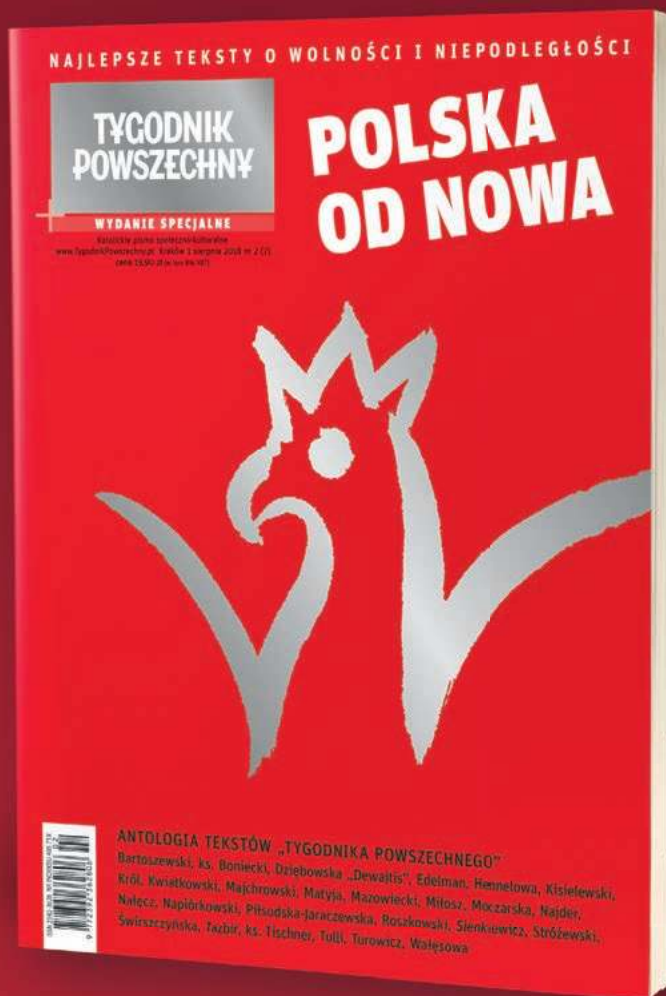
Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



PREMIERA

**Już 1 sierpnia w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”**



„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.

Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.

W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Wkrótce w salonach prasowych oraz w e-wydaniu

KS. ADAM

Boniecki: 50 lat „*Humanae vitae*”

BYLEM JUŻ OD OŚMIU LAT KSIĘDZEM, GDY 25 LIPCA 1968 r. Paweł VI ogłosił encyklikę „*Humanae vitae*”. Nie była dla mnie zaskoczeniem. Wychowano nas w duchu dyscypliny kościelnej, a sprawę antykoncepcji stawiano jasno: jest grzechem. W seminarium profesor teologii moralnej (późniejszy arcybiskup szczeciński), powołując się na jakiś dokument (nie pamiętam, czy polskiego episkopatu, czy ogólnokościelny), kładł nam do głowy, że na spowiedzi mamy obowiązek pytać małżonków o sprawy związane z regulacją urodzin, że od tego, kto używa środków antykoncepcyjnych, mamy wymagać „mocnego postanowienia poprawy”, czego wyrazem powinna być obietnica zniszczenia posiadanej w domu rezerwy. Przez te osiem lat, choć – Boże, daruj! – nie wypytywałem, mogłem stwierdzić, jak nie zawsze (a jeśli już, to raczej z trudem) trafia do moich rozmówców wyjaśnienie, że każdy akt małżeński ma zachować swoje wewnętrzne przeznaczenie do przekazywania życia i że jednocześnie moralnie dopuszczalne jest korzystanie z okresów niepłodności, których możliwie najlepsze rozpoznanie papież polecał ludziom nauki.



Encyklikę odebrałem z uczuciem ulgi. Papież zwrócił się do księży i jakby czując, że przedstawiona w niej argumentacja może nie być wystarczająca, ostatecznie odwoływał się do autorytetu Urzędu Nauczycielskiego: „Rozumiecie przecież, że takie posłuszeństwo wiąże Was nie tyle ze względu na racje, któreśmy wyżej przytoczyli, ile raczej ze względu na światło Ducha Świętego, którym cieszą się szczególnie Pasterze Kościoła w nauczaniu Prawdy. Wiecie również dobrze, jak wielkie znaczenie dla zachowania pokoju sumień i jedności ludu chrześcijańskiego posiada to, by tak w dziedzinie moralności, jak i w sprawach dogmatycznych wszyscy byli posłuszni Nauczycielskiemu Urzędowi Kościoła i mówili jednym językiem”. Ucieszyłem się zaleceniem „wyrozumiałości i miłości” w konfesjonale – być jak Chrystus, który „przyszł do nie po to, aby świat sądzić, lecz aby go zbawić”.

Encyklika wywołała burzę protestów. Pawła VI atakowała prasa laicka, katolicka zaś (na Zachodzie) nie za bardzo papieża broniła, a często wprost przeciwnie. Pojawiły się łagodzące myśli papieża komentarze episkopatów, że np. decyzja o korzystaniu z antykoncepcji to sprawa sumienia itp., które Watykan dementował. Za dopuszczalnością antykoncepcji opowiadały się

takie teologiczne autorytety jak o. Bernard Häring czy Karl Rahner.

W konfesjonalach dokonywała się konfrontacja nauki Kościoła z życiem. Spotkałem wiele małżeństw stosujących naturalne metody i oceniających je bardzo pozytywnie. Zrobiłem kiedyś wywiad z daleką od Kościoła panią profesor ginekolog, która uważała te metody za najwłaściwsze i – jak mówiła – jedyne ekologiczne (wywiadu „Tygodnik” nie wydrukował). Spotkałem też wielu, którzy, choć katolicy, sięgali po antykoncepcję i nie interesowali się kościelną argumentacją. Prosiłem ich, by – w akcie dobrej woli – przynajmniej się z nią zapoznali. Mam wrażenie, że większość spraw metod naturalnych uznała za zawracanie głowy. Ufali silnie propagowanej w Polsce antykoncepcji. Wielu, znając stanowisko Kościoła, przestało przystępować do spowiedzi i komunii.

Trudno przewidzieć, na czym może polegać zapowiadana przez papieża Franciszka reinterpretacja encykliki „*Humanae vitae*”. Nauczanie Pawła VI i następców w tej kwestii jest obszerne i jednoznaczne, i nie da się tego po prostu unieważnić. (O encyklice pisze także Artur Sporniak w dziale Wiara).

Komisja studiująca na polecenie papieża genezę i proces powstawania tej encykliki (patrz artykuł o wynikach tych prac opisanych w książce ks. Gilefreda Marengo) ma być punktem wyjścia do ukazania w nowym świetle stanowiska Kościoła co do moralnej oceny antykoncepcji. Spekulacje, na czym to będzie polegało, idą w różne strony. Papież nie może wbrew dotychczasowemu nauczaniu Kościoła ogłosić, że to, co dotąd było grzechem, już grzechem nie jest, a wskazania zawarte w encyklice, oparte na teoretycznych spekulacjach, to niedościgły ideał, ku któremu należy dążyć, lecz ich realizacji tu i teraz nie można pod grozą grzechu wymagać od wszystkich. Słychać też głosy, że Franciszek, tak jak zlikwidował różnice między sakramentalnym małżeństwem i konkubinatem (oczywiście nie zlikwidował!), teraz otworzy antykoncepcji drzwi katolickiej moralności, co oczywiście nie nastąpi.

Paweł VI ogłaszając „*Humanae vitae*” powołał się na autorytet Nauczycielskiego Urzędu Kościoła. Po pięćdziesięciu latach papież Franciszek, rewidując i aktualizując nauczanie poprzednika, też na autorytet swego Urzędu się powoła. Kościół nie jest skamienieliną ani archiwum akt dawnych i niedawnych. ©

TP

Spotkania z autorami „TP” na festiwalu #Będzieczytane

EŁK, 28-29 LIPCA

Ks. Adam Boniecki, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Wojciech Jagielski oraz Andrzej Stasiuk

(tym razem z zespołem **Haydamaky**) – z naszymi autorami będzie można się spotkać w wakacyjny weekend w Ełku, na festiwalu literacko-muzycznym #Będzieczytane. W programie także targi książki, wydarzenia dla dzieci, koncert **Katarzyny Nosowskiej i Pablopavo**. Szczegółowy program na stronie: **bedzieczytane.pl**. Zapraszamy!

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Trump, czyli zgaduj-zgadula
OLAF OSICA

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

81 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Duży może wszystko
MAREK RABIJ: *Co afera GetBack mówi o dzisiejszej Polsce*

24 Dla świętego spokoju
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
W Biłgoraju pamięć o zmarłych klóci się z biznesem żywych

27 Ofensywa trawników
PIOTR KOZANECKI: *Od czterech lat idzie miejska zielona zmiana*

■ ■ WIARA

30 Koncepcja mniejszości
ARTUR SPORNIAN: *Znany kulisy decyzji Pawła VI o zakazie antykonsepcji sprzed pół wieku*

34 Przegrany uśmiechnięty
KAROL KLECZKA: *Burmistrz Florencji Giorgio La Pira został kandydatem na ołtarze*

36 Przystanek Łódź
MACIEJ MÜLLER: *Ks. Lemański wraca do pracy duszpasterskiej*

37 Netflix dla wierzących
BARTOSZ JÓZEPIAK: *Dominikanie zapowiadają portal wideo z kazaniem na każdą okazję*

■ ■ ŚWIAT

40 Wioska Asteriksa
MARTA PALUCH o mieszkańcach serbskiego miasta Kozarac

44 Na końcu kolejki
DARIUSZ ROSIAK: *Okolobrexitowe wrzenie sięga zenitu*



BEATA ZAWIRZEL / REPORTER

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

10 Apetyt na polakożerców
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Antypolonizm jest dziś poręcznym narzędziem opisu transformacji ustrojowej, historii, kultury i polityki. Pozwala wyjaśnić upadek fabryki, oscarowy sukces „Idy” czy program nielubianej partii. Tłumaczy wręcz wszystko.

14 Problem polsko-polski
ROZMOWA Z PROFESOREM YEHUDĄ BAUEREM,
HISTORYKIEM

Prawdziwym przedmiotem debaty wokół polsko-izraelskiej deklaracji premierów jest walka narodowego, prawicowego rządu z polskim liberalnym społeczeństwem.

■ ■ FELIETONY ■ ■

39 SZYMON HOŁOWNIA

55 WOJCIECH BONOWICZ

74 JAN KLATA

75 PAWEŁ BRAVO

82 ANNA DZIEWIT-MELLER

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktładka: SŁAWOMIR MROŻEK „JEŻ-PATRIOTA”
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

46 Piechurzy bez granic

SZYMON ŁUCYK o francuskim marszu solidarności z imigrantami

50 Czoła ubrudzone ziemią

MICHAŁ ZIELIŃSKI: *Kurdowie z północnej Syrii i ich pasja do futbolu*

■ ■ HISTORIA

52 Siłaczka

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK
o Izabelli Broel-Plater

■ ■ NAUKA

56 Jak wskrzesić nosorożca

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA

58 Otwieracze doświadczeń

DARIUSZ KOŚCIŃSKI
o głodzie letnich festiwali

62 Dzień spalania Zbawiciela

MONIKA OCHĘDOWSKA:
Jesteśmy ledwo ucywilizowanymi plemionami, jak mówi podtytuł nowej książki Ziemowita Szczepka

65 Stepowe życie Sarmatów

PIOTR KOSIEWSKI: *Malarstwo Józefa Brandta*

68 Tango z matką

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Obietnica poranka”

69 Warto zobaczyć w TV

74 Skrzydło czeskiego tryptyku

LEKTOR o książce „Wszyscy ci wspaniali chłopcy i dziewczyny”

■ ■ ZMYŚLY

70 Ikar leci dalej

MICHAŁ OKOŃSKI
na zakończenie mundialu

■ ■ WAKACJE

76 Wsiadaj bracie, dalej, hop

MAREK BIEŃCZYK *rusza autostopem w Europę*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenken, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotorecenzja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



OBRAZ
TYGODNIA

TRUMP, CZYLI ZGADUJ-ZGADULA

Tournée prezydenta USA po Europie – od Brukseli przez Londyn do Helsinek – pokazało polityka w pełni świadomego swych celów, słów i czynów.

OLAF OSICA

PAŃSTWA NATO MUSZĄ PŁACIĆ WIĘCEJ, USA muszą płacić mniej” – grzmiał na Twitterze Donald Trump przed szczytem NATO w Brukseli, aby parę dni później ogłosić swój sukces: „NATO jest silne i bogate”. W międzyczasie prowadził rozmowy i udzielał wywiadów, w których na przemian straszył, ganił lub chwalił swoich europejskich „wrogo-partnerów”.

Prosty język i równie proste komunikaty Trumpa są traktowane czasem jako przejaw jego oderwania od rzeczywistości, jego politycznej niedojrzałości i triumfu charakteru nad zdrowym rozsądkiem. Nic bardziej zgubnego. Tournée prezydenta USA po Europie – od Brukseli przez Londyn do Helsinek – pokazało polityka w pełni świadomego swych celów, słów i czynów.

Po pierwsze, Trump prowadzi nieustającą komunikację ze swymi wyborcami, a nie z partnerami zagranicznymi. Tych drugich traktuje jak przeciwników, dla których jedynym zbawieniem jest oddanie pieniędzy lub zostanie klientem amerykańskich firm: producentów uzbrojenia lub energii. Podczas konferencji na zakończenie szczytu NATO Trump jak mantrę powtarzał, że zmusił sojuszników do płacenia miliardów więcej na obronę, traktując pytania o strategiczne przesłania Sojuszu zdawkowo.

Po drugie, dla Trumpa wydatki na obronę, energetykę i handel są jednym pakietem spraw, których wspólnym mianownikiem jest wroga interesom USA polityka Europy, zwłaszcza Niemiec. Taka strategia dobrze wygląda w mediach, ale jest pozbawiona szans na sukces.

*Prezydenci
Donald Trump
i Władimir
Putin
w Helsinkach,
16 lipca 2018 r.*

→ NATO to pakt obronny i nie ma na rządzi do kształtowania polityki energetycznej sojuszników – tak jak kwestie wymiany handlowej przynależą do Unii, która z kolei ma niewiele wspólnego z budżetami obronnymi swych członków.

I tu dochodzimy do kolejnego elementu: Trump doskonale wie, że wiele jego słów i gróźb jest mocno na wyrost, gdyż wymaga długich i skomplikowanych negocjacji na różnych forach. Wie też, że bez zgody Kongresu nie wycofa się z NATO, czym miał grozić, ani nie nałożyć sankcji na firmy zaangażowane w budowę Nord Stream 2. Wie też, że sojusznicy nie zwiększą wydatków na obronę w żądanym przez niego czasie, a pułap 2 proc. jest dziś nierealny. Wystarczy zresztą przeczytać tekst podpisanej przez niego deklaracji na zakończenie szczytu.

Dlaczego więc to robi? Optymiści powiedzą, że jest to brutalna, ale nie pozbawiona racjonalności taktyka negocjacyjna, która wstrząśnie Europą, przyczyni się do oczyszczenia atmosfery i przyniesie poprawę w stosunkach USA–Europa. Patrząc na szczyt NATO od strony deklaracji i decyzji, a nie narracji Trumpa, nie ma rzeczy niepokojących. Zaangażowanie na wschodniej flance zostało potwierdzone, tak jak zgoda, że Rosja prowadzi agresywną politykę i trzeba mieć na to odpowiedź. I jest to dobra wiadomość dla Polski (tekst ukończono przed końcem rozmów Trumpa i Putina w Helsinkach).

Pesymiści będą (nie bez racji) dowodzić, że strategią Trumpa jest rozbijanie współpracy atlantyckiej, a jej niespójność jest pozorna, bo konsekwentnie buduje on pretekst dla wycofywania USA z sojuszniczych zobowiązań. Ale do tego potrzebuje więcej sojuszników w samych Stanach, zwłaszcza pozbawionego atlantyckiego sentymentu Kongresu, oraz twardego brexitu i upokorzonych Niemiec. Wszystkie te elementy będą się decydować w nadchodzących latach.

Nie przesadzając więc, kto ma rację, ta podróż nie powinna nikomu – tak że w Polsce – pozwolić na to, aby czuć się bardziej komfortowo i bardziej bezpiecznie.

© OLAF OSICA

Tekst ukończono 16 lipca w południe.
Więcej na: powszech.net/trump-putin

NATO–Rosja: front macedoński

PIOTR OLEKSY



ZGODNIE Z PRZEWIDYWANIAM, POROZUMienie w sprawie nazwy państwa Macedonia (nowa ma brzmieć: Republika Północnej Macedonii) skutkuje zaproszeniem dla tego kraju do podjęcia rozmów akcesyjnych z NATO. Taki historyczny rezultat przyniósł szczyt Sojuszu 11 lipca. Powodzenie rozmów będzie kolejną porażką Rosji na Bałkanach – wcześniej, w maju 2017 r., do NATO przystąpiła Czarnogóra.

Od dawna mówiło się, że Moskwa podsyca grecko-macedońskie animozje, utrudniając rozszerzenie Sojuszu. Ateny potwierdziły to w przededniu szczytu: z Grecji wydano dwóch rosyjskich dyplomatów i zakazano wjazdu do kraju dwóm kolejnym. Ro-

sjan oskarżono o zaangażowanie w organizację manifestacji przeciw ugodzie z północnym sąsiadem i próby przekupstwa urzędników. Sprawa musi być poważna, gdyż Grecję z Rosją łączą przyjazne stosunki. Ateny nie przyłączyły się do państw Zachodu, gdy te wydalały rosyjskich dyplomatów po próbie otrucia Skripalów. Potężne manifestacje, gromadzące do 100 tys. Greków, nie mogły być oczywiście jedynie efektem działań „niewidzialnej ręki Kremla”. Konflikty o tożsamość rozpalają emocje w tej części świata i bez niej. Ale Moskwa umie je wykorzystać, łącząc swe potrzeby z interesami lokalnej opozycji i resentymentem znacznej części greckiego społeczeństwa. ©



PONAD 128 OSÓB

zginęło w najtragiczniejszym od czterech lat zamachu samobójczym w Pakistanie, do którego doszło podczas wiecu wyborczego w okolicach miasta Kweta. Do zamachu przystąpiło się tzw. Państwo Islamskie. 25 lipca w kraju odbędą się wybory, które, jak ogłoszono po zamachu, ma ochraniać 371 tys. żołnierzy. © ŻYM

ARSHAD BUTT / AP / EAST NEWS

Koniec „zimnej wojny” między Etiopią i Erytreą

KIEDY ZAWARTO POROZUMIENIE i odblokowano połączenia, rozdzwoniły się telefony – krewni po obu stronach granicy nie słyszeli się od lat. Wojna etiopsko-erytryjska trwała od 1998 r. i z czasem przerodziła się w konflikt „zamrożony”. Pojednanie zaskoczyło więc wielu: od obywateli obu państw (porównują je do upadku muru berlińskiego) po komentatorów na Zachodzie, którzy pochylają się nad fenomenem Abiyya Ahme-

da, młodego premiera Etiopii (zniósł już stan wyjątkowy i umożliwił funkcjonowanie mediom opozycyjnym).

To jednak tylko część tej historii. Układ z Etiopią podpisał kilka dni temu 72-letni prezydent Erytrei Isaias Afwerki, rządzący krajem od uzyskania niepodległości (1993 r.). To jego rząd zawiesił kiedyś konstytucję i zamienił 18-miesięczną służbę wojskową w pobór bezterminowy. Erytryjska diaspora w świecie, wśród niej wielu uchodźców, obawia się, że ceną za koniec „zimnej wojny” będzie uwiarygodnienie władzy – jego i popierającej go kliki generałów. © ŻYM

Imigranci tak, byle nasi

ROZMOWY MINISTERSTWA Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej z rządem Filipin o sprowadzeniu pracowników do Polski świadczą o tym, że antymigracyjne fobie PiS-u nie kończą się nawet tam, gdzie zaczynają się problemy krajowego rynku pracy.

Filipińczykom zależy na tym, by osoby, które przyjeżdżałyby do pracy, miały zagwarantowaną pracę i mieszkanie – wyjaśniał wiceszef resortu Stanisław Szwed, uściślając, że chodzi głównie o opiekunów dla osób starszych. Minister nie zdradził, dlaczego rząd wybrał akurat Filipiny, skoro wcześniej nie zgadzał się na zgłaszane wielokrotnie prośby polskich pracodawców o uproszczenie procedur dla pracowników z Indii, Wietnamu czy Nepalu. Być może na korzyść Filipin przemawiała dobra opinia, jaką tamtejsze pielęgniarki i opiekunki cieszą się od lat na Bliskim Wschodzie. Z pewnością nie chodziło o różnicę siły nabywczej, w tej części świata są bowiem państwa, których mieszkańcy mogliby mieć w Polsce jeszcze mniejsze oczekiwania płacowe niż Filipińczyk.

W Azji nie ma jednak drugiego kraju, w którym katolicy stanowiliby ponad 80 proc. populacji, a chrześcijanie ogółem – ponad 90 proc. Politycy PiS-u z pewnością będą mogli wykorzystać ten argument, odpowiadając na zarzuty braku konsekwencji w polityce migracyjnej rządu, która do tej pory sprowadzała się w zasadzie do zamknięcia granic przed obcymi.

Bez względu na ich kompetencje.

© P MAREK RABIJ

Jak (nie) działa ustawa

MIAŁ BYĆ DOSTĘP DO REHABILITACJI, bez kolejek i limitów. To główne – obok zniesienia skierowań do specjalistów – założenie obowiązującej od 1 lipca ustawy mającej ułatwić życie osobom ze znacznym stopniem niepełnosprawności. Nowelizacja miała być odpowiedzią na – niezrealizowany – postulat protestujących w Sejmie niepełnosprawnych i ich opiekunów, domagających się wprowadzenia 500-złotowego dodatku rehabilitacyjnego.

Po niemal trzech tygodniach od wejścia nowej prawa w życie widać, że w wielu miejscach działa ono tylko teoretycznie. Pacjenci donoszą o bałaganie, przypadkach żądania skierowania na rehabilitację czy utrzymujących się kolejkach. A rzecznik praw obywatelskich zauważa w liście do szefa NFZ, że potrzebne są większe środki na realizację ustawy, i że „wprowadzane rozwiązania w praktyce (...) nie zapewnią osobom ze znacznym stopniem niepełnosprawności zapowiadanej poprawy dostępu do opieki zdrowotnej”.

© P PW

W SKRÓCIE

PYTON. Cały kraj zajmuje się poszukiwaniem pytona tygrysięgo, którego ponad pięćciometrową wylinkę dostrzeżono pod Warszawą. Uwagi, jaką przyciąga przebywający na wolności gad z rządu łuskonośnych, nie odwróciło nawet wyznaczenie premiera Morawieckiego, że bardzo kocha furmanki i że „teoretycznie moglibyśmy się nimi szczyścić, ale przez te lata III RP wszystko to pokazywano tak, by trzeba się było tego wstydzić”.

WYWIAD. Przez lata III RP trzeba się było wstydzić także takich praktyk, jak nieoznaczanie w mediach wywiadów sponsorowanych – tymczasem z odpowiedzi ministerstwa kultury na interpelację poselską wynika, że Muzeum II Wojny Światowej przekazało tygodnikowi „Sieci” sumę 25 092 zł za publikację rozmowy ze swoim dyrektorem w związku z rocznicą wybuchu II wojny światowej.

ZWYCIĘSKO. A propos rocznic: pod Grunwaldem odbyła się inscenizacja bitwy z 1410 r. Obecnie na miejscu media donoszą w niesponsorowanych relacjach, że wojska polsko-litewskie i tym razem zdołały wyjść ze starcia zwycięsko.



PIOTR PLACZKOWSKI / REPORTER

NAGIE MIECZE. Jak zakończy się starcie w wyborach prezydenckich, nie wiemy, choć wiemy, że Donald Tusk zadeklarował chęć wzięcia w nich udziału, gdyby jego rywalem był Jarosław Kaczyński. Rzeczniczka PiS Beata Mazurek uznała to za „rejteradę” przed prezydentem Dudą, ale sejmowa komisja śledcza ds. Amber Gold na wszelki wypadek zadeklarowała, że zamierza przesłuchać.

NIECH ŻYJE NAM PREZES.

„Cenię go i szanuję, a on też jest dla mnie miły. Uważam przy tym, że to dla mnie zaszczyt, iż mogę z nim od lat współpracować” – to mówiłem ja, Karski Karol, europoseł pierwszej klasy, w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

Bunt sędziów tłumiony ustawą



ANDRZEJ STANKIEWICZ

WOBAWIE PRZED BUNTEM SĘDZIÓW PiS przygotował przepisy, które pozwolą na szybsze przejście Sądu Najwyższego. Przy okazji, po cichu, pokazał, jak chce przygotować nowe sądowe kadry.

Do tej pory, żeby wybrać nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, trzeba było najpierw rozszerzyć skład do co najmniej 110 sędziów. W najnowszej ustawie próg ten został jednak obniżony do 80 sędziów, a przepisy tak skonstruowano, by obóz władzy w pełni kontrolował ów wybór.

Nowelizacja poza tym ogranicza możliwość blokowania rekrutacji do SN. To dowód, iż władza wystraszyła się buntu sędziów, którzy zapowiadali, że będą masowo składać wnioski o awans po to tylko, by utrudnić postępowanie – choćby przez odwołania.

Jest też trzeci element. Nowelizacja wprowadza nowy rodzaj aplikacji – aplikację uzupełniającą. Ma ona „ułatwić dojście do zawodu sędzięgo” referendarzom sądowym oraz asystentom sędziów. Będzie trwała 1,5 roku, a zatem dwa razy krócej od aplikacji sędziowskiej.

PiS potrzebuje swych sędziów od sądów rejonowych po Sąd Najwyższy, który jest ostatnim bastionem oporu środowiska sędziowskiego, ale z dnia na dzień słabszym.

Obóz władzy konsekwentnie prowadzi procedurę usuwania zeń sędziów, którzy przekroczyli obniżony wiek emerytalny. Podporządkowana PiS Krajowa Rada Sądownictwa przedstawiła już swych kandydatów do egzekucji. Jest wśród nich sędzia Józef Iwulski, który kieruje SN w zastępstwie będącej na urlopie pierwszej prezes Małgorzaty Gersdorf. O jego losie zdecyduje prezydent, ale Iwulski ma małe szanse – coraz więcej wiadomo o procesach, w których sądził opozycjonistów w stanie wojennym.

Tyle że usunięcie Iwulskiego odgrzeje spór o status Gersdorf. Jej konstytucyjna kadencja kończy się za dwa lata. Obóz władzy dowodzi jednak, że z racji wieku przestała być czynnym sędzią, więc prezesem SN po prostu być nie może. Skoro władza obniża próg potrzebny do wyboru jej następcy, jednocześnie ogłaszając nabór nowych sędziów do Sądu Najwyższego, to sygnał jest jasny. Żadnych ustępstw. ©

Autor jest dziennikarzem onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Szczególny status judaizmu

KAROLINA
PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU



TEGO ESEJU BENEDYKT XVI NIE planował publikować. Miał pozostać jego prywatną refleksją. Zgodził się jednak, przekonany przez kard. Kurta Kocha (przewodniczącego Papieskiej Komisji ds. Relacji Religijnych z Judaizmem) argumentem, że będzie wkładem w dialog katolicko-żydowski. Papieski tekst „Miłosierdzie i powołanie bez odwołania” z października 2017 r. opublikował w najnowszym wydaniu „Międzynarodowy Przegląd Teologiczny Communio”.

Benedykt zastanawia się nad tzw. „teorią zastępstwa” i „przymierzem nigdy nie zerwanym”. „Obie tezy – pisze papież – że Izrael nie jest zastąpiony przez Kościół, i że przymierze nigdy nie zostało rozwiązane, są w zasadzie poprawne, ale jednak w wielu aspektach są niedokładne i muszą zostać dalej krytycznie przeemyślane”. O przymierzu „nigdy nie zerwanym” pisze, że jego formuła „stanowiła stanowczo dużą pomoc w pierwszej fazie nowego dialogu między Żydami a chrześcijanami, ale na dłuższą metę nie jest wystarczająca, by dostatecznie wyrażać wielkość rzeczywistości”.

Kościół odrzuca, jak zauważa dalej, „mesjanizm polityczny”: uznanie Watykanu dla powstania państwa Izrael nie wynika z refleksji teologicznej, lecz z „naturalnego prawa” Żydów do posiadania własnego miejsca na ziemi. Wciąż jednak istnienie państwa można „w szerszym znaczeniu uznać jako wierność Boga wobec ludu Izraela”.

„Judaizm z chrześcijańskiego punktu widzenia – pisze Benedykt – ma zawsze status specjalny”. „Znajduje się w szczególnej sytuacji i jako taki musi być widziany przez Kościół”. ©

Cytaty za KAI

W SKRÓCIE

KSIĄDZ... GŁODUJE. Włoski zakonnik ze zgromadzenia kombonianów, 79-letni o. Alex Zanotelli, rozpoczął strajk głodowy. To odpowiedź duchownego na decyzję ministra spraw wewnętrznych Matteo Salvini, który nakazał zamknięcie włoskich portów dla prywatnych ratowników morskich niosących pomoc uchodźcom.

HODUJE. 32-letni wikary z parafii w Gorzowie Wielkopolskim hodował liście konopi indyjskich – donoszą tamtejsze media. Plantację marihuany oraz ciasteczka z marihuaną odkryto w jego mieszkaniu na plebanii przy ulicy Gwiazdziej. Wikary został zatrzymany i usłyszał zarzuty. „Uprawa konopi, pozyskiwanie marihuany, udzielanie jej innej osobie, nakłanianie do składania fałszywych zeznań”. Ksiądz przyznał się już do części zarzutów.

OBRADUJE. Patriarcha Babilonu kard. Louis Raphaël I Sako oraz kard. Désiré Tsarahazana z Madagaskaru, kard. Charles Maung Bo, arcybiskup Yangonu w Mjanmie, i arcybiskup z Papui-Nowej Gwinei kard. John Ribat będą przewodniczyć pracom październikowego zgromadzenia Synodu Biskupów o młodzię. Zgromadzenie biskupów odbędzie się pod hasłem „Młodość, wiara i rozeznanie powołania”.

DZIEKUJE. „Obecnie borykamy się z problemem napływu marksizmu kulturowego i genderyzmu” – mówił na antenie Radia Maryja o. Tadeusz Rydzik, nawiązując do ubiegłotygodniowego Marszu Równości w Częstochowie. Duchowny zwrócił się także do Roberta Winnickiego, posta i lidera Ruchu Narodowego, i podziękował mu za „postawę patriotyczną i katolicką”. Koledzy Winnickiego, stojąc na jasnogórskich błoniach z transparentem „Dziś homoseksualizm jutro pedofilia”, zablokowali demonstrację środowisk LGBT.

PIELGRZYMUJE. O. Marek Warzecha, 52-letni zakonnik, w maju rozpoczął rowerową pielgrzymkę z Ugandy do Polski. 17-kilogramowym rowerem, wyposażonym w nawigator satelitarny, licznik kilometrów, wodę i wino do odprawiania mszy świętej, pokonał w sumie 10 tys. km. W ubiegłym tygodniu dotarł do Polski.



EPA / PAP

Dość kłamstw!

TAK DZIENNIK WŁOSKIEGO EPISKOPATU zareagował na medialne zarzuty o beczynność Kościoła wobec nasilającej się w kraju antyimigracyjnej retoryki. Przypomniał ostatnie wypowiedzi kardynałów Parolina i Bassettiego, krytykujące rząd za zamknięcie portów, i przedstawił dane o pomocy udzielanej uchodźcom.

W 2017 r. instytucje kościelne przyjęły 25 tys. imigrantów (blisko 1/5 wszystkich szukających we Włoszech schronienia). Pobyt 3,2 tys. osób pokryto wyłącznie z funduszy kościelnych (bez wsparcia środków państwowych i europejskich): koszt pokryły albo parafie (2,7 tys. osób), albo goszczące rodziny (500).

W latach 2015-18, w ramach tzw. korytarzy humanitarnych, sprowadzono drogą lotniczą 2 tys. uchodźców z krajów objętych konfliktem (na zdjęciu: grupa Erytrejczyków i Somalijszyków na lotnisku Fiumicino, czerwiec 2018), a w pierwszych miesiącach tego roku, dzięki mediacjom Kościoła, kolejne 300 osób udało się wydobyć z więzień w Libii.

W pomoc imigrantom zaangażowanych jest 60 proc. włoskich diecezji.

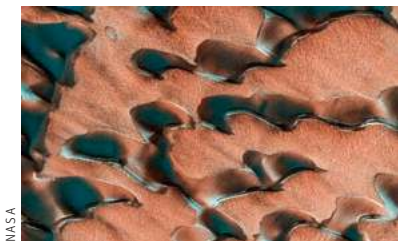
© © EA

Korepetycje z Monteskiusza

„W KONTEKŚCIE BIEŻĄCYCH SPORÓW POLITYCZNYCH” warto przypomnieć słowa Franciszka: »jeśli bracia kłócą się między sobą, poźrą ich ci z zewnątrz« – przypomniał przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki w kazaniu z okazji 550-lecia polskiego parlamentaryzmu w katedrze warszawskiej 13 lipca. Słuchali go prezydent, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz parlamentarzyści. Arcybiskup przypomniał im o sensie trójpodziału władzy, która „ma się przeciwstawić zranionej przez grzech pierwotny naturze ludzkiej, podatnej na pokusy samowoli”. Przytoczył nauczanie Katechizmu („Jest wskazane, by każda władza była równoważona przez inne władze i inne zakresy kompetencji”) oraz Jana Pawła II („Równowaga między tymi trzema władzami (...) jest gwarancją prawidłowego funkcjonowania demokracji”). © © MAM

Wydmy-widma

TAK NAUKOWCY nazywają półksiężycowate zagłębienia zaobserwowane właśnie na Marsie. Powstały, gdy lava lub niosąca osady woda zalały pola wydmy i stworzyły „odlew” ich podstaw. 3 mld lat później negatywy pozostały jak cienie dawno umarłej pustyni. Ziemskie wydmy są bogate w bakterie. Na Marsie ich ślady mogły zachować



NASA

się w ścianach odlewu. Kiedy planetę wysterylizowało promieniowanie kosmiczne, skały mogły dać schronienie niedobitkom życia. Dziś byłyby jego mauzoleum.

„Prawdopodobnie dziś nic tam już nie żyje – pisze współautorka badania, Mackenzie Day z University of Washington w Seattle. – Ale jeśli kiedykolwiek coś żyło na Marsie, to miejsce jest ponadprzeciętnym punktem dla poszukiwań”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI



PIXABAY.COM

Czego nie da ci ojciec

GRABARZ ŻÓŁTOCZARNY, niezbyt urodziwy gatunek chrząszcza, woli prosić o jedzenie matkę niż ojca – wynika z eksperymentu Matthieu Paqueta i współpracowników, w ramach którego nowo wykłute oraz jednolite chrząszcze mogły skierować się „po prośbie” do dorosłego samca lub samic. Odkryta preferencja była u obu grup równie silna, z czego wynika, że musi być wrodzona. © PŁK

Alternatywny Nobel?

LEONARD NEUGER



WIEMY JUŻ, że w 2018 r. LITERACKA Nagroda Nobla nie zostanie przyznana, a jeśli w ogóle, to z rocznym opóźnieniem. Będzie Nobel alternatywny.

Akademii Szwedzką, powołaną w 1768 r. przez króla Gustawa III i na mocy testamentu Alfreda Nobla przyznającą literacką nagrodę jego imienia, pogrążył w kryzysie skandal obyczajowy. Skandal zresztą kryzysu nie zainicjował, tylko go zradycalizował. „Nieśmiertelność” członków, mająca zapewnić ich niezależność, stała się kulą u nogi. Od 1989 r. kolejni rezygnowali – a póki żyją, nie można ich zastąpić. Dziś z osiemnastu zostało dziesięć, co paraliżuje pracę Akademii. Okazało się też, że jej członkowie z największym trudem znoszą się nawzajem, a decyzje objęte ścisłą tajemnicą wyciekały.

No i mamy ponad stuosobową Nową Akademię, która skrzyknęła się sama i składa się z wydawców, dziennikarzy, krytyków i działaczy kulturalnych. Przyzna jednorazowo, kopiując terminarz Aka-

demii Szwedzkiej, Nową Nagrodę Literacką. 46 kandydatur – większość zresztą z żełaznego grona potencjalnych noblistów – zgłosili bibliotekarze, do końca lipca podane będą one publicznemu głosowaniu, z finałowej czwórki wyłoniony zostanie laureat i Nowa Akademia się rozwiąże. Czwórka powinna się składać w połowie z pisarek.

Rada podkreśla, że „literatura wiąże się z demokracją, otwartością, empatią i szcunkiem, a nie z przywilejami, mataczeniem, arogancją i seksizmem”. Miejsce arystokratycznego „ja” (geniusz+smak) zajmie demokratyczne „my/oni” plus statystyka i wyczucie bibliotekarzy. Empatia, otwartość, szacunek – wszystko to wpisuję w rubrykę „pobożne życzenia”. Trzymam kciuki, ale też liczę na sukces nowego statutu starej Akademii, nad którym pracuje król Karol XVI Gustaw. Bo gmach oświeceniowych podstaw, na których zbudowana jest cywilizacja Zachodu, na naszych oczach pęka. ©



KAROLINA STĘPIEŃSKA / SLOT ART FESTIVAL

MÓWI SIĘ O NIM: „ŻYWY ORGANIZM” – bo co roku wskrzesza opuszczony, większy od Wawelu, kompleks dawnego opactwa cystersów. Między 10 i 14 lipca Slot Art Festival, największe w Polsce święto kultury alternatywnej, zgromadzi w Lubiążu k. Wrocławia tysiące uczestników. Przyciągnęły ich koncerty, warsztaty i spotkania, ale też przyjazna dla wszystkich pokoleń przestrzeń bez przemocy i używek, oraz hasła: „twórczość i rozwój”, „wolność”, „spotkanie”, „miłość”, „Bóg” – którymi opisuje się „festiwalowe DNA”. W tym roku „Tygodnik” był współgospodarzem Sfery Dialogu, pasma spotkań i wykładów. O Slot Art Festival czytaj także w felietonie Pawła Bravo. © PŁK



APETYT NA POLAKOŻERCÓW

Antypolonizm jest dziś poręcznym narzędziem opisu transformacji ustrojowej, historii, kultury i polityki. Pozwala wyjaśnić upadek fabryki, oscarowy sukces „Idy” czy program niepopularnej partii. Tłumaczy wręcz wszystko.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Agata Kulesza i Agata Trzebuchowska
w filmie „Ida” Pawła Pawlikowskiego

MATERIAŁY PRASOWE

BYŁ RANEK, 4 LIPCA 2018 R. ZA CHWILĘ miliony ludzi na całym świecie miały przeczytać słowo „antypolonizm”. Większość z nich zapewne po raz pierwszy.

Tydzień wcześniej premierzy Mateusz Morawiecki i Benjamin Netanjahu podpisali wspólną deklarację poświęconą relacjom polsko-izraelskim. Deklaracja towarzyszyła wycofaniu się Polski z przepisów znowelizowanej ustawy o IPN przewidujących odpowiedzialność karną za przypisywanie Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy. Dokument został opublikowany jako płatne ogłoszenie w kilkunastu najbardziej opiniotwórczych dziennikach Europy, potem – w gazetach izraelskich, wreszcie – w USA. Wspólna deklaracja miała zakończyć kryzys wizerunkowy trwający od wprowadzenia kontrowersyjnej nowelizacji.

W tekście czytamy między innymi: „Nie zgadzamy się na działania polegające na przypisywaniu Polsce lub całemu narodowi polskiemu winy za okrucieństwa popełnione przez nazistów i ich kolaborantów z różnych krajów. Smutna prawda jest niestety taka, że w tamtym czasie niektórzy ludzie – niezależnie od pochodzenia, wyznania czy światopoglądu – ujawnili swe najciemniejsze oblicze”. Oraz: „Oba rządy z całą mocą potępiają wszelkie formy antysemityzmu oraz dają wyraz swemu zaangażowaniu w zwalczanie jakichkolwiek jego przejawów. Oba rządy odrzucają również antypolonizm oraz inne negatywne stereotypy narodowe”.

W komentarzach dla mediów Mateusz Morawiecki konsekwentnie podkreśla, że to pierwszy międzynarodowy dokument, w którym pojawiło się sformułowanie „antypolonizm”. Tym samym pojęcie to dołączyło – obok antysemityzmu, ale też rasizmu czy dyskryminacji płciowej – do nieoficjalnego słownika, z którego czerpać można, tworząc prawo i standardy kształtujące relacje dyplomatyczne. W ten sposób antypolonizm zyskał właśnie pewną formę realności. Jeżeli ktoś zaprzeczy jego istnieniu – można się będzie zawsze odwołać do opublikowanego dokumentu.

Czym właściwie jest antypolonizm?

Awans do pierwszej ligi idei

Idea antypolonizmu jest pełna paradoksów. Sprzeciwia się rozciąganiu odpowiedzialności na wspólnotę narodową, a zarazem opiera się na wizji odwiecznych i wiecznych tożsamości narodo-

wych i konfliktów między nimi. Jest silnie związana z nurtem wrogości wobec „dyktatu poprawności politycznej”, a zarazem wzywa do wprowadzania praw w imię „obrony dobrego imienia” – poprawność w czystej postaci. W ostatnich miesiącach szczególnie wyraźnie dał o sobie znać pełen sprzeczności stosunek między ideą antypolonizmu a wyobrażoną figurą Żyda. Żydzi z jednej strony okazują się ofiarami antypolonizmu lub cynicznymi jego siewcami, z drugiej – godnym naśladowania wzorem skutecznej walki ze znieśławieniami i mądrego, sprawnego budowania na arenie międzynarodowej statusu ofiary.

Antypolonizm właśnie awansował do pierwszej ligi idei. Warto jednak pamiętać o genezie tego pojęcia, którym dotychczas posługiwali się przede wszystkim przedstawiciele dość niszowej skrajnej prawicy. Wprawdzie współcześni apologeti terminu „antypolonizm” lubią przypominać, że używał go np. Jan Józef Lipski, a także że był on *explicite* zapisany w dokumentach nazistów. Ale korzenie współczesnej jego kariery wydają się sięgać znacznie płycej.

Antypolonizm to pojęcie zbudowane przez analogię czy wręcz symetrię z antysemityzmem. Dziedziczy także długą tradycję terminu „polakożerstwo” – opisującego konsekwentną antypolską politykę zaborców, przede wszystkim Niemców. Do najważniejszych teoretyków antypolonizmu wypada zaliczyć Jerzego Roberta Nowaka (historyk, publicysta), Stanisława Michalkiewicza (współtwórca Unii Polityki Realnej) czy Bogusława Wolniewicza (zmarły niedawno profesor filozofii, którego ostrzeżenia przed „podstawianiem Polski”, czyli systematycznym obarczaniem jej winą za zbrodnie III Rzeszy, wyraźnie zainspirowały autorów nowelizacji ustawy o IPN). Pojęcie to najczęściej pojawiało się w mediach związanych z Radiem Maryja, a także na łamach „Najwyższego czasu!”, „Polonii Christiana” czy „Frondy”. Oto jego wykładnia.

Odwieczny naród

Antypolonizm ma być równie stary jak Polska. Według Jerzego Roberta Nowaka – publicysty „Naszego Dziennika” i Radia Maryja – jego świadectwa można znaleźć już w kronikach średniowiecznych z okresu chrztu Mieszka I, a „skrajne przejawy średniowiecznego antypolonizmu znajdujemy w propagandzie krzyżackiej, →

→ próbującej zniesławiać Polaków jako naród”. Nowoczesny antypolonizm jako doktryna polityczna to – według Nowaka – dzieło Katarzyny II i Fryderyka II, którzy „w swych dążeniach do rozbioru ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów starali się w maksymalny sposób uzasadnić swoje roszczenia przez upowszechnianie »czarnej legendy« Polski jako kraju wyjątkowej anarchii i religijnego fanatyzmu”. W antypolskiej agitacji pomagały Rosjanom i Niemcom „wystąpienia opłacanych przez nich niektórych czołowych postaci intelektualnych ówczesnej Europy”. Kampania zohydzania Polski, zauważa Nowak, napotykała jednak w XIX wieku na silną kontrę ze strony polskich elit emigracyjnych.

Od momentu odzyskania niepodległości i zwycięstwa w wojnie z roku 1920, pisze Nowak, antypolonizm związany jest nierozzerwalnie z „antypolskimi rewizjonistycznymi działaniami dwóch głównych zaborczych sąsiadów Polski: Rosji Sowieckiej i Niemiec weimarskich, a później III Rzeszy”. Ich sojusznikami w XX wieku są z jednej strony wewnętrzny wróg w postaci komunistów, z drugiej – „infiltrowane przez sowieckie agentury, lewicowe środowiska intelektualne”, które odpowiadają za nasilenie antypolonizmu na Zachodzie.

Po wojnie głównym narzędziem antypolonizmu staje się oskarżenie Polaków o antysemityzm. Według Nowaka częścią antypolskiej kampanii są „zorganizowane przez sowiecki kontrwywiad zajęcia antyżydowskie w Kielcach w 1946 roku”. Kulminacją tej fali oskarżeń są oszczerstwa o „polskich obozach koncentracyjnych”.

Idea antypolonizmu sprowadza więc tysiąc lat historii do prostego scenariusza, w którym Krzyżacy zmieniają się wprawdzie w Prusaków, Niemców i III Rzeszę, ale mechanizm napędzający dzieje pozostanie niezmienny: zaborcze plany – czarna legenda – zdrada elit.

Problem z takim postawieniem sprawy polega na tym, że walka z antypolonizmem opiera się właśnie na sprzeciwie wobec stereotypów i upraszczających syntez w rodzaju „Polacy to antysemici”. Ten sam Jerzy Robert Nowak pisze więc w swojej polemice „100 kłamstw J.T. Grossa”: „Podziwiam niebywałą łatwość wyrokowania socjologa Grossa o stuleciach historii wzajemnych związków dwóch narodów”. W innym miejscu tej książki ironizuje: „Dalej jest już tylko

krwiożerczy, odwieczny, polski antysemityzm, wyszany zapewne z mlekiem matki”.

Nowak uznaje więc, że Niemcy stali się polakożercami, bo przez tysiąc lat karmieni byli antypolskimi stereotypami, które służyły konkretnym interesom ekonomicznym i politycznym. Zarazem jednak oskarżenia o antysemityzm wpisane w polski kod kulturowy uznaje za absurdalne. Jak gdyby zakładając, że o narodzie polskim jako całości można mówić wyłącznie w kategorii cierpień i prześladowań, podczas gdy winy są zawsze jednostkowe.

Tytania politpoprawności

Zbigniew Musiał i Bogusław Wolniewicz w książce „Ksenofobia i wspólnota”, poświęconej w większości problemowi antypolonizmu, twierdzą, że poprawność polityczna jest „ideologią knebłowania” opartą na prawie: „gdy zamkniesz komuś usta, zamilknie”. „Ta wątpliwa »poprawność« stanowi przejaw wiary, że na procesy społeczne można wpłynąć słowem, po prostu coś stosownie nazywając albo nie nazywając”.

Taką wizję odzwierciedla na przykład artykuł Pawła Łepkowskiego „»Nigger«, czyli oblicza politycznej poprawności w USA”, opublikowany na łamach „Najwyższego Czasu!”. Łepkowski opowiada smutną historię pewnego amerykańskiego policjanta, który „miał w zwyczaju głośno komentować to, co widział na monitorze telewizora zawieszzonego nad barem. Ilekroć na obrazie pokazywał się prezydent Barack Obama, policjant oznajmiał na głos, że »znowu pokazują tego pier...nego czarnucha« (ang. *F...ing nigger*). Po tych słowach starszy pan rozpoczął tyradę na temat »tragicznych dla Ameryki i świata rządów tej małpy«”. Większość bywalców restauracji zbywała te komentarze uśmiechem – wyjaśnia Łepkowski – mówiąc: „wygadaj się Bob, to ci ulży”. Niestety, w gronie klientów znalazła się też donosicielka. Kobieta rozpętała kampanię nienawiści, która ostatecznie zniszczyła życie nieszczęsnego rozpolitykowanego widza, mimo iż „teoretycznie Ameryka nadal jest państwem wolności słowa”.

Poprawność polityczną porównuje się tu więc do Orwellowskiej nowomowy czy komunistycznej propagandy, w imię wolności słowa i myśli potępiając ideę cenzury. Czy jednak u podstaw idei anty-

polonizmu nie leży analogiczna wiara w sprawczą moc języka i – wypowiedane mniej lub bardziej wprost – pragnienie wykorzystania tej mocy dla poprawy własnego obrazu w świecie?

Posłuchajmy teraz, jak ten sam Łepkowski, który bronił prawa do nazywania kogoś „czarnuchem” i „małpą”, w artykule „Antypolonizm a Żydzi”, również opublikowanym na łamach „Najwyższego Czasu!”, skarży się na amerykańskie dowcipy o Polakach: „można odnieść wrażenie, że głupie *Polish jokes* są objawem prymitywnego poczucia humoru kilku prostaków próbujących rozjaśnić świat własnych kompleksów. Problem jednak w tym, że przymykając oko na głupkowate dowcipy o Polakach, daliśmy *carte blanche* rozwojowi kłamliwej propagandy historycznej, która fałszuje dzieje naszego kraju i antagonizuje nas z innymi narodami”. Nie możemy też przymykać oka na antypolskie produkcje Hollywood, takie jak słynna „Lista Schindlera”, w których Polaków pokazuje się jako antysemitów, a pozytywnym bohaterem jest Niemiec.

Jaka jest na to rada? Według Łepkowskiego – prosta: „Jeszcze żaden polski polityk nie walnął pięścią w amerykański stół i nie nazwał kłamstw antypolskiej propagandy po imieniu. A przecież wystarczyłoby użyć broni, którą od lat stosuje żydowska Liga przeciwko Zniesławieniu i która skutecznie powala każdego politycznego adwersarza w Ameryce na kolana – oskarżenia o dyskryminację!”.

Zwycięstwo w walce o narrację

Myśliciele i publicyści związani z prawią opowiadają się zwykle za bardzo wyraźnym oddzieleniem faktów i narracji. Ich przeciwnikiem często staje się postmodernizm rozumiany właśnie jako wiara w „inżynierię dusz”, sprawczą moc języka i „narracji”. Pod piórem Wolniewicza postmoderniści to „bezpoglądowcy, rzecznicy myślowego chaosu”. Jan Żaryn mówi o nich w ten sposób: „Postmodernizm, relatywizm, z całymi naleciałościami, które w pewnych dziesięcioleciach XX wieku tworzyły posmak nowoczesności, dziś jest już »staruszką z trzęsącą się ręką«. Zarówno Donald Trump, jak i formacja pana Jarosława Kaczyńskiego, czyli Prawo i Sprawiedliwość, weszli w nowoczesność opartą na konserwatywnym myśleniu, w którym narody nadal są przewodnikami cywilizacyjnymi”.

Można powiedzieć, że prawica opierała się dotychczas na ideowej wizji historii, silnie związanej z wiarą w jedną, obiektywną prawdę, podczas gdy postmoderniści wskazywali, że każda historia jest narracją o przeszłości budowaną przez określone siły w celu zaspokojenia jej pragmatycznych interesów.

Tymczasem idea antypolonizmu przecina dotychczasowy podział, opierając się właśnie na wierze w taką inżynierską możliwość, a nawet konieczność „opowiadania historii”. Sprawia to, że autorzy związani z prawicą mówiąc o antypolonizmie posługują się nagle zwalczanym wcześniej słownikiem, z pojęciem „narracji” na czele. Jak Żaryn, który w kontekście ostatnich wydarzeń stwierdza, że „[d]eklaracja premierów jest naszym zwycięstwem w walce o narrację historyczną”. Nawrócenia na postmodernizm mogą być, jak widać, późne.

Spisek?

Większość z tych, którzy posługują się pojęciami „antysemityzmu”, „rasizmu” czy „dyskryminacji płciowej”, nie wierzy w istnienie spisku nie-Żydów, białych czy mężczyzn. Nie znaczy to, że nie ma na świecie Żydów i żydowskich organizacji wietrzących wszędzie antyżydowski spisek albo czarnoskórych Amerykanów przeświadczonych o tym, że Ku Klux Klan w sekrecie kontroluje instytucje władzy. Polityczna poprawność jako idea nie opiera się jednak na wierze w doskonale zorganizowany spisek, lecz w niewidzialną siłę dominującego języka.

Dyskryminacja przywoływana przez te pojęcia ma charakter systemowy, ale nie zorganizowany czy celowy. Nie ma żadnej kwatery głównej, z której zarządza się antysemityzmem. Przywódcy rasizmu nie spotykają się raz do roku na konferencji, by niczym czarne charaktery z filmów o Bondzie przedyskutować swoje plany. Mężczyźni nie pozdrawiają się sekretnym uściskiem dłoni i przywitaniem „Zniszczmy kobiety!”. Wręcz przeciwnie! Większość z nich ma zapewne poczucie, że żadna dyskryminacja nie istnieje. Nie znaczy to, oczywiście, że sprytni twórcy propagandy czy reklam nie mogą z tych stereotypów korzystać czy podsycać ich. Nie jest jednak tak, że potwór ma jedną głowę, którą można by uciąć. Przypomina raczej hydrę. Wyznacza to taktyki walki, która opiera się raczej na długotrwałych kampaniach zmiany praktyk i opinii niż

Definicje i diagnozy

JERZY ROBERT NOWAK: „Antypolonizm to postawa wrogości wobec Polski i Polaków, to świadome oczernianie Polski i Polaków, a także działania dla zniszczenia polskiej państwowości i ujarzmienia narodu polskiego”.

BOGUSŁAW WOLNIEWICZ:

„Międzynarodowe zniesławianie naszego narodu stanowi wielką operację polityczną, prowadzoną z nieubłagany uporem i konsekwencją”.

JAROSŁAW GOWIN: „Antysemityzm, podobnie jak antypolonizm, jest formą rasizmu”.

MATEUSZ MORAWIECKI:

„Antypolonizm na świecie rośnie w siłę z powodu braku reakcji ze strony Polski i słabości tej reakcji przez ostatnie dziesięć lat”.

JAROSŁAW KACZYŃSKI: „Antypolonizm po prostu nam przeszkadza – państwu w jego aktywności, ale i każdemu Polakowi, który ma nieprzyjemność go doświadczyć. Blisko dekadę temu rozmawiałem z wysokim rangą dyplomatą amerykańskim, który spytał mnie, co – w mojej opinii – jest największym utrapieniem naszego kraju w relacjach z USA. Odpowiedziałem bez wahania: antypolonizm. Reakcja mojego rozmówcy jasno wskazywała na to, iż on także postrzegał to zjawisko, po pierwsze – jako silnie występujące w Ameryce, a po drugie – jako nasz poważny problem”.

na próbie wskazania i ukarania „mocodawców”.

Antypolonizm jako idea stanął właśnie na rozstajnych drogach. Czy zboczy nieco w kierunku lewicowej logiki, podkreślając systemowe uwarunkowania dyskryminacji Polaków? Czy może zachowa swoje związki z myśleniem spiskowym i przypisywanie całości winy konkretnym państwom, narodom lub grupom społecznym?

Każda z tych dróg ma swoje wady i zalety. Obranie ścieżki na lewo może pozwolić na skuteczniejszą walkę przez wskazywanie i piętnowanie faktycznie istniejących krzywdzących antypolskich stereotypów. Paradoksalnie jest to także ścieżka lepiej rokująca, jeżeli chodzi o uprawianie na arenie międzynarodowej skutecznej polityki i budowanie statusu Polski. Problem z obraniem tej drogi polega jednak na tym, że – przynajmniej w założeniu – polityka antydyskryminacyjna powinna chronić grupy nieuprzywilejowane, zwykle mniejszościowe. O ile więc walka z *Polish jokes* w USA ma w jej ramach sens, o tyle twierdzenie o dominującej roli antypolonizmu w jednorodnej kulturowo Polsce jest już niewiarygodne. Choć nie całkiem bezsensowne, bo skoro czarnoskórzy mogą internalizować rasistowskie stereotypy, to czemu by Polaków nie mógł zarazić bakcyl antypolonizmu?

Z drugiej strony warto docenić siłę, jaką może mieć na wewnętrzny polski rynek idei utrzymanie ścieżki na prawo. Antypolonizm w wersji „spiskowej” czy „dziewowej” pozwala nie tylko zerwać szeregi przeciw „obcym” – Niemcom, komunistom czy Unii Europejskiej przedstawianej jako alians tych dwóch sił – lecz także delegitymizować rodzime elity, wskazując na ich poddańczy stosunek do Zachodu, wyrażający się właśnie antypolonizmem. „Film antypolski – zauważa Jan Żaryn w wywiadzie dla portalu prawy.pl – staje się także biletem wejściowym na salony międzynarodowe”. W innym miejscu mówi z kolei: „Mamy oczywiście w naszych elitach inteligencji takie grono ludzi, którzy antypolonizm uznali za swoje credo i próbują niejako językiem obrażania Polaków, czy poprzez fałsz historyczny, dotyczący polskiej przeszłości zbratać się z sąsiednimi narodami”.

Według takiej wizji, konsekwentnie rozwijanej, Polska okazuje się Matriksem kontrolowanym przez wrogich agentów. „Przeważająca część Polaków niewiele ➔

→ wie o toczonej od dziesięcioleci wojnie przeciw Polsce, o przybierającej z roku na rok na sile ofensywie antypolonizmu – pisze Jerzy Robert Nowak w książce „Antypolonizm. Zdzieranie masek”. – Jesteśmy całkowicie usypiani w tej sprawie przez rządzące pseudoelity, które w części z próżniactwa, w części ze współdziałania z nacierającymi na Polskę, starannie przemilczają lub negują zagrożenia. Milczą na ich temat również największe, najbardziej wpływowe media polskojęzyczne lub wręcz je negują. Tak jak to zrobiono w »Gazecie Wyborczej«, gdzie kilka lat temu stwierdzono *ex cathedra*, że nie istnieje coś takiego jak antypolonizm!”.

W strzaskanym zwierciadle

Antypolonizm urasta dziś do rangi jednego z najważniejszych narzędzi opisu transformacji ustrojowej, historii, kultury czy polityki.

W zależności od potrzeb pozwala w przekonujący sposób wytłumaczyć upadek lokalnego zakładu przemysłowego, oskarżony sukces filmu czy program niepopularnej partii politycznej. Jak każde „uniwersalne wyjaśnienie”, antypolonizm zastępuje jednak rzeczywistość zredukowanym modelem. Używane doraźnie, pojęcie antypolonizmu może pomóc w zwarcu szeregów. Na dłuższą metę posługiwanie się tą frazą-wytrychem może jednak osłabiać prawicę, czyniąc jej diagnozy mniej przenikliwymi, stępując wzdłuż społecznej i obniżając zdolność do przewidywania przyszłości. A więc odbierając te atuty, którymi rządzący chwalą się najchętniej.

Z kolei reakcja środowisk liberalnych i lewicowych na pojęcie antypolonizmu ujawnia ich poważną słabość, jaką jest „plemienne” uszytywnienie pozycji.

Negowanie choćby możliwości istnienia tego fenomenu czyni narrację o innych formach dyskryminacji znacznie mniej przekonującą. „Dyskryminacja jest tylko wtedy, kiedy to my dyskryminujemy. Jak nas dyskryminują, to jest słuszne przywracanie proporcji” – odpowiadają z goryczą potencjalni wyborcy i czytelnicy, po czym włączają Radio Maryja i idą głosować na PiS.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Problem polsko-polski

PROF. YEHUDA BAUER, HISTORYK:

Prawdziwym przedmiotem debaty wokół polsko-izraelskiej deklaracji premierów jest walka narodowego, prawicowego rządu z polskim liberalnym społeczeństwem.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Dlaczego nas nie lubicie?

YEHUDA BAUER: Kto? Kogo?

Wy, Żydzi, Izraelczycy. Nas, Polaków.

To stereotypowe myślenie, a ja nie lubię stereotypów. Ani o Żydach, ani o Polakach, Rosjanach czy Amerykanach. Mam przyjaciół w Polsce – badacze, pisarze, czytam w języku polskim, jeżdżę tam. Ja jestem antypolski? Nie. Nie ma czegoś takiego, że my, Żydzi, was nie lubimy.

Premier Pana kraju uważa inaczej. W deklaracji podpisanej wraz z premierem Morawieckim potępił antypolonizm na równi z antysemityzmem. A więc zgadza się z tym, że to zjawisko w Izraelu istnieje.

Myślę, że on zgadza się przede wszystkim z faktem, że musi się jakoś porozumieć z polskim rządem. Detale tego porozumienia są już nieistotne. Uważam, że mówienie o antypolonizmie i antysemityzmie w tym samym kontekście jest zniekształceniem rzeczywistości. Antysemityzm ma swoje starożytne korzenie, greckie, a potem chrześcijańskie. To ważny temat w światowej polityce i dotyczy jakiejś połowy ludzkości (politeistyczne kultury antysemityzmu nie znają). Tymczasem stosunek Żydów do Polaków to pomniejszy problem. Dlatego obawiam się, że premier Netanjahu nigdy tak naprawdę się nie zastanawiał nad tym, czy antypolonizm istnieje w jego kraju, czy nie.

Pan się zastanawiał?

Tak.

I co?

I wiem, że istnieje. Przejawia się w osobistych poglądach, czasem wyrażanych publicznie, czasem prywatnie. Nie dosięga jednak sfer politycznych. To rodzaj uczucia, emocji obecnej w konkretnych

częściach naszego społeczeństwa, w konkretnych rodzinach. Szczególnie wtedy, gdy czyiś dziadkowe czy rodzice urodzili się w Polsce i doświadczyli tam antysemityzmu albo czegoś gorszego. Bo są ludzie w Izraelu i świecie żydowskim, którzy postrzegają Polaków jako tych, którzy uczestniczyli w mordowaniu Żydów w czasie II wojny światowej. To są zwykłe ci o polskich korzeniach. Innych to nie obchodzi.

A przecież na terenie Polski wojnę przeżyło w ukryciu przynajmniej 40 tysięcy Żydów. Dzięki polskiej pomocy.

To prawda, i to jest druga strona tej historii. Mamy świadectwa ocalałych, które są bardzo propolskie. Zrobiłem w życiu setki wywiadów ze świadkami, i szczególnie pamiętałem jeden z nich. Był to mężczyzna, który jako 3-latek został uratowany w Krakowie przez pewną kobietę. Zwróciła się o pomoc do znajomego księdza katolickiego. Chłopiec wiedział, że był Żydem. Opowiadał, że pamięta, gdy jako 6-latek chodził w kościele za tym księdzem z kadzidłem. Że wciąż pamięta jego zapach. Powiedział mi: „Ja znam tylko takich Polaków, którzy byli dobrzy, którzy mnie ratowali”. To przykład typowej, bardzo osobistej relacji. Takie relacje świadków znamy też z innych krajów europejskich.

Wszędzie byli ci, co ratowali, i ci, co wydawali Żydów Niemcom. A jednak na liście Sprawiedliwych w Yad Vashem Polacy stanowią najliczniejszą grupę – 6750 nazwisk. Cieszymy się z tego, chcemy, by nas doceniano. A Pan ciągle powtarza, że to za mało.

Można zauważyć: przecież pomagających było znacznie więcej. I słusznie, bo ci, którzy ratowali Żydów, później umierali, a ocaleni często nie znali ich nazwisk. Mam świadectwo innej ocalonej przez polskiego księdza. Gdy zapytano ją o jego na-

zwisko, zdziwiła się: „Miałam dziewięć lat, walczyłam o przeżycie, nawet nie przyszło mi do głowy, bo go o to zapytać”.

A więc tak, uważam, że liczba Żydów ocalonych przez Polaków jest znacznie większa. Powiedzmy, że liczba z Yad Vashem to 1/3 liczby faktycznej. Mamy więc ponad 20 tysięcy. Powiedzmy, że nie tylko ratujący byli bohaterami. Byli nimi także ci, którzy po prostu nie wydali Żydów, podali kawałek chleba. Powiedzmy, że to cztero-, pięciokrotność poprzedniej liczby. Mamy 100 tysięcy. Na wypadek błędu podwójmy jeszcze tę liczbę. 200 tysięcy. W 1939 r. w Polsce żyło 21 milionów etnicznych Polaków. 200 tysięcy to 1 procent ówczesnej polskiej populacji. Gdzie pozostałe 99 procent? Przecież Żydzi żyli wtedy wszędzie, w niemal każdej wiosce. Jeśli teraz porównasz z tymi rachunkami liczbę Sprawiedliwych uznanych przez Yad Vashem, to już nie będzie ona wcale taka duża. Irytuje mnie, jak cała debata o ratowaniu Żydów w czasie wojny jest zniekształcona. Przecież ludzie, którzy Żydów ratowali, byli podwójnymi bohaterami: nie tylko ratowali im życie, chroniąc przed Niemcami, ale też – przed własnymi sąsiadami. Nie mówię tu o szmalcownikach, lecz o zwykłych ludziach, mieszkańcach tej samej wioski, na których antysemityzm miał jakiś wpływ.

Nasz rząd prezentuje stanowisko, że Polacy w większości ratowali bądź byli skłonni ratować żydowskich sąsiadów.

To nieprawda, wystarczy sięgnąć do źródeł jeszcze z czasów wojny. Stefan Rowecki, dowódca Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej, w 1941 r. skontaktował się z rządem w Londynie i przekazał następującą informację: populacja jest antysemicka, powstrzymajcie się więc od prożydowskich deklaracji, bo stracie poparcie. Armia Krajowa była potężną organizacją, miała swoich ludzi wszędzie. I to są prawdziwe warunki, w jakich działali polscy Sprawiedliwi. Dlatego w Izraelu są ogromnie szanowani, uznajemy ich i oddajemy im cześć.

Deklaracja premierów podkreśla, że działający w trakcie wojny rząd RP na uchodźstwie starał się powstrzymać nazistów, informował zachodnich sojuszników o systematycznym mordzie dokonywanym na polskich Żydach,



UZI KEREN / GETTY IMAGES

PROF. YEHUDA BAUER (ur. 1926) jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Hebrajskiego, byłym dyrektorem Międzynarodowej Szkoły Nauczania o Holokauście w Yad Vashem. W latach 80. zainicjował i został pierwszym dyrektorem Międzynarodowego Instytutu Badań nad Antysemityzmem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Uważany za jednego z najwybitniejszych badaczy Holokaustu na świecie. Dzisiaj pełni funkcję doradcy naukowego i regularnie publikuje w prasie izraelskiej. Urodzony w Pradze, włada ośmioma językami (czyta również w języku polskim). W 1939 r. wyemigrował z rodzicami do Palestyny. Jako nastolatek służył w Haganie i Palmachu; to właśnie w tym okresie po raz pierwszy usłyszał o Zagładzie i postanowił zająć się historią. Studia historyczne ukończył na uniwersytetach w Cardiff i Jerozolimie. Za swoją pracę badawczą nad Holokaustem i ludobójstwem został uhonorowany licznymi nagrodami, m.in. najważniejszą w jego kraju Nagrodą Izraela. Współpracował z wieloma ośrodkami badań nad Holokaustem i międzynarodowymi organizacjami. Po publikacji deklaracji premierów Polski i Izraela Bauer udzielił radiowego wywiadu, w którym nazwał ją „zdradą, która rani naród żydowski i pamięć o Holokauście”.

a struktury Polskiego Państwa Podziemnego stworzyły mechanizm systemowej pomocy dla Żydów. Temu Pan chyba nie zaprzeczy.

Ten cały fragment jest częściowo prawdziwy, ale częściowe prawdy bywają niebezpieczne. Polski rząd na uchodźstwie interweniował dwa razy, i to w bardzo ważny sposób. Po raz pierwszy w sprawie raportu Bundu. Został on przesłany z Polski przez szwedzkiego biznesmena 16 maja 1942 r., następnie przesłany ze Szwecji do Szkocji, stamtąd do Londynu. Tam, w biurze polskiego rządu na uchodźstwie, odbyła się dyskusja, czy ten raport opublikować, czy nie. Zawierał informację o 700 tys. polskich Żydów zabitych przez Niemców. Wieść wydawała się niemożliwa – w XX wieku takie okrucieństwo? I czy w ogóle można wierzyć żydowskiemu raportowi? Opinie były podzielone. Ostateczną decyzję podjął sam generał Sikorski: nie miał wątpliwości, że raport jest prawdziwy i że trzeba go jak najszybciej upublicznic. 9 czerwca 1942 r. polski rząd przeczytał raport, przetłumaczył go i opublikował w brytyjskich mediach. Wieść rozeszła się po świecie.

I druga interwencja: w listopadzie i grudniu 1942 r., gdy polski rząd na uchodźstwie popchnął Brytyjczyków i Amerykanów, a potem Sowieców do podpisania deklaracji 17 grudnia tegoż roku, która uznawała anihilację Żydów przez Niemców. Postawą wyróżniał się także Jan Śniadecki, minister w polskich rządach emigracyjnych podczas wojny, który głosił, że po wojnie Żydzi będą w Polsce równoprawnymi obywatelami, a delegatura ostrzegała go, by nie robił takich deklaracji, bo to nie ma poparcia społecznego. Delegatura reprezentowała przecież przedwojenne polskie partie. Skoro więc jej ogólne odczucie było takie, że opinia publiczna jest Żydom przeciwna, to dziś twierdzenie premiera Morawieckiego, że Polska za swoją prożydowską postawę powinna otrzymać drzewko w Yad Vashem, jest totalnym nonsensem.

Zdaje Pan sobie sprawę z tego, że właśnie z takiego dyskursu Zachodu – o złych Polakach antysemitach, „polskim Holokauście”, „polskich obozach” – wzięta się ta cała potrzeba polskiego rządu do zaostrowania zapisów ustawy o IPN? Czy, jak to nazywacie w Izraelu – „prawa o Szoah”?



→ W mojej ocenie nowela prawa utworzona w styczniu była i jest wewnętrzną sprawą Polski. Żydzi owszem są przedmiotem tej debaty, ale jej prawdziwym tematem jest walka narodowego, prawicowego rządu z polskim liberalnym społeczeństwem.

Nie czuje się Pan spokojniejszy teraz, gdy premierzy ogłosili deklarację, której ceną było wycofanie się przez Polskę z artykułów 55a i b?

Ależ co to dało?! Zaraz potem prezes Kaczyński powiedział przecież, że to nie szkodzi, bo będzie można prowadzić oskarżenia drogą cywilną. To zagraża nie tylko nauce, wolności badań historycznych, ale też całemu polskiemu społeczeństwu. Można się nie zgadzać np. z badaniami prof. Jana Grabowskiego – wystarczy dotrzeć do jego źródeł i przeanalizować je na własną rękę, by ocenić, czy się nie pomylił. Ale problem w tym, że na skutek polskiego prawa takie swobodne badanie w ogóle nie jest możliwe! Bo władza może ocenić, że jego przedmiotem jest „kalanie honoru Polaków”.

Myśmy tu mieli badania dotyczące kolaboracji Żydów z Niemcami. Historykom, którzy się tego podjęli, grozono karami. Jedną z tych osób, piszącą o żydowskiej policji w gettach, był dr Aharon Weiss, który obecnie pracuje w żydowskich organizacjach na Ukrainie. Gdyby obowiązywało go polskie prawo, już siedziałby w cywilnym sądzie!

I teraz proszę sobie wyobrazić, że mimo całej świadomości sytuacji w Polsce izraelski rząd to podpisał!

Przypominam, że konsultacji merytorycznej nad tekstem deklaracji udzieliła Pana koleżanka, szefowa historyków Yad Vashem, prof. Dina Porat.

Fakt, zwykle jesteśmy w kwestiach historycznych zgodni. Ale sprawy deklaracji przed jej opublikowaniem nie konsultowała – ani ze mną, ani z innymi historykami w YV. W Instytucie pracują historycy naprawdę różnych poglądów i trudno wypowiadać się w imieniu wszystkich – ale o tym, że jego oficjalne stanowisko jest zupełnie inne, dowiedzieliśmy się z oświadczenia, które później opublikował.

Dina ma tu duży problem. Nie rozumie, że ta cała sprawa jest konfliktem między polską konserwatywną większością

YEHUDA BAUER:

Mówienie o antypolonizmie i antysemityzmie w tym samym kontekście jest zniekształceniem rzeczywistości.

i mniejszością, która chce, by badania były prowadzone w sposób wolny, otwarty i nie ograniczany przez żaden rząd. Niejasna jest też sprawa jej współpracy z premierem. W czasie prezentacji deklaracji powiedział on wyraźnie, że otrzymał akceptację szefowej historyków Instytutu, ale nie mógł powiedzieć, że samego YV, bo nikt inny o tym nie wiedział.

W deklaracji premierów pojawia się informacja, że Polska i Izrael powołują wspólną grupę historyków, którzy będą dyskutowali kwestie historyczne. Jest Pan w tej grupie?

Oczywiście, że nie!

A kto jest?

Nikt. Zgodnie z moją wiedzą ta komisja jest czystym wymysłem. Nie istnieje. W Izraelu jest czworo naukowców, którzy całe życie poświęcili badaniom tematów polsko-żydowskich i których można było poprosić o udział w tej komisji. To prof. Hava Dreifuss (Uniwersytet w Tel Awiwie), dr David Silberklang (Yad Vashem), dr Laurence Weinbaum (World Jewish Congress) i ja. Żaden z nas nie został do tej komisji zaproszony. A może powstanie ona dopiero w przyszłości?

W wypowiedzi dla izraelskiej telewizji prof. Dina Porat słusznie zauważa, że Polacy nie chcą, by w centrum ich tożsamości znajdowały się winy popełnione względem Żydów. W tym sensie deklaracja premierów rzeczywiście jest odpowiedzią na polską potrzebę bycia wysłuchanymi. Jest owocem silnego poczucia niezrozumienia i niedocenienia.

Proszę tak do mnie nie mówić, bo ja Polaków cenię bardzo. I w pełni zgadzam się z pani refleksją. Sądzę, że aby zrozumieć tło tego poczucia, należy sięgnąć do wyborów Polski. Do przekonania, które rozwijało się głównie w myśli katolickiej: że Polska jest Chrystusem narodów. Śmierć

krzyżowa to zbawienie, zatem Polska zbawia narody poprzez swoje cierpienie. Historycy mają świadomość, jak było ono ogromne, najpierw w czasie zaborów, potem okupacji nazistowskiej i sowieckiej. Nic więc dziwnego, że dziś w Polsce istnieje tak silny bunt wobec międzynarodowej niepamięci o tym cierpieniu. Proszę zacytować Yehudę Bauera powtarzającego to wielokrotnie, i nie tylko na potrzeby tego wywiadu: cierpienie Polaków było ludobójstwem. Konwencja ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z grudnia 1948 r. definiuje je nie tylko jako wyniszczenie wszystkich członków danego narodu, ale też konkretnych jego grup. W czasie okupacji i później mordowano całe grupy Polaków. Warto zauważyć, że autorem tej konwencji i twórcą pojęcia „ludobójstwo” był polski Żyd, prawnik Rafał Lemkin. Dodam, że na przestrzeni lat o polskim cierpieniu pisali intelektualiści na emigracji (głównie w Stanach) – nie tylko Polacy, ale też polscy Żydzi.

Problemem nie jest niewystarczająca uwaga intelektualistów, lecz szeroka opinia publiczna. Świadomość przeciętnego obywatela, komentarze w mediach. Izraelczycy wiedzą wiele o swoim cierpieniu – ale co wiedzą o naszym?

Jeśli zapyta tu pani licealistę o Ben Guriona, zapewnię, że odpowie: tak, jest takie lotnisko. Edukacja, polegająca na powtarzaniu każdej kolejnej generacji tego, co mówiono w poprzednich – co mówili intelektualiści, instytucje – odnosi mniejszy lub większy sukces.

Mam sześcioro wnuków. Przychodzą do dziadzia zapytać o różne rzeczy. Nie, nie uważam, by mieli złych nauczycieli. Po prostu temat II wojny światowej – który stanowi tu zaledwie małą część programu edukacyjnego – nie ma na nich odpowiednio mocnego wpływu. I to jest generalny problem, nie dotyczy on wyłącznie historii Polski.

Polska prawica zarzuca lewicy, że ta przejęła relacje polsko-żydowskie w ciągu ostatnich dziesięcioleci. I snuje swoją odrębną historyczną narrację. Zastanawia mnie kwestia elementarna: skąd rozbieżności w postrzeganiu historii, co do której istnieją przecież wspólne źródła historyczne?



GIL COHEN-MAGEN / AFP / EAST NEWS

Ocaleni z Holocaustu protestują pod polską ambasadą – po uchwaleniu ustawy o IPN, Tel Awiw, 8 lutego 2018 r.

To zjawisko występuje w wielu krajach, nie tylko w Polsce. Zniekształcenie przeszłości pomaga ludziom w radzeniu sobie z teraźniejszością. Ludzie wierzą w przeszłość taką, jaką ją sobie wymyślą. Dokumenty historyczne nie mają tu żadnego znaczenia. Nowa ustawa stwierdza, że w Polsce wspólna wiedza historyczna ma być ustalana przez ludzi władzy. To rząd determinuje, co jest prawdą historyczną, a co nie. W jednym ze swoich komentarzy nazwałem to „antykomunistycznym bolszewizmem”.

Polski rząd przekuwa aferę wokół ustawy o IPN w sukces. Mówi: deklaracja dała nam wreszcie głos, którego potrzebowaliśmy. Izraelczycy zaczną o nas myśleć inaczej?

Nie umiem się wypowiedzieć za Izraelczyków. Nie mam jednak wątpliwości, że ta deklaracja jest pełna nieprawdziwych informacji, i w takiej formie wpłynie na opinię publiczną. Już zresztą wpłynęła. Gdy w ciągu ostatnich dni moi koledzy próbowali zainteresować tematem amerykański Departament Stanu i Komisję Europejską, usłyszeli: ale czego chcecie? Przecież podpisał ją szef waszego rządu. Jednym słowem – izraelski rząd zezwolił na szerzenie nieprawdy. Wyzbycie się swo-

jej historii, wartości, pamięci dla jakichś pragmatycznych korzyści jest po prostu niemoralne. To nie pierwszy raz, gdy rząd Netanjahu to robi. I pewnie nie ostatni. Chciałbym też podkreślić: debata, która się między nami toczy, nie jest antypolska. Jest przeciwko temu prawu i ludziom, którzy chcą ustalić z góry wersję historii, nie bacząc na fakty. To jest nie do zaakceptowania.

Jak dalej potoczą się polsko-izraelskie relacje?

Nie wiem. Z akademickiego punktu widzenia cała sprawa jest nie do zaakceptowania. Polski rząd popełnił błąd i musi to przemyśleć. Najpewniej jednak pozostanie przy swoim nacjonalistycznym nastawieniu, i będzie nim karmił te wszystkie antysemityczne teksty w prawicowej prasie, które ukazały się w ostatnich dniach – wiem, bo czytam polską prasę.

Kiedy Polska wreszcie wstanie z kolan?

Siedzi pani na szóstym piętrze jerozolimskiego domu dla starców. Rozmawia z 92-letnim dinozaurem. Skąd ja mam to wiedzieć? A poważnie: w Polsce istnieje przecież wielka, piękna tradycja, w literaturze, poczynając od romantyków, i także

w polityce. W walce narodowyzwolenczej, walce o niepodległość, w czym chętnie brali udział także polscy Żydzi. Towarzyszy temu szczególna ludzka postawa. Odnoszę wrażenie, że dzisiejsi polscy naukowcy, pisarze, elita intelektualna, są ulepiani z tej samej gliny. Prezentował ją np. Jan Karcki. Spotkałem się z nim; to była niezwykła osobowość. Pochodził z rodziny oficerów, był dla mnie ucieleśnieniem liberalnego, polskiego arystokraty. Podobną osobą był Władysław Bartoszewski (zwykle, gdy słyszę język polski, mam problemy ze zrozumieniem, ale jego rozumiałem zawsze!). Przykładem tej postawy był dla mnie także jezuita ks. Stanisław Musiał. Chodziłem w Warszawie na jego wykłady. Był w środku establishmentu, a jednocześnie był przeciwko niemu. No i oczywiście – Jan Paweł II. Co za człowiek! Dzień po jego pielgrzymkowym spotkaniu w Yad Vashem z ocalonymi i przyjaciółmi żydowskimi z Wadowic powiedziałem w wywiadzie, że gdyby następnego dnia były w Izraelu wybory, polski papież otrzymałby 98 procent głosów. Istnieje więc w polskiej historii wiele postaci, które są prawdziwymi autorytetami. I tego się trzeba trzymać.

© Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

PAWEŁ

Śpiewak: Śmierć króla Jozjasza



ODNALEZIONA W CZASACH KRÓLA JOZJASZA Księga Powtórzonego Prawa zawiera w sobie wyjątkowe nakazy, których nie znajdziemy w pozostałych księgach Tory. Po raz pierwszy powiada się tam, że kult powinien być sprawowany tylko w jednej Świątyni. Pozostałe

Księgi takiego zapisu nie mają. Tylko tam mowa jest o obchodzeniu świąt Pesach w Świątyni. Wiemy skądinąd, że zwyczaj ten wprowadził król w roku 622 przed wspólną erą.

W kontekście przymierza opisanego w Piątej Księdze Mojżeszowej zwraca się uwagę na to, że sposób jego opisanie przypomina asyryjskie traktaty wasalne, w których szczegółowo wymienienia się uprawnienia i obowiązki wasala i jego pana. Uderza w tej księdze obecność praw dotyczących słabszych i ubogich. Jest tu wezwanie do obrony ludzkich uprawnień i naszej godności. Znajdziemy w Księdze nakazy dotyczące wsparcia najsłabszych: wdów, sierot, ubogich, wygnańców. W rozdziale 23. mowa jest o tym, że ochronie prawnej podlega „przechodzień”. Nie wolno od wdowy brać jej szat w zastaw. Należy zostawić snopy na polu, by mogli z nich korzystać przechodnie, sieroty, biedacy. Nie są to zadania pozostawiane czyjejś wspaniałomyślności i osobistej woli. Jest to nakaz odnoszący się do wszystkich potomków Jakuba. Nikt z tego obowiązku nie jest zwolniony. Każdy zaś władca musi przestrzegać praw, by nie wynosił się ponad „bracią jego”.

Księga ta powstała w wieku VII p.w.e., najpewniej za czasów Jozjasza. Jest najściślej związana z reformami podejmowanymi w owym czasie. Słowa Księgi świadczą o tym, jak wielką i gruntowną rewolucję religijną i społeczną podjął król Jozjasz i jak bardzo dbał o to, by wypłenić fałszywe kultury i fałszywe idee.

Rewolucja Jozjasza dokonywała się w cieniu wielkich zmian geopolitycznych. Traciło na znaczeniu państwo asyryjskie (nie długo potem ostatecznie pokonane przez Babilończyków). Wzrosła potęga Egiptu. Jeden z faraonów ruszył na północ, by ocalić państwo asyryjskie i tym samym zagwarantować sobie rozstrzygającą rolę w sporach geopolitycznych na Bliskim Wschodzie (Niniwa padła w 612 r. p.w.e.). Szedł ze swą armią przez północną część królestwa Judy, którą wcześniej zagarnął Jozjasz, korzystając ze słabości północnego imperium asyryjskiego. Wedle ksiąg biblijnych król zginął w bitwie z Egipcjanami w 609 r. Nie jest to jednak pewne.

Trudno sobie wyobrazić, że władca małego królestwa od pokoleń szarpanego i bitego przez sąsiadów mógł wystawić armię zdolną do walki z Egipcjanami. Bardziej prawdopodobne jest to, że faraon dotarł do Samarii po to, by wymusić na Jozjaszu hołd i poddaństwo. Nie wiemy, co się stało. Wiemy, że ten wielki król poległ czy został zabity pod Megido i cały ruch reformatorski został zatrzymany. Juda nie zdołała wybić się na duchową siłę. Państwo Judejczyków sromotnie przegrało wojnę z Babilonem. Historia królowania potomków Dawida gwałtownie się urwała. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Dzień zwycięstwa



PO NAKARMIENIU PARU TYSIĘCY GŁODNYCH pięcioma jęczmiennymi placekami i dwiema rybami, „Ludzie, którzy widzieli dokonany przez Jezusa znak, zaczęli mówić: »On rzeczywiście jest tym prorokiem, który miał przyjść na świat«.

Jezus, wiedząc, że ludzie mają zamiar Go pochwycić i ustanowić królem, oddalił się i sam udał się znowu na górę”.

Ale Jezus nie dokonał żadnego znaku, żadnego cudu dla siebie, żeby sobie polepszyć życie. Przeciwnie, kiedy znalazł się w krytycznym położeniu, w skrajnym zagrożeniu życia, nie oczekuje od Ojca nadzwyczajnej interwencji, choć wie, że mógłby uzyskać od Niego, jak mówimy, nadprzyrodzoną pomoc. Kiedy Piotr w Getsemani w obronie Jezusa zaatakował sługę najwyższego kapłana, usłyszał od Jezusa: „Schowaj miecz tam, gdzie jego miejsce, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czyż myślisz, że nie mógłbym poprosić mojego Ojca, aby natychmiast postawił przy Mnie więcej niż dwanaście oddziałów anielskich? Ale jak wówczas wypełni się to, co według Pisma musi się wydarzyć?”.

Z tej wypowiedzi wynika, że Ojciec nie pozostawił Syna na pastwę losu. Przyszedł Mu z pomocą, ale po swojemu. Autor Listu do Hebrajczyków zapewnia, że Jezus „podczas swego ziemskiego życia z wielkim wołaniem i łzami zanosił błagania i prośby do Tego, który mógł Go ocalić od śmierci. I został wysłuchany dzięki swej uległości”. W dosłownym tłumaczeniu: został wysłuchany przez (lub za) pobożność. Jaka więc była ta Jezusowa pobożność?

Jezus składa Bogu w ofierze swoją niemoc, bezsilność wobec zła. Świadczy o tym modlitwa Jezusa w Ogrójcu i Jego ostatnie słowa wypowiedziane na krzyżu. Pobożność Jezusa wypełnia się w Jego poddaniu się Bogu, Jego woli: „Smutna jest moja dusza aż do śmierci. (...) Mój Ojczy! Jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich! Lecz niech się stanie tak, jak Ty chcesz, nie Ja”. Kiedy więc mówimy za Jezusem: „Bądź wola Twoja”, tak jak On stawiamy się do dyspozycji Ojca, który nie ocalił Syna od śmierci fizycznej, ale Go obronną ręką przez nią przeprowadził. Dlatego gdy „Niektórzy nauczyciele Pisma i faryzeusze mówili: »Nauczycielu! Chcemy ujrzeć jakiś znak od Ciebie«, On odpowiedział: »To ludzie źli i wiarołomni domagają się znaku, ale będzie im dany jedynie znak proroka Jonasza«”.

Ten znak trwa, dlatego Leszek Kołakowski może powiedzieć, że obecność Jezusa poznajemy po tym, jak On zmienia nasze życie, czyli sposób patrzenia na świat i reagowania na to, co się tu i teraz dzieje. Z tego powodu nieraz ogarnia człowieka paralizująca bezsilność: bo co ja biedny mogę zrobić? Wtedy warto przypomnieć, że wszystko najważniejsze – nie tylko dla nas – rozpoczęło się w dniu całkowitej klęski – na i pod szubienicą. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Nazaret

*Łaska modlitwy łączy
umysł z Bogiem,
oddzielając go od
wszelkich myśli i pojęć.*

MAKSYM WYZNAWCA



*Joga jest to
powściągnięcie
zjawisk świadomości.*

PATAŃDŻALI



DZIŚ „OKRUCH” INSPIROWANY tłumaczoną właśnie na język polski równie niewielką, co cudowną książką poświęconą Karolowi de Foucauld, pióra

siostry Catherine McKee. Książka nie skupia się na detalicznej prezentacji biografii Karola; raczej poszukuje kluczy do jej zrozumienia. Jednym z tych kluczy jest niewątpliwie słowo „Nazaret”.

„Nazaret jest przedłużeniem skandalu wcielenia” – pisze autorka. Być może da się powiedzieć jeszcze więcej: Nazaret jest jednym z najważniejszych elementów skandalu wcielenia.

Miejsce ani raz nie wspomniane w Starym Testamencie; w czasach Jezusowych zamieszkałe co najwyżej przez kilkadziesiąt rodzin, żyjących w domach dobudowanych do sieci grot. Proście się nie da... Pan przeżył tu 30 lat, o których nic nie wiemy. Nie powiedział ani jednego zdania, które pierwotny Kościół uznałby za godne zapamiętania, a w ślad za tym Ewangelisti chcieliby zapisać. Nie dokonał żadnego czynu godnego zarejestrowania dla potomnych. 30 lat absolutnej zwyczajności. Przeciwności. Totalnej prostoty. Wręcz: szarości. Pozbawionych czegokolwiek wyróżniającego. 30 lat zwykłej pracy w warsztacie cieśli. Chodzenia po wodę do jedynej w miejscowości studni. Przyglądania się sąsiadom siejącym zboże. I Matce zaczynającej ciasto. Żadnej wyjątkowej szkoły u jakiegoś wybitnego mistrza. Żadnych nieprzeciętnych zajęć...

To właśnie ta prawda Wcielenia, którą zwykle pomijamy w naszych medytacjach i w naszej pobożności. Wcielenie oznacza dla nas – jak w pobożności franciszkańskiej – skupienie się na dwóch jego granicznych momentach: narodzinach Chrystusa i Jego śmierci. To tam

kontemplujemy najchętniej Jezusowe człowieczeństwo: w radości, ubóstwie i bezradności złości oraz w bólu, opuszczeniu i nieodwołalności zgonu na krzyżu. Tu jest o czym i myśleć, i mówić. Betlejem i Golgota. Ale Nazaret?

Już prędzej Kafarnaum – do dziś nazywane „miastem Jezusowym”. To tu znalazł uczniów. Tu dokonał wielu niezwykłych znaków. Tu – w synagodze – powiedział wielką mowę zapowiadającą Eucharystię. Tu się coś działo. Ale w Nazarecie „nic się nie działo”. Przynajmniej „nic ważnego”.

Jezusowa odwieczna decyzja na wcielenie nie była jedynie wyborem Betlejem, Kafarnaum i Jerozolimy z całą ich szokującą i pociągającą wielą wyjątkowością. Była też decyzją na Nazaret: na „nic szczególnego”. I to w takich proporcjach: 30 lat zwyczajności Nazaretu, 3 lata życia publicznego i 3 dni kulminacji paschalnej.

„Czy może być coś dobrego z Nazaretu?” – pytanie, zadane przez Natanaela Filipowi, Karol de Foucauld zadaje każdemu z nas. Ponieważ – stwierdza s. McKee – „Nazaret jest muszlą zamykającą większość naszego życia. Czy [jednak] potrafimy odkryć tkwiącą wewnątrz tej muszli perłę?”.

„Czy może być coś dobrego z Nazaretu?” – nie musi więc oznaczać, iż w Nazarecie dzieją się jakieś szczególnie niegodziwe i niedopuszczalne czyny – godne potępienia i napiętnowania. Może oznaczać naszą niewiarę w wielki sens i rzeczywiste dobro tego, co zwyczajne i przeciętne.

Ciągle się rozglądamy za okazjami do tego, co nieprzeciętne: godne zauważenia i zapamiętania. Ile będzie w naszym życiu takich momentów? 3 dni? 3 lata? A wszystkie pozostałe? Czy nie są godne naszego wyboru?

Jan od Krzyża radzi: „usiłuj wybierać w życiu to, co mniejsze – nie to, co większe”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 VII)

16. niedziela zwykła:

Jr 23, 1-6; Ps 23; Ef 2, 13-18; Mk 6, 30-34;

Poniedziałek: Ga 2, 19-20; Ps 16; J 15, 1-8;

Wtorek: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 85; Mt 12, 46-50;

Środa: 2 Kor 4, 7-15; Ps 116; Mt 20, 20-28;

Czwartek: Syr 44, 1. 10-15; Ps 132; Mt 13, 16-17;

Piątek: Jr 3, 14-17; Jr 31; Mt 13, 18-23;

Sobota: Jr 7, 1-11; Ps 84; Mt 13, 24-30;

17. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 42-44; Ps 145; Ef 4, 1-6;

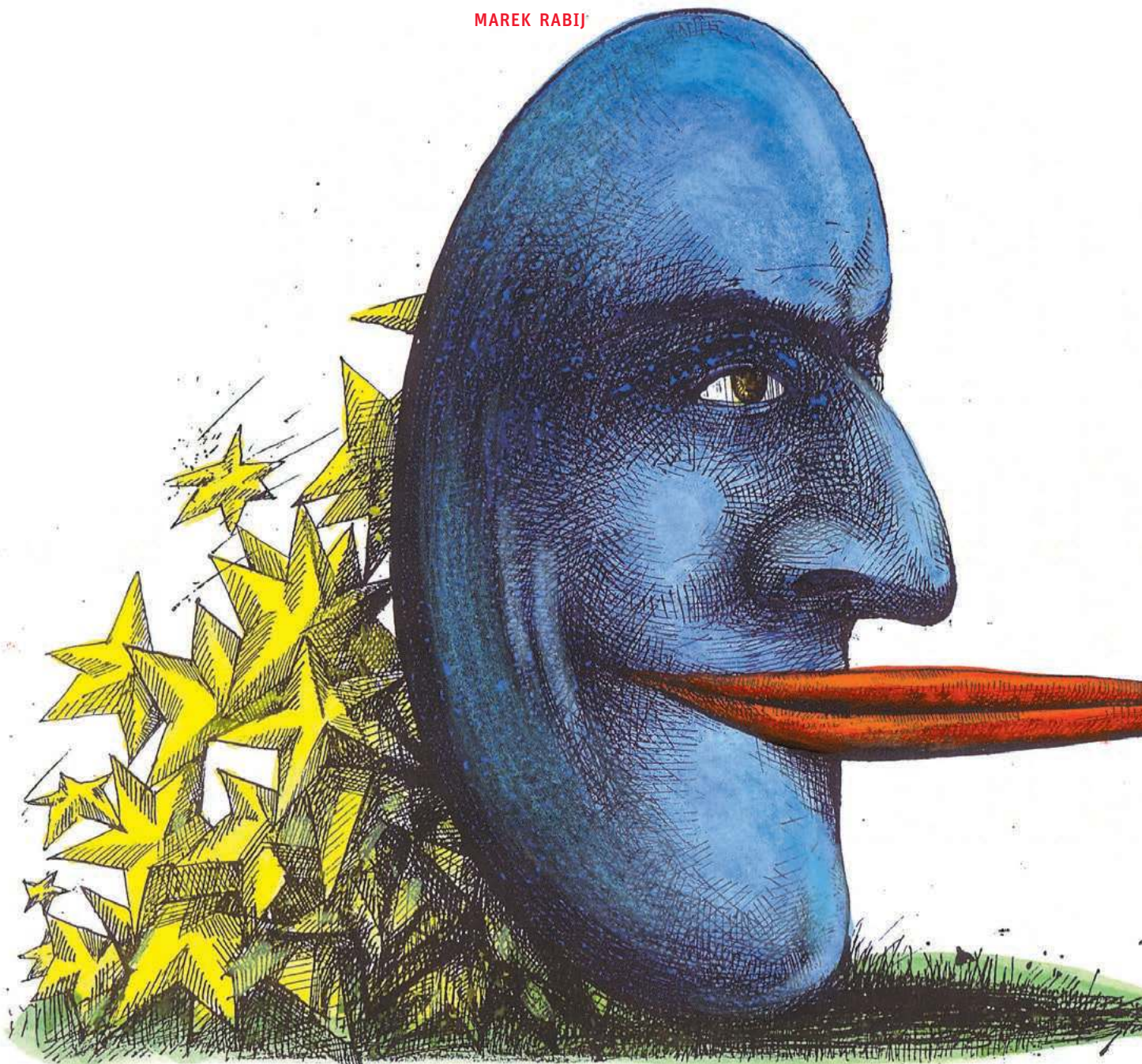
J 6, 1-15.

Wybrał PIOTR SIKORA

DUŻY MOŻE WSZYSTKO

W sprawie firmy GetBack, która najpewniej zrujnuje parę tysięcy osób, warto wyrzeć poza rytualną awanturę rządzących i opozycji o to, kto jest winny. Na drugim planie afery widać zapomniany obszar dzisiejszej Polski.

MAREK RABIJ



ARTI POZUJE DO PROFILOWEGO ZDJĘCIA W BIAŁej koszuli, z panoramą Warszawy za plecami. Robert zasłonił twarz maską antysmogową. Rafał do fotografii założył hełm pilota myśliwców, choć z opisu profilu wynika, że studio wał stosunki międzynarodowe i z lotnictwem może go łączyć najwyżej pasja. Z kolei Robert – ten w masce – jest naukowcem. Jedynie Arti w białej koszuli, który prowadzi własną firmę, na pierwszy rzut oka wygląda na kogoś, kogo z polskim rynkiem kapitałowym może łączyć dłuższa znajomość.

Łącznie jest ich tutaj – czyli na facebookowej grupie klientów i obligatariuszy poszkodowanych przez firmę windykacyjną GetBack – już ponad dwa tysiące. Pełny przekrój społeczny, zawodowy, wiekowy, także materialny. Łączy ich jedno: chcieli po prostu korzystnie ulokować oszczędności, dlatego zdecydowali się na obligacje firmy windykacyjnej GetBack. Jeszcze rok temu niemal wszyscy polscy analitycy giełdowi, maklerzy i audytorzy zgodnie nazywali ją wschodzącą gwiazdą giełdy. Kilka miesięcy później gwiazda okazała się czarną dziurą.

„Nie mów, nie pytaj”

W tej chwili wiadomo, że na obligacje GetBacku skusiło się co najmniej 9 tys. klientów, głównie ciułaczy, których do zakupu papierów windykatora namówili doradcy bankowi, kuszeni z kolei wysokimi prowizjami od sprzedaży. Pełne obliczenie wysokości strat potrwa dłużej. Z raportu rocznego spółki, po kilku zmianach terminów opublikowanego na początku lipca, wynika, że GetBack miał na koniec zeszłego roku 1,3 mld zł straty netto, przy zobowiązaniach rzędu 1,7 mld zł. Audytor, który miał sprawdzić raport – firma Deloitte Polska – odstąpił od wyrażenia swojej opinii. Podał osiem powodów tej decyzji – większość z nich dotyczy wiarygodności danych raportowanych przez samego windykatora. Prezes GetBacku Konrad K., trzech byłych członków zarządu spółki oraz dwójka ich współpracowników siedzą już w areszcie, oskarżeni o spowodowanie szkody majątkowej o wielkich rozmiarach, prowadzenie ksiąg rachunkowych wbrew przepisom i podawanie nieprawdziwych informacji.

Polski Enron – to porównanie coraz częściej pojawia się w komentarzach na temat GetBacku i nie wydaje się przesadzone. Amerykańska firma Enron pod koniec lat 90. miała inwestorów rewelacyjnymi rzekomo wynikami finansowymi, które – jak się potem okazało – były fałszerstwem popełnionym przez zarząd przy

współudziale audytorów z firmy Arthur Andersen (która zresztą musiała zakończyć przez to działalność). Kiedy w 2001 r. konta okazały się puste, Enron musiał ogłosić niewypłacalność.

Inwestorzy stracili na jego akcjach przeszło 60 mld dolarów, bo przez wiele miesięcy zarząd firmy dusił w zarodku wszelkie próby podważania jego raportów finansowych. Wydawał przy tym majątek na reklamę i kolejne raporty audytorskie. Przekupywał też brokerów w bankach inwestycyjnych, by nadal podsuwali klientom toksyczne papiery. Daniel Scotto, analityk banku BNP Paribas, który jako pierwszy odważył się nazwać Enron firmą-wydmuszką, został nawet za to dyscyplinarnie wyrzucony z pracy. Po latach, opisując chorobliwie gry interesów na Wall Street, nazwał je strategią „nie mów, nie pytaj”.

Wiele wskazuje dziś na to, że zbyt wiele osób „nie mówiło i nie pytało” także w sprawie GetBacku.

Długi na kredyt

Firmy windykacyjne skupują za bezcen prze terminowane, czyli niespłacane terminowo długi klientów banków czy operatorów telekomunikacyjnych, następnie zaś próbują wycisnąć z nich jak najwięcej dla siebie. Pieniądze zamrożone w formie zapisów w dokumentach księgowych niejako wracają w ten sposób do obiegu. Rola to niewdzięczna, dlatego też zyskowna; jeszcze niedawno rentowność branży windykacyjnej sięgała 20 proc., podczas gdy np. sieci handlowe musiały zadowolić się dwoma, trzema procentami.

Dziś nie jest już tak różowo: w życie weszły przepisy przyspieszające bieg przedawnienia długów konsumenckich. Pojawiły się także kancelarie prawnicze, które specjalizują się w doradzaniu, jak uciec windykatorom, a i sami „klienci” branży coraz lepiej znają swoje prawa i korzystają z nich, by wypłatać się z finansowych kłopotów możliwie najniższym kosztem. „Otoczenie rynkowe uległo więc pogorszeniu” – jak mawiają teoretycy zarządzania. Dlatego windykatorzy w Polsce od dłuższego już czasu robią to samo, co inne firmy w podobnej sytuacji: zwiększają skalę działalności, by w ten sposób zrekompensować sobie spadek rentowności. Rzecz jasna, na kredyt.

W tej grze GetBack cieszył się w Polsce opinią największego kozaka. W 2016 r. firma skupiła wierzytelności o wartości nominalnej 6 mld zł, ale wartość jej zobowiązań krótkoterminowych, wymagających spłaty w ciągu 12 miesięcy, wzrosła z 300 do 650 mln zł. W branżowych serwisach pojawiły się wprowadzające w błąd głosy, że spółka zadłuża się w niezwykle szybkim tempie, ale ➔

→ nikt jeszcze nie ogłaszał alarmu. Przeciwnie – GetBack zyskiwał opinię firmy wartą uwagi inwestorów, co potwierdzały raporty finansowe. W 2016 r. miał zarobić na czysto 200 mln zł. W lipcu 2017 r. firma weszła nawet na warszawską giełdę, sprzedając inwestorom 40 mln akcji po 18,5 zł za sztukę. Jesienią windykator pochwalił się wynikami za trzy kwartały, które miały zaowocować już 181 mln zł zysku. Na papierze jego model działania wyglądał więc na pozbawiony wad: co prawda firma faktycznie zadłużała się w szybkim tempie, by na kredyt skupować jak najwięcej długów, ale zarządzała nimi na tyle sprawnie, że w kasie nie brakowało pieniędzy na bieżące zobowiązania, ze spłatą kredytów i odsetek od obligacji na czele, a na koniec dnia zostawał jeszcze spory zysk.

Gdy w drugiej połowie 2017 r. GetBack wyemitował obligacje, papiery sprzedawały się oczywiście na pniu. Kupowały je fundusze inwestycyjne, otwarte fundusze emerytalne, banki, wreszcie indywidualni inwestorzy.

Na rynku, jak wspomina Jarosław Dominiak, prezes Stowarzyszenia Inwestorów Indywidualnych, nadal panowała zgoda, że choć GetBack rozwija się w szybkim tempie, to raczej nie grozi mu poślizg. Dlaczego ktoś miałby podejrzewać, że w firmie coś się nie zgadza. Przed wejściem na giełdę prześwietliła ją Komisja Nadzoru Finansowego, wyniki finansowe były świetne, a wszystko to potwierdzały jeszcze swoim autorytetem agencje ratingowe i biura maklerskie.

Istotnie. „W latach 2018–2019 będzie miała miejsce ekspansja GetBack połączona ze wzrostem przychodów (...), przy jednoczesnym utrzymaniu zadłużenia na poziomie uzasadniającym wyższą ocenę” – tak jeszcze 19 lutego 2018 r. pisali analitycy renomowanej agencji S&P w uzasadnieniu decyzji o podniesieniu ratingu kredytowego polskiego windykatora.

Dwa miesiące później, pod koniec kwietnia, GetBack nie był już w stanie wykupić zapadalnych obligacji na 88 mln zł ani nawet wypłacić 3 mln zł odsetek.

Giełdowy Midas okazał się żebrakiem i szantażystą, bo do mediów przeciekł list prezesa spółki do Mateusza Morawieckiego. Konrad K. apelował do premiera o pieniądze na ratunek, niemal grożąc, że jej bankructwo obnaży też relacje łączące GetBack ze środowiskiem politycznym Prawa i Sprawiedliwości.

GetBack kusił umorzeniem reszty długu klientom,

k którzy jednorazowo spłaca
tyle tysięcy złotych,
ile mają dzieci.

Co zatem spotkało windykatora? Są na to dwie odpowiedzi.

„Zakładałem racjonalność postępowania zarządu, a tej wyraźnie zabrakło” – waży słowa w wywiadzie dla „Forbesa” Sebastian Buczek, prezes funduszu inwestycyjnego Quercus TFI, który zainwestował w obligacje windykatora pieniądze swoich klientów.

Jarosław Dominiak: – Jeśli jesienią ktoś zapewnia, że w trzy kwartały zarobił na czysto 180 mln zł, a pół roku później nie ma na koncie nawet 3 mln, to istnieje bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że celowo wprowadzał rynek w błąd.

Brzydkie słowo na G

Bez względu na to, która z hipotez okaże się bliższa prawdy, GetBack jest dziś słowem praktycznie zakazanym w świecie polskich finansów i polityki. W gabinetach szefów funduszy inwestycyjnych trwają gorączkowe narady, jak ukryć obecność akcji i obligacji windykatora w portfelu, bo ujawnienie ich zakupu to niemal pewny spadek kursu giełdowego i odpływ klientów.

Banki, które do ostatniej chwili faszerowały klientów papierami GetBacku, szlifują strategię obronne i szacują, ile może kosztować je oskarżenie o tzw. *misseling*, czyli sprzedaż produktów finansowych zachwalanych tak, by wyglądały na bezpieczniejsze i atrakcyjniejsze, niż były w rzeczywistości. Te, które pożyczły pieniądze windykatorowi, zliczają z kolei, ile naprawdę warto są pakiety wierzycelności, którymi firma żywołała te pożyczki. Politycy od lewa do prawa równie nerwowo sprawdzają, co łączy ich z GetBackiem, i główkują, co można na tej sprawie ugrać. Platforma Obywatelska zdążyła już ochrzcić ją „Amber Gold PiS”. Partia rządząca przekazuje, że na aktualną kadencję parlamentu przypada jedynie schyłek rynkowej potęgi GetBacku.

Nawet do Komisji Nadzoru Finansowego dotarło już, że w sprawie windykatora musi zająć ostrzejsze niż zwykle stanowisko i zapowiada surowe konsekwencje dla winnych zaniedbań, z zakazem działalności w branży finansowej łącznie.

Wszyscy zgadzają się jednak, że dla kontrahentów, akcjonariuszy i obligatariuszy GetBacku przygoda z tą firmą musi zakończyć się stratą. Konta firmy świecą pustkami, a jej wartość księgowa ma wartość ujemną. Nowy zarząd proponuje zamianę zobowiązań spółki na akcje po kilka groszy za sztukę.

Długi są dla ludzi

Jaką więc historię opowiada o dzisiejszej Polsce afera GetBack? Jest to przede wszystkim opowieść o wciąż niespełnionym marzeniu, by żyć „jak na Zachodzie”, głównie w wymiarze konsumpcyjnym, bo infrastrukturalny (już) i polityczny (jeszcze) możemy uznać z grubsza za zrealizowane. Nieco inaczej rzecz ma się z dobrami konsumpcyjnymi. Jeździmy wreszcie takimi samymi samochodami co Zachód, używamy identycznych telefonów i w ubraniach tych samych marek wyprawiamy się po zakupy do centrów handlowych, które w Warszawie wyglądają identycznie jak w Berlinie czy Paryżu.

Wszystko to przychodzi jednak nam, konsumentom, wciąż z zauważalnie większym trudem niż tym na Zachodzie. Ponad 41 godzin, które statystyczny Polak zatrudniony na pełny etat spędza dziś na pracy (dane Eurostatu), dają nam czwarte miejsce w rankingu najbardziej zapracowanych w Europie – za Brytyjczykami, Cypryjczykami i Austriakami. W zestawieniach siły nabywczej łądujemy jednak dopiero na 29. pozycji. Polak (to już wyniki ostatniego badania GfK Purchasing Power Europe 2017) ma do dyspozycji zaledwie 48 proc. średniej siły nabywczej statystycznego Europejczyka, czyli 28 591 zł rocznie.

Wielu polskich konsumentów tę wydłużoną drogę na Zachód próbuje pokonać na skróty, czyli na kredyt. Dane rejestru dłużników BIG InfoMonitor oraz Biura Informacji Kredytowej pokazują, że w I kwartale tego roku suma przeterminowanych zobowiązań finansowych Polaków w porównaniu do grudnia 2017 r. wzrosła o ponad 1,9 proc. – do 65,7 mld zł. Liczba dłużników zwiększyła się w tym czasie o 7 proc., do prawie 2,7 mln.

„Metamorfoza konsumpcji od zła do cnoty jest jednym z najważniejszych, choć najmniej zbadanych spośród fenomenów XX w.” – pisał nie tak dawno amerykański ekonomista Jeremy Rifkin. Bez tej zmiany nie zaistniałby także współczesny rynek windykacyjny, dla którego dłużnicy są takimi samymi klientami jak kierowcy dla firm motoryzacyjnych. W XXI wieku dług przestał być problemem, zakłóceniem płynności obrotu towarowo-pieniężnego. Stał się jeszcze jednym z wielu produktów, co oznacza, że obsługa długu coraz mniej przypomina procedurę prawną, a coraz bardziej zwykły bazar.

GetBack również tutaj był liderem. Firma zasłynęła stworzeniem specjalnego programu lojalnościowego dla dłużników, w którym terminowe spłaty nagradzano punktami do wymiany na rozmaite produkty. Telewizor za spłatę 317 tys. zł. Mikrofalówka za zwrot 65 tys. zł. Był nawet program inspirowany rządowym 500+, w którym GetBack kusił umorzeniem reszty długu klientów, którzy jednorazowo spłacą tyle tysięcy złotych, ile mają dzieci. W zeszłym roku zabawa ta otarła się już o granice śmieszności, kiedy w mediach windykator zaczął nazywać sam siebie... rzecznikiem praw dłużnika.

Wielka korporacja sojusznikiem zjadać chleba? Nigdy w życiu.

Gdy nadzór śpi

Jest w aferze GetBacku także aspekt, który boleśnie uzmysławia przeciętnemu podatnikowi, że państwo nadal ma dla niego cięższą rękę niż dla dużych korporacji i przestępców w białych kołnierzykach.

Od afery Art B sprzed 27 lat, przez sprawy parabanków Finroyal i Amber Gold, niedawną upadłość SK Banku, aż po aferę GetBack – wszędzie tam państwo wkraczało do akcji po fakcie, w roli śledczego, który zabezpiecza materiał dowodowy, a nie jako bufor zdolny uchronić poszkodowanych przed stratami. W 1991 r., gdy Bagsik i Gąsiorowski rozkręcali oscylator finansowy, można to było jeszcze zrzucić na karb transformacji ustrojowej i przepisów nienadążających za wolnym rynkiem. Dziś KNF wybiera inną linię obrony, przekonując, że nadzór finansowy musi obdarzać uczestników rynku minimum zaufania, jeśli ma być dla nich arbitrem, a nie oprawcą.

Sporo w tym racji. W sprawie SK Banku, z którego wyparowało łącznie 2,7 mld zł i depozyty klientów, musiał interwenio-

wać Bankowy Fundusz Gwarancyjny (czyli zrzucili się klienci innych banków). A Najwyższa Izba Kontroli zarzuciła KNF interwencję spóźnioną o „co najmniej trzy kwartały”. Regulator był bierny także przy GetBacku. Pod koniec 2017 r., kiedy pierwsze biura maklerskie zaczęły cofać windykatorowi pozytywne rekomendacje, KNF dopinała właśnie na ostatni guzik kampanię ostrzegającą Polaków przed ryzykiem inwestycji w bitcoiny. Również po niewczasie, bo kurs większości kryptowalut miał załamać się dosłownie na dniach. Czego zatem brakuje?

– Moim zdaniem nadzór nad rynkiem kapitałowym w Polsce jest nieźle umocowany prawnie, szwankuje za to wykonanie – ocenia prezes jednego z funduszy inwestycyjnych, prosząc jednak o niepodawanie nazwiska w tekście. – Gdyby ludzie z Komisji więcej czasu spędzali w mieście, bywali na spotkaniach branży, nasłuchiwali, o czym szumi rynek, mogliby też częściej interweniować, zanim mleko się rozleje. Nie robią tego z prostej przyczyny: nikt tego od nich nie oczekuje. Istnieje wręcz obawa, że zwierzchnicy dopatrzą się w tym podejrzanego zbratania z biznesem.

Gdyby urzędnicy KNF wyszli dziś „w miasto”, usłyszeli by między innymi pytania o rzetelność rekomendacji udzielanych GetBackowi przez biura maklerskie i agencje ratingowe oraz o cenę, jaką za te usługi płacił im windykator. Niektórzy – jak Sebastian Buczek, szef funduszu inwestycyjnego Quercus TFI – zwracają też uwagę na niepokojące śrubowanie planów sprzedażowych w bankach, które popycha pracowników do wciskania klientom produktów, na których pracodawca zarobi więcej, a nie tych, które bardziej opłacają się klientowi. A stąd już tylko krok do misselingu.

Przykłady modelowe

Poszkodowanym pozostają oczywiście sądy. Szkopuł w tym, że i tam dysproporcja sił między korporacją uzbrojoną w sztab doradców a klientem bywa zazwyczaj druzgocąca. Błado w tym starciu wypada też sama Temida, która nie płaci rzeczoznawcom tyle, co duży biznes, i w efekcie może liczyć jedynie na wsparcie fachowców drugiego garnituru. Efekty bywają czasem wręcz groteskowe.

Gdy w 2015 r. Roman Karkosik – jeden z najbogatszych Polaków – szykował się do odparcia przed sądem oskarżenia o ma-

nipulację popytem na akcje swoich firm, obronę zlecił kancelarii prof. Zbigniewa Cwiąkałskiego, byłego ministra sprawiedliwości. Kilkaset stron ekspertyzy, która miała być podstawą aktu oskarżenia, przez wiele dni przygotowywał natomiast biegły z listy sądowej. Dostał za to wynagrodzenie o równowartości... godzinowej stawki wziętego prawnika. Ostatecznie sprawa, w której prokuratura żądała dla Karkosika i jego żony 2 mln zł grzywny oraz roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata, zakończyła się nakazem zapłaty 120 tys. zł na cele społeczne.

– W świecie graczy giełdowych od dawna panuje nieformalna zgoda na to, że tym z dużymi portfelami wolno na giełdzie więcej – mówi Jarosław Dominiak.

Tak długo, jak ich wybryki pozwalają zrobić także mniejszym, np. windując kurs akcji. Problem w tym, że rozzuchwalone rekiny giełdowe czasem decydują się zagrać przeciwko reszcie. Przykład modelowy to tzw. wezwania na akcje. Gdy jakiś inwestor przejmuje kontrolę nad spółką giełdową, zgodnie z prawem musi ogłosić wezwanie na jej akcje po cenie nie mniejszej od tej, jaką płaci za pakiet kontrolny. Kupujący często dogadują się jednak ze sprzedającymi i w rezultacie pakiet będący przedmiotem transakcji ląduje w firmie-wydmuszcze, założonej tylko w tym celu. Następnie inwestor kupuje już nie akcje, lecz firmę, a na giełdę wysyła się komunikat, że nie da się wyliczyć, po ile należałoby ogłosić wezwanie, bo kupiona spółka ma też inny majątek.

– Wezwanie idzie wtedy po średniej cenie z ostatnich kilku miesięcy, zwykle znacznie niższej od ceny tych samych papierów w pakiecie kontrolnym – wyjaśnia Dominiak. – Nawet jeśli sprawa trafi do sądu, będzie się ciągnąć latami. A jeśli zapadnie wyrok skazujący, to z karą śmiesznie niską w stosunku do zysku z całej manipulacji.

Przykłady z przeszłości można mnożyć, ale lepiej sięgnąć po aktualną prasę.

W chwili, kiedy piszę te słowa, branżowe serwisy podają, że firma transportowa Hussar Gruppa nie wypłaci obiecanych odsetek od sprzedanych obligacji, a być może to dopiero początek większych kłopotów, które mogą sprawić, że spółka w przyszłości również nie wykupi obligacji od obligatariuszy. Firma jest własnością aresztowanego niedawno prezesa GetBacku i jego rodziny.

© P MAREK RAB1J

Dla świętego spokoju

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W Biłgoraju ma stanąć dom handlowy. „Na terenie przy kirkucie” – mówi inwestor. „Na ludzkich kościach” – uważają protestujący. To niejedyne w Polsce miejsce, gdzie pamięć o zmarłych kłóci się z biznesem żywych.

JEŚLI NIE WYDARZY SIĘ NIC PRZEŁOMOWEGO, maszyny pójdą w ruch już wkrótce. Wykopią fundamenty, wyleją beton, a na końcu stanie centrum, jakiego Biłgoraj nie widział. Powierzchnia: 6 tys. metrów kwadratowych. Z parkingiem na dwieście aut, z dwudziestoma sklepami. I z restauracją.

Andrzej Nizio, inwestor: – Jeśli wyrobimy się ze znalezieniem wykonawcy, ruszamy na jesień. Ale propozycja wyjścia z klinca musi pojawić się wcześniej, bo z wykonawcą trzeba podpisać umowę, a za jej zerwanie grozi kara.

Michael Schudrich, naczelny rabin Polski: – Niech każdy to sobie wyobrazi. W grobie leży jego mama, dziadek, babcia. Ktoś mówi: zbudujemy na twojej babci dom handlowy. Ciągłe mam nadzieję, że prace nie ruszą.

Artur Bara, lokalny działacz: – Nie ruszą. – Skąd pewność? – pytam Barę. – Nigdy nikomu nie udało się zrobić interesu na ludzkich kościach.

Historia: rozdział pierwszy

– Pochodzą z różnych okresów. Ta leżąca przed nami jest z czerwonego, mocnego kamienia, a nie, jak większość, z piaskowca, dlatego nie jest popękana. Waży pewnie z dwieście kilo. Wiem, bo sam ją tu niedawno przywiozłem. O jej istnieniu powiedział nam człowiek kopiący fundament pod swój płot – Artur Bara pochyliła się nad macewą, potem omiata spojrzeniem dwieście pozostałych: większość wkomponowana w trawiasty teren, tylko nieliczne stoją.

Bara, po pięćdziesiątce, biłgorajanin z urodzenia, dba o pamięć po czterystuletniej obecności w mieście Żydów. Zakładał, a teraz współkieruje Biłgorajskim Stowarzyszeniem Kulturalnym im. I.B. Singera.

Ogrodzony i należący do gminy żydowskiej teren, na którym stoimy, to pozostałość po kirkucie. Słychać łoskot sunących przez Biłgoraj samochodów, z tyłu parking Tesco. Pojedyncze drzewa, trawa, mur pamięci z przytwierdzonymi doń macewami.

Te leżące na ziemi nie były tu zawsze. Większość zwożono latami z różnych części miasta. A to gospodarz znalazł jedną przy domu, a to ktoś inny natknął się na stelę przy drodze, a to miejscowy ksiądz poprawiał drogę prowadzącą do kościoła i zauważył kamień pozostawiony tu prawdopodobnie przez Niemców używających macew do utwardzania nawierzchni.

W książce „Biłgoraj, czyli raj. Rodzina Singerów i świat, którego nie ma” (red. Monika Adamczyk-Garbowska i Bogusław Wróblewski, UMCS Lublin) można przeczytać, że dokładna data powstania kirkutu nie jest znana, ale można ją szacować na przełom XVIII i XIX wieku; że w połowie XIX stulecia miał niespełna pół hektara; że z czasem się powiększał, a tuż przed II wojną liczył już niemal 2,5 ha.

A zatem – to w tej historii kluczowe – znacznie więcej niż ten ogrodzony teren, liczący ok. 200 metrów na 50.

„Wychodzi na to, że kupiłem cmentarz”

Rok 2008, w Biłgoraju wybucha afery: firma, która kupiła teren przylegający do ogrodzonej płotem pozostałości po kirkucie od syndyka znajdującej się tu w okresie PRL betoniarni, chce budować bazę transportową. Gdy maszyny zaczynają zrównywać teren, z ziemi wychodzą kości. „Wychodzi na to, że kupiłem prawie dwa hektary cmentarza żydowskiego” – powie „Rzeczpospolitej” prezes firmy.

Kto wie: może afery by nie było, gdyby nie spacer w poszukiwaniu butelek i złomu biłgorajanina Jana Paszki. „Przez

betoniarnię sunęły koparki, buldożer. Nagle widzę: coś bieli się w tej przeorywanej ziemi. Pomyślałem: piłka. Podchodzę bliżej – to czaszka (...) Wokół nich piszczące, różne kostki” – opowiada Elżbiecie Isakiewicz („Nieobecność czarnych wron”, „TP” 47/2008).

O tym, co zobaczył, złomiarz Paszko opowiada wcześniej Piotrowi Czarneckiemu, miejscowemu działaczowi, m.in. byłemu członkowi Stowarzyszenia im. Singera. Sprawa trafia do prokuratury, prace na terenie dawnej betoniarni zostają wstrzymane. O Biłgoraju robi się głośno; sprawa – dzięki biłgorajskiej diasporze – odbija się echem również w USA.

Ale gdy w 2010 r. wojewoda zleca wykonanie badań archeologicznych, te nie dają jednoznacznego werdyktu. Badacze znajdują pojedyncze, „znacznie rozdrobnione” kości, i zalecają zebranie, a następnie „godne pogrzebanie” szczątków. Skąd ta rozbieżność między stanem z 2008 a 2010 r.? – Na pewno jakieś szczątki przeniesiono na chronioną część kirkutu – mówi mi Zbigniew Kmiec, od początku zaangażowany w ruch protestu przeciw zabudowie terenu. – Z pewnością wywożono też kości w okolice wysypiska śmieci, by pozbyć się problemu.

Początek roku 2016: działkę od biłgorajskiej spółki kupuje inna – Nizio Development One. Jej przedstawiciele ogłaszają: na tym terenie stanie centrum handlowe (może powstać zgodnie z uchwalonym jeszcze w 2000 r. planem zagospodarowania, uzgodnionym z zamojską delegaturą wojewódzkiego konserwatora zabytków). Prezes spółki, Andrzej Nizio, pytany dziś, czy jako biłgorajanin nie wiedział nic o historii z roku 2008, odpowiada: – Doniesienia o szczątkach wystających z ziemi traktowałem z dystansem, bo nie zostały udokumentowane. Dla mnie co innego było ważne: zapoznaliśmy się z całą dokumentacją, z której wynikało, że badania archeologiczne niczego nie wykazały, a miejscowy plan zezwalał na budowę.

Jeszcze w 2016 r. do akcji wkracza nowy wojewódzki konserwator zabytków, Dariusz Kopciowski. Mapy geodezyjne, które analizuje, nie pozostawiają wątpliwości: to teren dawnego kirkutu. – W 2008 r. prokuratura stwierdziła, że odkryte wówczas szczątki pochodzą z okresu II wojny – mówi „Tygodnikowi”. – Postanowiłem działać, uznając, że decyzja delegatury konserwatora z lat wcześniejszych była urzędniczym zaniedbaniem.





Kirkut w Biłgoraju

Kopciowski jeszcze w 2016 r. zakłada kartę ewidencyjną cmentarza, i umieszcza teren w wojewódzkiej ewidencji zabytków. Inwestor tę czynność zaskarża do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Wygrywa. Konserwator wnosi kasację do

NSA, ale i w tej instancji ponosi porażkę – tym razem ze względów proceduralnych (sąd orzeka, że kartę zabytku wypełniono w sposób niezgodny z przepisami). Efekt orzeczenia? Na działce można budować. Mimo że żaden z wyroków nie wykluczył

ani istnienia w ziemi szczątków, ani nawet tego, że teren posiada walor zabytku.

Historia: rozdział drugi

J., rocznik 1921. Siedzi na stołku w kuchni, strzępki wspomnień wyrzuca z siebie spoglądając przez okno, za którym widać teren dawnego kirkutu.

„Był jeden dół, był drugi dół. Doły były jak nasza chałupa”;

„Strzelało dwóch”;

„Później, jak wystrzelali, ubrania pozbierali, samochody pojechały”;

„Później przyszły z urzędu miasta urzędniki, i musiały to zakopywać (...) Zalali, zakopali, to ja żem poszedł po tym wszystkim, takim chłopakiem byłem, poszedłem zobaczyć, jak to tam wygląda. To jeszcze się ziemia tak poruszała”.

G. idzie powolnym krokiem przez płytki śnieg, rozglądając się dookoła.

„Po czterdziestu było, oni się rozbierali do naga”;

„Najwięcej to listopad: przyprowadzili ponad stówę”;

„Tu może być koło tysiąca pochowanych”;

„Tu jest prawie grób koło grobu”.

J. i G. podczas II wojny mieszkali w Biłgoraju. Obaj zapamiętali egzekucje. Z opowieści obu wynika, że odbywały się również na terenie wykraczającym poza chronioną dziś pozostałość po kirkucie. Obaj już nie żyją, ale kilka lat temu ich wspomnienia nagrał (a teraz udostępnił „TP”) burmistrz Biłgoraja Janusz Rosłan.

Historia kirkutu została opisana w książkach, m.in. we wspomnianej „Biłgoraj, czyli raj...”. Autorzy potwierdzają, że podczas okupacji teren był miejscem egzekucji. „Przed deportacją Żydów z Tarnobrodu przywożono zwłoki z tamtejszego getta i grzebano na kirkucie w Biłgoraju. W czasie likwidacji biłgorajskiego getta (2-3 listopada 1942) zginęło około 400 osób, które pochowano na kirkucie w czterech zbiorowych mogiłach. Później, co najmniej do stycznia 1943 r., na cmentarzu rozstrzeliwano i grzebano w zbiorowych mogiłach złapanych Żydów, którzy ukrywali się w okolicy”.

W PRL na terenie działki, o którą dziś toczy się spór, powstaje państwowa betoniarnia. To jej pracownicy dopełniają zapewne dzieła zniszczenia (już wcześniej kirkut został zdewastowany, a większość macew wywieziona). – Jestem przekonany, że ciała pochowane na

→ będącym dziś przedmiotem sporu terenie zostały w haniebny sposób zepchnięte spychaczami – mówi burmistrz Rosłan.

Z całego obszaru udaje się ocalić liczący ledwie 0,7 hektara skrawek i kilkanaście macew. Teren z biegiem lat zarasta. Dopiero w latach 80. ocalali, mieszkający poza Polską biłgorajscy Żydzi doprowadzają – wraz z ówczesnymi władzami – do uporządkowania części terenu. Staje pomnik, na początku lat 90. cmentarz zostaje wpisany do rejestru zabytków.

Obok znajduje się niewielka działka należąca dziś do gminy – prawdopodobnie na nią zepchnięto spychaczami kości w czasach PRL. W jej sprawie toczy się obecnie postępowanie w komisji regulacyjnej i zostanie zapewne przekazana gminie żydowskiej.

Ale pozostaje działka trzecia, ta największa.

„Nie kupimy skradzionego roweru”

O ile prawny wymiar sprawy jest skomplikowany, to moralny zdaje się być jasny.

– Każdy, kto ma w sobie odrobinę wrażliwości, powie to samo: nie wolno budować na terenie cmentarza – mówi rabin Schudrich. – Jestem prostym rabinem, nie prawnikiem, ale nie wierzę, by polskie prawo na coś takiego pozwoliło. Zresztą fakt, że pozwala na coś przepis, nie oznacza, że ten czyn jest moralny.

O ile biłgorajski inwestor zgadza się z zasadą, iż na cmentarzach nie wolno budować, to kupionego przez siebie terenu za kirkut nie uważa. – Nie ma na to żadnych dowodów: badania archeologiczne nie wykazały śladów po rzekomym cmentarzu, więc nie mamy w tej sprawie moralnego dyskomfortu – deklaruje.

– Trudno powiedzieć, by inwestorzy, czyli trzej pochodzący z Biłgoraja bracia, byli jakimiś troglodytami, ludźmi pozbawionymi wrażliwości – mówi Zbigniew Kmiec, który zna braci Niziołów. – To po prostu sprawni ludzie, których działaniem rządzi zasada: „nie mogą martwi stać na przeszkodzie żywym”.

Podobna logika zadziałała w tym samym mieście już wiele lat wcześniej: na miejscu innego biłgorajskiego cmentarza żydowskiego (były w sumie trzy) rozbudowano istniejącą wcześniej szkołę.

Tak samo było w kilku innych miejscach Polski. – W Kazimierzu Dolnym na kościach powstał budynek szkoły i boisko – opowiada Dariusz Kopciowski.

Inwestor:

Jeśli ktoś czuje
więź z tą ziemią,
może ją od nas wykupić.

Rabin:

Jak by pan zareagował,
gdyby 50 lat temu ktoś ukradł
panu rower, a teraz przyszedł
z ofertą jego sprzedaży?

W Polsce jest dziś około 1400 cmentarzy żydowskich. Tylko kilkaset należy do gmin wyznaniowych. Tereny innych należą do Skarbu Państwa, władz lokalnych, bądź – w nielicznych przypadkach – do prywatnych właścicieli. Jeśli właścicielem jest samorząd albo osoba prywatna, ryzyko sporów jest największe. – W Zamościu bezczelność władz lokalnych doprowadziła do wybudowania drogi na terenie, na którym spoczywały ludzkie szczątki. Problem jest też w Kaliszu, gdzie władze nie chcą oddać gminie wyznaniowej terenu tzw. starego cmentarza żydowskiego – mówi rabin Schudrich.

Zaraz jednak dodaje: Biłgoraj, Zamość, Kalisz to odosobnione przykłady zaniku wrażliwości. Sytuacja większości znajdujących się w Polsce kirkutów jest albo uregulowana, albo spory udaje się zażegnać.

Marne to jednak pocieszenie dla Biłgoraja: tu szansy na rozwiązanie nie widać. – Nie jest tak, że chcemy budować za wszelką cenę. Jesteśmy gotowi się z tej inwestycji wycofać – zarzeka się Andrzej Nizio.

– W imię zasad, czy dla świętego spokoju? – pytam.

– Dla świętego spokoju. Nie chcemy na tej działce zarobić. Chcemy odzyskać za inwestowane pieniądze, a więc około pięć milionów złotych. Jeśli ktoś czuje więź z tą ziemią, może ją od nas wykupić.

Gdy sugestię inwestora powtarzam rabinowi Schudrichowi, w odpowiedzi widzę uśmiech. – Czy gdyby ktoś ukradł panu 50 lat temu rower, a teraz przyszedł z ofertą jego sprzedaży, zareagowałby pan inaczej? – pyta rabin.

Tylko kim jest „złodziej roweru”? – Na pewno nie gmina – mówi burmistrz Rosłan. – Dlatego nie podobały mi się działa-

nia wojewódzkiego konserwatora: gdyby jego starania o objęcie terenu ochroną doszły do skutku, musielibyśmy zmienić plan zagospodarowania, co oznaczałoby z kolei konieczność wypłaty odszkodowania. To pieniądze będące równowartością puli budżetu przeznaczanej rocznie na inwestycje! Ta droga to nic innego jak przerzucanie odpowiedzialności przez Skarb Państwa na samorząd.

Że państwo polskie ponosi moralną odpowiedzialność za to, co stało się ze spornym dziś terenem, nikt nie ma wątpliwości. Nieoficjalnie wiadomo też, że rozmowy między gminą żydowską a urzędnikami trwają.

Czasu coraz mniej

Z Arturem Barą wychodzimy z terenu ogrodzonego płotem kirkutu, stajemy przed postawionym nieopodal, wysokim na trzy metry murem. To biłgorajska „ściana pamięci” – zbudowana przez Stowarzyszenie im. Singera wyłącznie ze składek (potomków biłgorajskich Żydów i obecnych mieszkańców miasta) – z wbudowanym na jej froncie pojemnikiem. W środku kamienie: symbol zakończonego życia, ku pamięci tych, którzy nie znaleźli spokoju na żadnym z trzech biłgorajskich kirkutów.

Odwiedzamy inne ważne punkty miasta: choćby postawioną niemal dekadę temu przez stowarzyszenie Ławeczkę Singera (pomnik autorstwa rzeźbiarza Karola Badyny przedstawia słynnego – mieszkającego przez kilka lat w Biłgoraju – pisarza) czy postawioną przez Fundację Biłgoraj XXI i jej prezesa Tadeusza Kuźmińskiego replikę pięknej synagogi z XVII wieku.

Bara opowiada mi o sobie – o tym, jak w liceum zafascynował się pisarstwem Singera; jak odkrył jego biłgorajskie korzenie; jak z tej fascynacji zrodziła się potrzeba poznawania przeszłości – ale jego historia jest też w jakimś sensie historią najnowszą miasteczka: zapomniana i wyparta przez PRL i pierwsze lata III RP historia żydowskiego Biłgoraja zaczęła żyć. Z udziałem potomków dawnych biłgorajan, którzy zaczęli tu przyjeżdżać.

Co się stanie, gdy na świętym dla Żydów miejscu stanie centrum handlowe? W Biłgoraju słysząc i takie głosy: cała praca na rzecz pamięci pójdzie na marne.

A czasu na znalezienie dobrego rozwiązania jest coraz mniej.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Odrestaurowany park Krakowski, lipiec 2018 r.

Ofensywa trawników

TEKST PIOTR KOZANECKI, ZDJĘCIA JACEK TARAN

W III RP polskie miasta ze zmiennym szczęściem, ale jednak rozwijały obiekty publiczne wszelakiego rodzaju. Z wyjątkiem parków. Od czterech lat idzie jednak zielona zmiana.

W MYŚLENIU I PISANIU O MIASTACH bardzo przydaje się zadawanie pytań, które wydają się na pierwszy rzut oka absurdalne. Przestrzeń, którą zastajemy, traktujemy jako naturalną, i pytania w stylu: dlaczego krawężniki przy przejściach dla pieszych nie są obniżone do poziomu jezdni, żeby można było przejechać wózkiem (rowerem, hulajnogą, deskorolką, czymkolwiek), nie przychodzą nam zbyt często do głowy. Rzadko kiedy zastanawiamy się też, skąd się biorą parki.

Z wykładów historii dowiemy się zazwyczaj, jak powstał rynek i ulice wokół niego, kiedy zbudowano ratusz, najstarsze kościoły, ewentualnie zamek. Ale parki są przezroczyście. Ich istnienie to jednak wynik świadomej decyzji i planowania. Ktoś

kupił pod nie ziemię, ktoś zapłacił za realizację, ktoś uznał, że jakiś kawałek atrakcyjnego zazwyczaj terenu będzie przeznaczony nie pod zabudowę, ale właśnie pod zupełnie ekonomicznie nieopłacalne drzewa, alejki i klomby z kwiatami. Jeśli to brzmi „niedzisiejszo”, to intuicja nas nie myli – przez ostatnie 30 lat nowych parków powstało w Polsce niewiele.

Daliśmy się trochę w ostatnich dekadach znieczulić. Bo najstarsze parki w Polsce zaczęły powstawać jeszcze w XVIII wieku. Później wyznaczali je zaborcy, znajdowano na nie miejsce i pieniądze w dwudziestolecu międzywojennym, niejeden powstał nawet w niespecjalnie dbającym przecież o dobre samopoczucie obywateli PRL-u.

Kilka przykładów z przeszłości daje nam bardzo pouczające lekcje. Najstarsze parki powstawały na należących do króla bądź arystokracji terenach polowań. Taką genezę mają najbardziej znane na świecie londyński Hyde Park, berliński Tiergarten, paryski Lasek Bulonński czy gigantyczny monachijski Englischer Park. Gdy miasta zaczynały się rozrastać i otaczać te ziemie zabudową, na polowania przestawały się nadawać, ale dostrzegano ich wartość i udostępniano mieszkańcom.

W innej sytuacji były natomiast miasta amerykańskie. Siatka prostokątnych ulic Nowego Jorku została wyznaczona słynnym *Commissioners' Plan* w 1811 r., ale nie było tam przewidzianego obszaru zieleni. Dopiero w latach 50. XIX w. okazało się, że w błyskawicznie rozrastającym się mieście jedynym wolnym od zwartej zabudowy kawałkiem ziemi może stać się za chwilę cmentarz. W 1853 r., wcale nie bez oporów, a po burzliwej dyskusji, rada miasta zdecydowała o wytyczeniu Central Parku. Czy dziś ktoś wyobraża sobie miasto bez tego miejsca?

Planiści i wizjonerzy

W Polsce najstarsze parki także powstawały na terenach należących pierwotnie do arystokracji, ale tak ogromnych założeń, jak wymienione powyżej parki Europy, nie mamy. W XIX w. tereny zielone całkowicie świadomie projektowano natomiast na miejscu rozbieranych starych fortyfikacji. Tak powstały krakowskie Planty, wrocławska Promenada Staromiejska, parki Słowackiego i Kopernika, a w Warszawie park Traugutta. W dawnych czasach nie uciekano także przed czymś, co jeszcze kilka lat temu wydawało się zupełnie niemożliwe, czyli przed wykupem ziemi z rąk prywatnych w celu założenia parku. A takie transakcje znamy zarówno z okresu Rzeczypospolitej Obojga Narodów (Ogród Krasieńskich w Warszawie), okresu zaborów (park Młociński w stolicy, park Moniuszki w Poznaniu), jak i dwudziestolecia (park Julianowski w Łodzi, parki Dreszera, Żeromskiego czy gen. Sowińskiego w stolicy). Najbardziej chyba spektakularnym przykładem takiego działania jest Las Wolski w Krakowie. Położoną na wzgórzach za kopcem Kościuszki ziemię wykupiła Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa, potężna wówczas instytucja. Wykupiła i przekazała miastu – 419 hektarów – z przeznaczeniem pod park. Co ciekawe, stało się to w bardzo trudnym

→ okresie, bo pod koniec I wojny światowej. I trudno sobie wyobrazić, żeby nie istniała wtedy „presja inwestycyjna”, czyli mówiąc po ludzku: zamiar, by ten obszar zabudować. Był to bowiem moment realizacji planów poszerzania granic w myśl idei prezydenta miasta Juliusza Lea. Gdyby w tym miejscu znakomici polscy architekci lat 20. lub 30. zaprojektowali osiedla, na pewno byłyby do dziś doskonałym krakowskim adresem.

Ale jeszcze trudniejsze do zrozumienia z punktu widzenia dzisiejszych czasów są parki, które powstały dzięki społecznikom-wizjonerom. Zdarzali się w XIX i na początku XX w. przedsiębiorcy, którzy zakładali parki na własnej ziemi lub przekazywali ją miastu. Albo walczyli o pozostawienie w nieużytku kawałek terenu i wielką determinacją do powstania parku doprowadzali. To nie były wcale odosobnione przypadki, wiele dużych polskich miast ma takie postacie w swojej historii. W Poznaniu to Władysław Czarnecki, któremu stolica Wielkopolski zawdzięcza widoczne w planie miasta do dziś kliny zieleni, czy Józef Mycielski, do którego należały tereny Małty, a które jeszcze pod zaborem udostępniał na zajęcia młodzieży. We Wrocławiu był to Julian Shottlander, kupiec, który dorobił się na handlu z pruską armią. Dzięki jego filantropii wrocławianie mogą się do dziś cieszyć dużym parkiem Południowym. W Krakowie niewiele osób pamięta cukiernika Stanisława Rehmana, który założył dzisiejszy park Krakowski (niedawno odrestaurowany), ale prawie każde dziecko zna park Henryka Jordana – nazwany na cześć jego twórcy, wielkiego propagatora ćwiczeń fizycznych i wychowawcy młodzieży.

Najlepszy okres naszej historii ostatnich 200 lat nie będzie mógł się natomiast poszczycić takimi miejscami. Najgorzej pod tym względem wyglądają lata 90. W 2002 r. Gdańsk zaplanował i zrealizował nowe duże założenie parkowe, czyli park im. Ronalda Reagana. Od transformacji ustrojowej musiało minąć 25 lat, żeby samorządy zaczęły myśleć nie tylko o utrzymywaniu zieleni, którą dostaliśmy w spadku po światlejszych przodkach, ale też inwestowaniu w nową. Różnorodnych inwestycji w tym czasie nie brakowało – aquaparki, orliki, sale gimnastyczne, nowe place zabaw, siłownie pod chmurką, nie wspominając oczywiście o twardej infrastrukturze drogowej czy wielkich obiektach kulturalno-kongreso-

Przez ćwierć wieku
zdążyliśmy wybudować
ogromne osiedla, na których
**zielono będzie tylko
wówczas**, jeśli na taki kolor
pomaluje się elewacje.

wych. Zielona ewolucja zaczęła się natomiast dopiero 4-5 lat temu. I trzeba przyznać, że rozwija się coraz lepiej.

Ostatnie skrawki

– Odkryliśmy, że potrzebujemy w mieście różnych wymiarów zieleni – opowiada Piotr Kempf, szef krakowskiego Zarządu Zieleni Miejskiej. Nowa instytucja powstała w połowie 2015 r. Jej powołanie poprzedziła kilkuletnia walka skupionych wokół artystki Cecylii Malik aktywistów miejskich o kamieniołom na Zakrzówku. To piękna i dzika enklawa zieleni – dwa połączone ze sobą zbiorniki ze szmaragdowo błękitną wodą i białymi wapiennymi skałami dookoła, 20 minut zwawego spaceru od Wawelu. Teren trafił do portugalskiej spółki Gerium, która planowała w bezpośrednim sąsiedztwie budowę osiedla. Krakowianie zaprotestowali na tyle skutecznie, że osiedle nie tylko nie powstało, ale miasto podjęło bezprecedensową decyzję wykupu ziemi za 26 mln zł. Symbolem protestu został niebieski motyl modraszek, a zieleń stała się ważnym elementem kampanii wyborczej w 2014 r. To wówczas prezydent Jacek Majchrowski obiecał powołanie osobnej instytucji odpowiedzialnej właśnie za ten aspekt zarządzania miastem.

ZZM w trzy lata stał się chyba najbardziej lubianą częścią urzędu. – Koniec myślenia dużymi parkami. Zieleni to są także pasy przydrożne, parki kieszonkowe, nieduże skwery, ogrody społeczne, łąki kwietne – wylicza Kempf. Te ostatnie wywołały mnóstwo entuzjastycznych i wyrażanych w listach do ZZM reakcji i stały się jedną z wizytówek instytucji. Różnorodne kwietne mieszanek wysiano na 10 hektarach łąk, w pasach przydrożnych i wzdłuż chodników.

Zarząd zaczynał od 30-40 zadań rocznie, dziś ma ich już ponad 150 i budżet

100 mln zł. – To jest około 3 procent budżetu miasta. Taki odsetek chcielibyśmy utrzymać i wydawać te pieniądze w następujących proporcjach: jedna trzecia na utrzymanie, jedna trzecia na wykup terenów pod zieleń, jedna trzecia na projektowanie i realizację nowych terenów zielonych – tłumaczy dyrektor ZZM.

Zmianę, która dokonała się w Krakowie w ciągu trzech lat funkcjonowania ZZM, widać gołym okiem. Nowa instytucja sadzi kolorowe łąki kwietne, z mieszkańcami porozumiewa się dzięki aplikacji Collectively oraz na Facebooku i Messengerze, zachęca do samodzielnego sadzenia drzew (prosi tylko, żeby zawsze o takim „partyzanckim” nasadzeniu poinformować, by nieznanego pracownikom drzewa nikt nie usunął), przygotowała zasady tworzenia ogrodów społecznych. Dzięki ZZM sfinalizowana została budowa parku Reduta na północy miasta, szybko powstał też niewielki, ale bardzo ważny park Stacja Wisła na Zabłociu – to był ostatni skrawek terenu nadający się pod jakąkolwiek zieleń w tej całkowicie zabudowanej apartamentowcami dawnej przemysłowej dzielnicy.

ZZM zyskuje dzięki sporemu budżetowi i dynamicznemu kierownictwu, natomiast w korytarzach krakowskiego urzędu miasta jego pracownicy bywają traktowani jak nieszkodliwi wariaci. Gdy próbowali zaingerować i trochę „uzielenić” projekt Trasy Wolbromskiej – nowej dwupasmówki, która razem z drogą tramwajową ma powstać na północy Krakowa – spotkali się ze stanowczym sprzeciwem. – Wszystko, co się wydarzyło i dzieje się nadal w sprawie krakowskiej zieleni, może być początkiem zmian w rozwoju każdej aglomeracji miejskiej. Zmian, których – miejmy nadzieję – nie da się zatrzymać – komentuje optymistycznie Kempf.

Ogrody deszczowe

Specjalne instytucje powołane do zajmowania się zielenią powstały także w innych miastach. Swoją Zarząd Zieleni ma Warszawa (rok młodszy od krakowskiego), w Łodzi działa od 2012 r., a w jego strukturach od maja 2018 r. funkcjonuje ogrodnik miejski Beata Jędrusiak. – Zieleni przyciąga większą uwagę radnych i mieszkańców niż jeszcze kilka lat temu. Mamy już za sobą otwarcie nowego parku na ulicy Łososiowej na Radogoszczy. Był współfinansowany z budżetu obywatelskiego, więc w jego projektowaniu spory



*Park kieszonkowy przy ul. Dekerta w Krakowie, zaprojektowany przez Zarząd Zieleni Miejskiej i studentów UJ.
W głębi – Ogród Motyli z domkami dla owadów. Lipiec 2018 r.*

udział mieli mieszkańcy – opowiada Jędrusiak. Ogródnik miejski stawia sobie za cel także stworzenie standardów utrzymania zieleni, których trzymałyby się wszystkie miejskie jednostki, ale też np. wspólnoty mieszkaniowe, oraz kompleksową politykę rozwoju zieleni w Łodzi. Co ciekawe, w gestii łódzkiego ZZM jest np. ogród botaniczny, ale nie parki kieszonkowe – czyli zajmujące zazwyczaj powierzchnię jednej lub dwóch zburzonych kamienic działki ze zorganizowaną zielenią, ławkami czy huśtawką dla dzieci. – Parkami kieszonkowymi zajmuje się Wydział Gospodarki Komunalnej, my jedynie opiniujemy projekty – wyjaśnia Beata Jędrusiak.

Ciekawa sytuacja ma miejsce w Gdańsku, który ma sporo osiągnięć, jeśli chodzi o rozwój przestrzeni zielonych. Oprócz zaplanowanego już w 2002 r. na terenach zapuszczonych ogródków działkowych parku Reagana powstały tam także dwa parki z udziałem podmiotów prywatnych, a jeden z nich na dodatek z niemałą rolą Kościoła. Mieszkańcy Gdańska i turyści nie muszą nawet tego wiedzieć, ale gdy spacerują po parku Oliwskim, to mogą znajdować się albo na terenie cystersów, albo firmy, która wykupiła fragment zabytкового założenia wraz z niszczącym tam dworkiem. Nie obyło się bez kontrowersji, ale umowa z miastem została tak

skonstruowana, że firma odnowiła dworek i ma w nim swoją siedzibę, a teren jest dostępny dla wszystkich. W przypadku parku na Kozacznej Górze natomiast inwestor podzielił ziemię na dwie części – pierwszą podzielił na mniejsze działki i sprzedał pod zabudowę, a drugą uporządkował, przygotował alejki aiprzeka-zał miastu za symboliczną złotówkę.

Wprawdzie zielenią wciąż zarządzają drogowcy (nie jest to nic wyjątkowego, wiele miast ma jednostki, które zajmują się jednocześnie drogami i parkami), ale stolica Pomorza ma też miejską spółkę Gdańskie Wody. Jej głównym zadaniem jest zarządzanie zbiornikami retencyjnymi. Ale na marginesie tej działalności dzieją się rzeczy dużo ciekawsze. – Gdańsk ma 51 zbiorników retencyjnych i większość z nich jest wykorzystywana rekreacyjnie. Są często położone w otoczeniu zieleni, robimy tam siłownie, stoły szachowe, ławki, ścieżki biegowe – wylicza Agnieszka Kowalkiewicz ze spółki. – Cały czas powstają nowe zbiorniki i standardem przy projektowaniu jest nie tylko funkcja retencyjna, ale także rekreacyjna.

Najnowszym pomysłem spółki są ogrody deszczowe. – Przypominają klasyczny ogród, ale zbudowany ze specjalnych roślin hydrofitowych, które oczyszczają deszczówkę i odprowadzają ją do gleby. To zwiększa bioróżnorodność i po-

prawia mikroklimat. Ogród deszczowy może przypominać oczko wodne, ale może być „suchy”, w skrzynce. Każdy w obrębie swojego ogrodu może go przygotować. W internecie udostępniliśmy poradnik, jak zrobić ogród deszczowy w pięciu krokach – tłumaczy Kowalkiewicz.

Trudno powiedzieć, czy obecny proces można nazwać postępowaniem, skoro ludzie doskonale zdawali sobie sprawę z wagi zieleni w mieście już 150 lat temu. A jednak na dobre ćwierć wieku o tym zapomnieliśmy i zdążyliśmy w tym czasie wybudować ogromne osiedla, na których zielono będzie tylko wówczas, jeśli na taki kolor pomaluje się elewacje.

To prawda, że budowane w czasach PRL-u kompleksy w momencie powstania także przypominały raczej pustynię, ale odległości pomiędzy blokami były na tyle duże, że sadzono pomiędzy nimi drzewa, które dziś sięgają swoimi koronami nie raz powyżej betonowych sąsiadów. Na krakowskim Ruczaju czy warszawskiej Białołęce to nie będzie możliwe, tam da się wydzielić co najwyżej mikroskopijne skwerki.

Dobre i to, w końcu, jak lubi podkreślać Piotr Kempf, w mieście liczy się każde źdźbło trawy. © PIOTR KOZANECKI

Autor jest dziennikarzem onet.pl, współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”.



KONCEPCJA MNIEJSZOŚCI

Pawła VI przedstawia się jako kogoś, kto musiał podjąć jedną z bardziej dramatycznych decyzji XX wieku. Udostępnione właśnie archiwa dotyczące encykliki „Humanae vitae” pokazują inną rzeczywistość.

ARTUR SPORNIAK

OJCZE ZALBA, CZY NAPRAWDĘ WIERZYSZ, że Bóg wykonywał wszystkie wasze polecenia?” – zapytała Patty Crowley. Od dłuższej chwili spierali się o to, czy Kościół powinien zaakceptować antykoncepcję jako metodę kierowania płodnością. Amerykanie Pat i Patty Crowley – jedno z trzech małżeństw zaproszonych do komisji przez Pawła VI – właśnie przedstawili wyniki badań ukazujących trudności, z jakimi borykają się katolicy stosujący metodę bazującą na rozpoznawaniu okresu płodności u kobiety – jedyny sposób kontroli poczęć zaakceptowany przez Kościół. Wniosek nasuwał się taki, że Kościół powinien się wycofać ze szczegółowego określania, jak katolickie małżeństwa mają postępować podczas współżycia.

Jezuicki moralista o. Marcelino Zalba uznał, że sytuacja robi się niebezpieczna – wycofanie się magisterium z głoszenia tak wyraźnie określonej przez dwóch ostatnich papieży normy („niestawiania przeszkody prokreacji”) może doprowadzić do zachwiania się całego gmachu moralności. Jednak neoscholastyczne formuły, którymi tak dobrze operował, nie przystawały do argumentów z życia wziętych. W końcu, wyobrażając sobie, że za-

sady zostają złagodzone, w desperacji rzucił: „Co z tymi milionami, które wysłaliśmy do piekła?”.

O jakie „miliony” chodziło?

W katolickiej teologii moralnej funkcjonuje koncepcja grzechu formalnego: czyn sam w sobie może być dobry, ale jeśli osoba go popełniającą jest przekonana, że grzeszy – wtedy, choć „materialnie” nie robi niczego złego, rzeczywiście grzeszy, zgodziła się wszakże na grzech. Miliony używały antykoncepcji w przekonaniu, że grzeszą, bo takie było nauczanie. Tymczasem Kościół odwołał niemoralność ich czynów. Grzech jednak „intencjonalnie” pozostał i to z powodu Kościoła, gdyż wmawiał go ludziom. Takie było rozumowanie jezuitów. Domyślmy je do końca: skoro jednak antykoncepcja jest grzechem i Kościół nie zmieni nauczania, to owe miliony trafiły do piekła po prostu z własnej winy... Riposta Patty okazała się celna.

Watykańskie archiwa

Była wiosna 1966 r. Już wtedy zdawano sobie sprawę, że kościelne nauczanie o małżeństwie nie działa, że „miliony” – z większymi czy mniejszymi rozterkami – je bagatelizują. Anegdota o Patty Crowley i ojcu Zalbie to migawka z frontu zmagania o nowy kształt nauczania na temat małżeństwa, który w latach 60. zainspirowany został odnową soborową. Zogniskował się on na problemie akceptacji →

Paweł VI spotyka się z dziećmi podczas wizyty w Genewie, czerwiec 1969 r.

→ antykoncepcji, ale oczywiście obejmował więcej zagadnień. Przede wszystkim chodziło o wizję małżeństwa.

Dotychczas Kościołowi wystarczało prawnicze podejście i wizja zaproponowana jeszcze w V wieku przez św. Augustyna, który w małżeństwie widział trzy dobra: prokreację, nierozzerwalność i symbolizowanie związku Chrystusa z Kościołem. Małżeństwo traktowano jako prawną umowę nakładającą obowiązki i dającą przywileje stanu małżeńskiego. To podejście było niespójne, bo podkreślano, że głównym celem i sensem istnienia małżeństwa jest prokreacja, ale zarazem małżeństwo nie przestawało trwać w przypadku niepłodności. Mówiono – za św. Tomaszem – że małżeństwo niepłodne realizuje się w drugorzędnych celach: wzajemnej pomocy i legalnym uśmierzeniu pożądliwości. To tak, jakby powiedzieć, że ma sens szkoła bez uczniów, bo choć nie spełnia pierwszorzędного celu nauczania i wychowywania, daje pracę administracji.

Dopiero na Soborze Vaticanum II pojawiło się nowe określenie małżeństwa jako głębokiej wspólnoty życia i miłości, opisywanej bez odwoływania się do pierwszorzędnych i drugorzędnych jego celów. Ale gdy w 1964 r. biskupi zgromadzeni w auli soborowej zaczęli rozważać, jak się ma takie określenie do odpowiedzialnego rodzicielstwa i metod kontroli płodności, interweniował Paweł VI. Papież zarezerwował dla siebie rozstrzygnięcie tego problemu.

Dziś wiemy o wiele więcej o tym, co się wydarzyło między rokiem 1964 a momentem ogłoszenia encykliki „Humanae vitae” 25 lipca 1968 r. Papież Franciszek z okazji półwiecza encykliki zlecił profesorowi antropologii teologicznej ks. Gilefredowi Marengo zbadanie kulis powstania dokumentu. Naukowiec z Papieskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną w Rzymie właśnie ogłosił owoc swoich badań – książkę „Narodziny encykliki »Humanae vitae« w świetle dokumentów Archiwum Watykańskiego” [zob. omówienie Andrei Torniello na powszech.net/tornielli]. Ujawnione fakty rzucają nowe światło na zmaganie o kształt teologii małżeństwa sprzed 50 laty.

Sugestia zmiany nauczania

To były pierwsze lata od opracowania pigułki antykoncepcyjnej, która pojawiła się w amerykańskich aptekach po raz pierw-

Mimo zredagowania na nowo i wszystkich zabiegów łagodzących, **encyklika potępiająca antykoncepcję spotkała się z masową krytyką** nie tylko świeckich, ale także teologów i biskupów.

szy w 1960 r. Papież nie chciał, by gorący temat antykoncepcji trafił pod obrady Soboru. W przemówieniu wygłoszonym w czerwcu 1964 r. do kardynałów zdecydował, że zajmie się tym powołana rok wcześniej przez Jana XXIII specjalna komisja. Sam rozszerzył jej skład do 75 osób. Do teologów moralistów, lekarzy i specjalistów od demografii dołączyły m.in. wspomniane trzy małżeństwa. Dawało to nadzieję, że Kościół uwzględni realne problemy życia małżeńskiego.

Podczas drugiego spotkania komisji w rozszerzonym składzie w 1966 r. (to wtedy doszło do spięcia między Zalbą a Crowley) opracowano dokument, który wszedł do historii jako „raport większości”. Rekomendował on pozostawienie małżonkom decyzji o wyborze odpowiedniej dla nich metody regulowania poczęć, dopuszczając hormonalną antykoncepcję w szczególnych przypadkach. Sygnowało go 19 teologów moralistów, a poparła zdecydowana większość członków komisji. Tylko czterech moralistów – w tym o. Zalbą – zgłosiło *votum separatum* i opracowało własny dokument (raport mniejszości). Szczegółową polemikę z tym tekstem podjęli z kolei trzej teologowie w „raporcie przygotowującym zmiany”, w zamysle autorów będącym projektem nowej encykliki – trzecim z dokumentów, które w maju i czerwcu tamtego roku trafiły na biurko Pawła VI. Papież przekazał te teksty pod dyskusję komisji złożonej z 16 biskupów. Dziewięciu poparło antykoncepcję, trzech się wstrzymało, trzech związanych z Kurią Rzymską było przeciwnych, a zaproszony do komisji bp Karol Wojtyła nie dojechał na spotkanie, gdyż nie dostał wówczas od władz PRL paszportu.

O przełamanie jakiej mentalności chodziło, pokazuje cytat z raportu mniejszości: „W rzeczywistości, cel jednoczący

można osiągnąć w inny sposób – przekonali rzymscy moralisci – o czym teoria antykoncepcji nigdy nie mówi; małżeńska miłość jest bowiem nade wszystko duchowa (jeśli jest prawdziwą miłością) i nie wymaga żadnego specjalnego gestu cielesnego, a tym mniej jego powtarzania z określoną częstotliwością. W rezultacie twierdzenie, że ów gest cielesny jest powodowany chęcią szczodrego oddania i że nie wchodzi w to hedonizm, jest podejrzane. Przecież istnieje intymna miłość drugiej osoby między ojcem a córką, bratem a siostrą, bez potrzeby cielesnych gestów”.

W kwietniu 1967 r. raport większości przecieł do prasy. Wzmogło to oczekiwania zmian. Papież jednak dawał do zrozumienia, że żadnych zmian nie będzie. Na przykład we wrześniu 1967 r. w przemówieniu do członków Zgromadzenia Najświętszego Odkupiciela Paweł VI mówił: „Należy zważać, aby nie szerzyć wśród wiernych odmiennej opinii, jakoby po Soborze były dziś dozwolone pewne czyny, które dawniej Kościół uznał jako z natury złe. Któż bowiem nie dostrzega, że prowadziłoby to do godnego ubolewania relatywizmu moralnego, który mógłby łatwo podważyć całe dziedzictwo doktryny Kościoła?”.

Nowe fakty

Tyle do niedawna wiedzieliśmy. Ks. Marengo ujawnił kilka istotnych faktów. Pierwszy to kolejny sondaż wśród biskupów, który przyniósł podobny wynik. W październiku 1967 r. podczas odbywającego się w Watykanie Synodu papież poprosił jego członków, by słali swoje sugestie – jakby chciał jeszcze raz sprawdzić, co o antykoncepcji sądzi na świecie hierarchia. Na dwustu biskupów wypowiedziało się tylko 26, w tym 19 za antykoncepcją, a 7 przeciw. Najbardziej obszerne opracowanie przysłał w marcu 1968 r. kard. Karol Wojtyła (tzw. memoriał krakowski zredagowany przez pięciu duchownych – księży Jerzego Bajdę, Stanisława Smoleńskiego i Juliusza Turowicza oraz benedyktyna o. Karola Meissnera i jezuitę ks. Tadeusza Ślipkę).

Bardziej sensacyjną nowiną jest ujawnienie przez ks. Marengo, że Paweł VI przygotował do publikacji, i o mały włos nie ogłosił, inny tekst niż „Humanae vitae”. Dokument miał się nazywać „De nascendae proles” (O narodzinach dziecka) i był przeredagowanym przez dominikańskiego moralistę o. Maria Luigiego

Ciappiego (późniejszego kardynała) projektem przygotowanym przez Kongregację Doktryny Wiary jesienią i zimą 1967 r. „Ciappi kierował się w tej pracy trzema zasadami – pisze Marengo. – Chciał potwierdzić prymat prokreacyjnego celu małżeństwa, zakwestionować słuszność zasady całościowości [całość współżycia małżonków, którzy nie wykluczają rodzicielstwa, usprawiedliwia stosunki z rozmysłem uczynione nieplodnymi], nadać encyklice rangę dokumentu, który zamknie raz na zawsze wszelką debatę na ten temat”. „W ten sposób przyszła encyklika została sprowadzona, jeśli chodzi o jej cel, do prezentacji rygorystycznego stanowiska nauczania moralnego Kościoła” – konkluduje Marengo, zauważając, że z ostatecznej wersji zniknęło istniejące pierwotnie odniesienie do chrześcijańskiego zrozumienia miłości małżeńskiej.

Paweł VI 9 maja 1968 r. zatwierdził tekst encykliki, ustalając datę jej ogłoszenia na 23 maja, w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Wydrukowana została już wersja łacińska. Czekano na tłumaczenia na języki nowożytny. I wówczas przypadek sprawił, że historia potoczyła się inaczej. Interweniowali młodzi tłumacze języka francuskiego, późniejsi kardynałowie ks. Paul Poupard i ks. J. Martin. Marengo cytuje znaną w archiwum watykańskim notatkę przez nich podpisaną: „Poza kwestiami stylistycznymi już samo założenie dokumentu, jego negatywna i restrykcyjna wymowa, wydaje się nie być odpowiednia do założonego celu, jakim jest uczynienie bardziej zrozumiałym dla dzisiejszego człowieka i – na ile to możliwe – bardziej akceptowalnym nauczanie Kościoła w tak delikatnej i dyskusyjnej kwestii”.

Papież przychylił się do tej krytyki i wstrzymał publikację encykliki, zlecając Francuzom nową jej redakcję. Zauważmy, że kwestia nie dotyczyła zmiany nauczania, tylko stylu, w jakim papież zamierzał potwierdzić dawne potępienie antykoncepcji.

Tornielli, komentując książkę Marengi, pisze: „»De nascendae prolis« przesadnie kładła nacisk na obowiązek zgodności z doktryną, natomiast nowa encyklika na pierwszym miejscu wynosiła wsparcie i pomoc Kościoła w drodze ku pełnej zgodności z Bożym planem miłości. W akapitach adresowanych do kapłanów, troszczących się o dusze wiernych, poza oczywistym ponownym wezwaniem do wier-

ności nauczaniu Kościoła, położono duży nacisk na konieczność cierpliwego i pełnego dobroci przyjęcia grzeszników, podkreślając wagę wierności sakramentom, które są nieodzownym wsparciem w drodze ku doskonałości, której nie mogą przekreślać jakiejkolwiek nawet zbyt często powtarzające się upadki”.

Ostatecznie wersja „francuska” okazała się za mało stanowcza. Nie podobało się to – jak pisze ks. Marengo – że „ton, w jakim sformułowano wezwanie do pójścia za wskazaniami nauczania Kościoła w sprawie metod regulacji narodzin, pozbawiony został wydzwieku doktrynalnego i dyscyplinarnego, przyjmując raczej perspektywę wsparcia par małżeńskich, zapraszanych do nadawania coraz pełniejszego, chrześcijańskiego kształtu ich wzajemnej miłości”.

Tekst poprawiał sekretarz Kongregacji Nauki Wiary, abp Paul-Pierre Philippe, a potem sam papież – prawdopodobnie przy pomocy swego zaufanego teologa bp. Carla Colombo – jak zauważa Tornielli. 8 lipca 1968 r. encyklika „Humanae vitae” została podpisana.

Bez dramatyzmu

O czym mówi ujawniony proces redakcyjny? Nie jest prawdą, że Paweł VI przeżywał dylematy, długo się zastanawiał, by w końcu podjąć hamletyczną decyzję, jak to czasem jest przedstawiane. Najprawdopodobniej od początku należał do twardych przeciwników antykoncepcji. Właśnie dlatego wyjął temat odpowiedzialnego rodzicielstwa spod obrad Soboru. Obawiał się bowiem, że biskupi mogą przegłosować nowe otwarcie w katolickiej doktrynie moralnej. Dwukrotne sondowanie opinii biskupów można odczytać jako utwierdzenie się w tej decyzji.

O jakimkolwiek braku niezdecydowania przede wszystkim świadczy to, komu papież pierwotnie powierzył zadanie zredagowania encykliki. Ówczesną Kongregacją Nauki Wiary kierował kard. Alfredo Ottaviani – przywódca soborowej konserwatywnej mniejszości.

Jak dowodzą fakty ujawnione przez ks. Marengę, Paweł VI o mały włos, cofnąłby doktrynę o małżeństwie do czasów przedsoborowych. To bardziej przypadkowi (francuskim tłumaczom) niż papieżowi zawdzięczamy to, że „Humanae vitae” mówi w ogóle o miłości małżeńskiej i stara się wyказаć zrozumienie dla słabości ludzkiej.

Co z tego wynikało

Mimo zredagowania na nowo i wszystkich zabiegów łagodzących, encyklika potępiająca antykoncepcję spotkała się z masową krytyką nie tylko świeckich, ale także teologów i biskupów – w tym całych episkopatów (np. Belgii, Niemiec czy Austrii).

Mimo tego, że Jan Paweł II podczas swojego długiego pontyfikatu zrobił bardzo wiele, by przedstawić coraz to nowe argumenty za nauczaniem Kościoła, nie przyniosło to spodziewanych rezultatów.

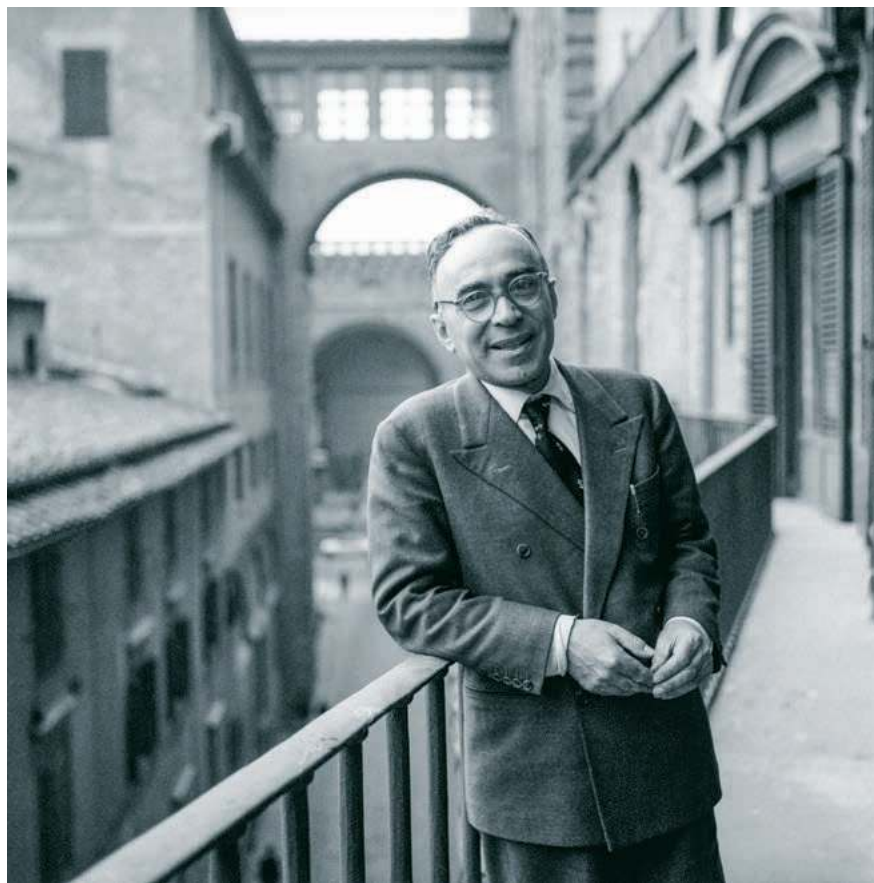
Jednym ze skutków ogłoszenia „Humanae vitae” jest obniżenie się wśród wiernych autorytetu Magisterium w sprawach związanych z etyką seksualną. „Gdy w latach 50. i 60. istniało wyraźne zapotrzebowanie wśród wiernych na rozstrzygnięcie normatywne, teraz zdecydowana większość nawet wierzących par małżeńskich żyje tak, jak gdyby norma nie istniała” – mówił niedawno powołany przez Franciszka na członka Papieskiej Akademii Życia ks. Maurizio Chiodi. Podczas wykładu na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, wygłoszonym w ramach cyklu o „Humanae vitae” 14 grudnia 2017 r., włoski moralista zasugerował, że gdy naturalne metody regulacji poczęć są niemożliwe do zastosowania, odpowiedzialne zachowanie może dopuszczać skorzystanie z metod sztucznej antykoncepcji.

Ta sugestia spotkała się z wielogłosowym atakiem na włoskiego duchownego ze strony konserwatywnych środowisk. Uznano, że to, który próbuje podkopać fundament Kościoła.

Taka reakcja pokazuje kolejny nieszczytny skutek rozstrzygnięcia sprzed 50 lat. „Kwestia antykoncepcji” stała się nie tyle poważnym problemem mającym wpływ na życie małżeńskie, co sprawą identyfikowania się po którejś ze stron silnego podziału w Kościele: albo po stronie obrońców czystości wiary przed zagrażającym Kościołowi zdemoralizowanym światem, albo po stronie zwolenników prostego dostosowania Kościoła do świata.

W młynach, których żarnami są strony ideologicznego sporu, mielone są konkretne dramaty przeżywane przez małżonków – o ile starają się mimo wszystko być wierni nauczaniu. Gdzieś perspektywa zwyczajnych ludzi została zagubiona. Na szczęście papież Franciszek jest właśnie na tę perspektywę szczególnie wrażliwy.

© P. ARTUR SPORNIAK



SERGIO DEL GRANDE / MONDADORI / GETTY IMAGES

Giorgio La Pira, Florencja, lata 60.

Przeegrany uśmiechnięty

KAROL KLECZKA

To niezwykczajny kandydat na ołtarze: społecznik, polityk, wizjoner. Papież zatwierdził właśnie dekret o heroicznosci cnót byłego burmistrza Florencji Giorgio La Piry.

JESZCZE PRZED ŚWITEM BUDĄ GO DZWO-
ny bijące na jutrznię. Cella numer 6 jest
ciasna, ale okna wpuszczają dużo świa-
tła. Umebrowanie bardzo skromne: łóżko
i biurko z krzesłem. Szafa jest zbędna, bo
ma jedno ubranie, a też przyzwyczał się
do chodzenia na bosaka. Zapisuje w ka-
lendarzu, że ma kupić płaszcz, bo ostatni
znów oddał ubogiemu. Wybiega z klaszto-
ru przy bazylice św. Marka. Dziś czeka go
pracowity dzień. Znow będzie próbował
wprowadzić pokój.

Giorgio La Pira, człowiek-paradoks.
Żyje jak mnich, a jest prezydentem jed-
nego z największych miast we Włoszech.
Posiada wielu przyjaciół, lecz wybrał sa-
motność. Sycylijczyk z krwi i kości, ale ser-

cem z Florencji. Jest niewielkiej postury,
ale energii ma za dwóch. Dużo gestyku-
luje, mówi szybko, ale nie chaotycznie.
Bije od niego zdecydowanie, pasja i... no
właśnie. Miłość do ludzi? Marzycielstwo?
A może po prostu świętość? Dla mieszkań-
ców stolicy Toskanii od zawsze był *il sin-*
daco santo – świętym burmistrzem. 5 lipca
Franciszek zatwierdził dekret o heroicznosci
jego cnót.

Jerzy Turowicz swój tekst o La Pirze
zaczyna od podsumowania działalności
publicznej, a zwłaszcza politycznej tego
włoskiego społecznika. Puentuje je słowa-
mi: „to zwięźle, acz bogate *curriculum*
vitae nic nie mówi o osobie i o jego dziele”.
Nic, bo opis przez wyliczenie pełnionych

funkcji i zakresów zaangażowania nie
zdaje sprawy z tego, kto się za nimi kryje.
Granica języka skazuje na niespersonalizowane, ogólne pojęcia, które nie ujmą
niepowtarzalnej istoty konkretnego czło-
wieka. A przecież, gdy zastanawiam się,
o czym marzył Giorgio La Pira, to myślę, że
o tym, by każdy żył w świecie, w którym
może się czuć kimś wyjątkowym.

Zaślubiony miastu

Są ludzie, o których mówi się, że byli „mę-
żami stanu”. W przypadku La Piry można
to potraktować dosłownie, bo jego mał-
żonką stała się Florencja. Pochodził z da-
lekiego południa, lecz związał się ze sto-
licą Toskanii, gdzie ukończył studia praw-
nicze, a potem znalazł zatrudnienie jako
profesor prawa rzymskiego. Choć słowo
„inteligent” ma środkowoeuropejskie po-
chodzenie, to jednak nie sposób inaczej
określić La Piry, ani wielu jego kolegów
z Akcji Katolickiej, którzy angażowali się
społecznie, przed wojną, jak i już po niej,
w odbudowę Włoch. Bardzo pouczająca
jest tu lektura „Listów” bł. Piera Giorgio
Frassatiego, bo wyraźnie w nich widać
wspólnotę losów wielu młodych ludzi,
dla których katolicyzm nie był zbiorem
konfesyjnych deklaracji, ale znajdował
wyraz w działaniach na rzecz drugiego
człowieka.

Właśnie to pokolenie zostało wysta-
wione na arcytrudną próbę czasu wojny.
Mussolini starał się przejąć szeregi wło-
skich katolików, lecz wielu liderów śro-
dowisk Akcji Katolickiej zdawało sobie
sprawę z zagrożenia, jakie zarówno dla
wiary, jak i państwa niesie ta karykatura re-
ligii. To nie przypadek, że późniejszych za-
łożycieli włoskiej chadecji – charyzmatycz-
nego księdza Luigi Sturzo, wizjonera De
Gasperiego czy właśnie La Pirę – połączyła
wrogość wobec faszyzmu (co ciekawe,
wszyscy są kandydatami na ołtarze).

Dziś niektórych niepokoi religijna mo-
tywacja dla wyborów politycznych, bo czę-
sto te drugie instrumentalizują tę pierwszą.
Tamto pokolenie działaczy włoskiej Akcji
Katolickiej wyraźnie pokazuje, że jeśli na-
prawdę żyje się tym, co się głosi, na takie
wykorzystanie nie ma miejsca. Prawdopo-
dobnie właśnie dzięki głębokiej wierze ci
ludzie nie tylko zachowali twarz, ale także
uratowali świat dla innych, których zwio-
dła ideologia. Gdy się wierzy całym sercem,
to kocha się ludzi – zwłaszcza tych, którzy
są nam wrody. A gdy się ich kocha, to pra-
gnie się im służyć.

Giorgio La Pira nie marzył o tym, by być politykiem. Został nim właśnie przez służbę innym, bo nią jest prawdziwa władza. Do kandydowania w wyborach zachęcił go jeden z jego przewodników duchowych – kardynał Florencji Elia Dalla Costa (kolejny przyszły święty). Sam kardynał jest postacią wybitną, Sprawiedliwym wśród Narodów Świata, który uratował setki Żydów i stał się prorokiem Soboru Watykańskiego II. La Pira był jego bliskim przyjacielem i wiernym uczniem. Zawdzięczał mu nie tylko decyzję o bezpośrednim zaangażowaniu w politykę, ale także dar czytania zdarzeń codziennych przez pryzmat Pisma Świętego.

Tę zdolność wykorzystuje w praktyce, bo powojenną odbudowę Florencji zaczął od najbardziej potrzebujących, ludzi pozbawionych pracy czy dachu nad głową. Nowy burmistrz koncentruje się właśnie na biednych. Doskonale ich zna z kościoła, bo to z jego inicjatywy zaczęto odprawiać msze dla ubogich, na które codziennie uczęszcza. Rozmawia po nich z wykluczonymi o dwóch najbardziej istotnych sprawach – Panu Bogu i ich codziennym życiu. Dzieli z nimi ubóstwo, samemu będąc ubogim w duchu, wystrzega się pychy i jest wrażliwy na cierpiącego człowieka.

Z myślą o nich stawia nowe osiedla mieszkalne oraz wykorzystuje znajomość prawa do przejmowania przez miasto budynków, których mieszkańcy zginęli w trakcie wojny. Broni robotników przed utratą pracy i stymuluje powstawanie jej nowych miejsc przez liczne inwestycje infrastrukturalne. W momencie kryzysu i upadku jednego z przedsiębiorstw nawiązuje konkurentów do przejęcia likwidowanego biznesu, dzięki czemu tysiące pracowników zachowuje źródło utrzymania. Ocaloną przez La Pirę elektrownia Pignone działa do dziś. Miasto nie jest dla niego po prostu przestrzenią, ale węzłem relacji, bo pytany o to, jak je rozumie, odpowiada: „To miejsce, gdzie każdy winien znaleźć dom dla swej miłości, miejsce do pracy, szkołę, by się uczyć, szpital, by się leczyć, i kościół, by się modlić”. Trudno o bardziej integralny model polityki miejskiej.

Budowniczy mostów

Nie znam się na budowaniu mostów, wiem jednak, że potrzebny jest do tego zmysł organizacyjny, umiejętności inżynierskie i dobry projekt. Most stawia się albo nad rwącym nurtem, albo nad przepaścią – w obu przypadkach trzeba po-

konać pustkę, by powiązać dwie całości, przeprowadzić między nimi drogę. Most to nie tylko obiekt architektoniczny – także miejsce pozwalające nawiązać dialog, miejsce, które łączy. Najważniejszym budowniczym mostów w Kościele jest zawsze papież-pontifex.

Florencję przecina rzeka Arno. Przed wojną miasto spinało kilka połączeń, po niej pozostał jedynie most Ponte Vecchio. La Pira musiał zmierzyć się z budową mostu całkiem dosłownie i rozpoczął budowę aż trzech dodatkowych przepraw przez rzekę. Co jednak ciekawsze, z samej Florencji uczynił potężny most, łączący nie tylko mieszkańców obu brzegów rzeki, ale i ludzi z całego świata. Bowiem pokój nie był dla niego abstrakcyjnym pojęciem, lecz realną płaszczyzną spotkania żywych, konkretnych ludzi. Nasza wiara jest wiarą opartą na materii – na przyjęciu przez Chrystusa ciała człowieka z Nazaretu. La Pira powtarzał: „prawdziwymi materialistami jesteśmy my, którzy wierzymy w zmartwychwstanie Chrystusa”, a to znaczy, że wiara skłania nas do pracy na rzecz tego, co ukochał Jezus. „Chrystus jest również człowiekiem? A zatem sprawy człowieka są sprawami Chrystusa, wartości człowieka są wartościami Chrystusa, troski i radości człowieka są troskami i radościami Chrystusa”.

Błogosławiony burmistrz

GIORGIO LA PIRA (ur. 1904) przez większość życia był związany z Florencją, gdzie studiował prawo. W wieku 20 lat nawrócił się i został tercjarzem dominikańskim. Po przejściu władzy we Włoszech przez Mussoliniego czynnie przeciwstawiał się faszystom. Po wojnie wybrany został do parlamentu z list chrześcijańskiej demokracji, został wiceministrem pracy. Dwukrotnie był burmistrzem Florencji (1951-57 i 1961-65). Wiele energii poświęcił budowie szpitali, wspomaganie bezdomnych, walce z bezrobociem. Działał też na arenie międzynarodowej: zabiegał o zakończenie wojny wietnamskiej, jeździł z misjami pokojowymi do Moskwy, Hanoi, Pekinu, Kairu i Jerozolimy, pisał listy do Pawła VI, Johna Kennedy'ego czy Nikity Chruszczowa. Zorganizował cykl kongresów promujących pojednanie między narodami. © MaM/KA

Tam, gdzie trwa wojna

Na początku kadencji organizuje pierwszy z kongresów na rzecz pokoju, kilka lat później zaprasza do Toskanii burmistrzów wszystkich stolic świata. Dzięki niemu w prawdziwym czasie oczekiwania na możliwą apokalipsę, w mrocznych i niestabilnych latach 50., przy jednym stole zasiadają politycy z USA, ZSRR i Chin. Ciągłe dąży go święte niezadowolenie, gdy przestaje działać w polityce lokalnej, angażuje się w działania zagraniczne. Nie jest to łatwe, musi często działać na własną rękę i bez wyraźnego wsparcia rządu Włoch. Jedni oskarżają go o komunizm, inni muszą uważać za wariata, gdy podczas wizyty w Moskwie w wygłoszonej na Kremlu mowie gęsto cytuje Ewangelię. W Stanach Zjednoczonych, gdzie osoby czarnoskóre nadal pozbawione są części podstawowych praw, spotyka się właśnie z nimi. Jeździ tam, gdzie trwa wojna, a działając w duchu swego znajomego, papieża Jana XXIII, próbuje powstrzymać decydentów w kwestii broni masowego rażenia. Spotyka się z ateistami i wierzącymi, a wśród tych drugich z przedstawicielami chrześcijan, żydów i muzułmanów. Dziś to może brzmieć zwyczajnie, ale mówimy o czasach przed soborowymi zmianami w postrzeganiu osób innej wiary. Burmistrz Florencji wyprowadza Sobór swoją codzienną pracą.

Może właśnie tutaj widać jego geniusz? Jako świecki katolik może więcej od hierarchów i dlatego staje się ambasadorem Kościoła, zanim oni zaczną wykonywać braterskie gesty względem naszych braci i siostr. Giorgio La Pira nie potrzebuje do tego konstytucji soborowych. Jest apostołem pokoju i choć niełatwo go budować, czyni to niezmordowanie. Towarzyszy mu modlitwa, bo La Pira naprawdę wierzy, że ona może przemienić świat.

Tak naprawdę pokoju nie doczekał. Nie zakończył żadnej wojny, nie doprowadził do podpisania konkretnych paktów. Bywał lekceważony przez władze, mało kto go wspierał. Wiele ze starań, które rozpoczął, wciąż nie znalazło szczęśliwego finału, jak choćby kwestia powszechnego rozbrojenia nuklearnego. Wprowadzenie pokoju wymaga zarówno cierpliwości, jak i „pogody ducha, kreatywności, wrażliwości i umiejętności”. Wołanie o rządy sprawiedliwości wychodzi od „zdrowego i trwałego niezadowolenia”. Ono przynosi owoc, który dojrzeje dopiero po wielu →

→ latach, ale bez każdej z małych cegiełek most pokoju nie ustoi, tylko runie w niespokojny nurt.

Żywa Ewangelia

Co to jest świętość? Kim jest święty? Kościół ma na podorędziu bardzo dobre odpowiedzi w postaci adhortacji Franciszka „Gaudete et exsultate”. Nieprzypadkowo wyżej ją zacytowałem, bo La Pira sprawia wrażenie modelowego bohatera tego dokumentu. Święty „jest zdolny do życia pełnego radości i poczucia humoru [bo] nie tracąc realizmu, oświeca innych pozytywnym i pełnym nadziei duchem”. Ta radość pozwala przechodzić przez najtrudniejsze chwile, pokonywać największe próby. Podtrzymuje zapał wtedy, gdy gaśnie nadzieja. Giorgio La Pira przemierzał cały glob, by nie tylko głosić pokój, ale go wprowadzać.

Niemal zawsze ponosił chwilową porażkę, a jednak niemal na każdym zdjęciu się uśmiecha. W dłuższym okresie, często już po jego śmierci, przychodził sukces. To nie żadna magia. Bez proroków, tych którzy głoszą, inni, którzy nie widzą, trwaliby w mroku własnych niewzruszonych przekonań. La Pira niósł światło tam, gdzie panowała ciemność, bo jego życie było „żywą Ewangelią”, jak mówił kardynał Dalla Costa.

Wszystkie jego dzieła wskazują na to, że był to człowiek nieprzeciętny. Jednak żadne z nich nie miałyby miejsca, gdyby sam La Pira nie był najprostszym z ludzi. To przecież miejski urzędnik, działacz społeczny, który po prostu spotykał się z tymi, którzy go potrzebowali. Sumiennie i z zapałem wykonywał swoją pracę. Świadczą o tym autentyczność i bliskość z ludźmi. Tyle. Tyle wystarczy.

Nie był świętym jak z obrazka, cudotwórcą i lekarzem dusz, ale w świętości nie chodzi o „oczy jaśniejące w domniemanej ekstazie”, lecz o codzienne odnajdywanie oblicza Boga w twarzy drugiego człowieka. Święci nie są ulepiani z niezwyklej gliny. Święty ma po prostu lepsze oczy. Takie, które Kochają.

© KAROL KLECZKA

Autor jest redaktorem DEON.pl. Pracuje nad doktoratem z filozofii na UJ. Współpracuje z „Magazynem Kontakt”. Prowadzi blog „Notes publiczny”.

Przystanek Łódź

MACIEJ MÜLLER

Ks. Wojciech Lemański wraca do pracy duszpasterskiej. Nowy biskup warszawsko-praski zawiesił nałożoną na niego przed czterema laty karę suspensy.

MIAŁ TYDZIEŃ OD WYLOTU ABP. HENRYKA HOSERA na misję do Medziugorja, kiedy jego następcą w diecezji warszawsko-praskiej bp Romuald Kamiński podjął decyzję, która kończy ciągnącą się od kilku lat „sprawę księdza Lemańskiego”. Suspendowany w 2014 r. kapłan będzie mógł wrócić do sprawowania sakramentów – ale w archidiecezji łódzkiej.

Ks. Lemański „zwrócił się z prośbą o skierowanie go do pracy duszpasterskiej poza diecezją warszawsko-praską. Wolę przyjęcia go na czas próby do archidiecezji łódzkiej wyraził abp Grzegorz Ryś. (...) Bp Romuald Kamiński postanowił o zawieszeniu do odwołania zastosowania kary suspensy nałożonej na ks. Wojciecha Lemańskiego na terenie archidiecezji łódzkiej” – ogłosiła kuria warszawsko-praska. Nie nastąpiła jednak tzw. inkardynacja ks. Lemańskiego do diecezji łódzkiej – jego przełożonym pozostanie bp Kamiński. W czasie pobytu w archidiecezji łódzkiej jego zadania będzie określał abp Grzegorz Ryś.

„Nie akceptuję wielu treści publikowanych o mnie” – powiedział ks. Lemański „Tygodnikowi” w 2013 r. po tym, jak „Newsweek” zamieścił na okładce jego zdjęcie w jarmulce, podpisane „Wróg Kościoła numer jeden”. Wrogiem Kościoła ani biskupów się nie czuł, mimo że ostro ich krytykował – przede wszystkim za język, ale także za zaniedbania w upamiętnianiu ofiar Holokaustu. „Przedstawianie mnie jako człowieka, który dystansuje się od nauki Kościoła, jest nieprawdziwe” – tłumaczył.

Chodziło o występ w programie Tomasz Lisa w TVN w maju 2013 r., w którym ks. Lemański, w ostrej dyskusji z małżeństwem Terlikowskich, skrytykował dokument Zespołu KEP ds. Bioetycznych ws. *in vitro*. Dla abp. Hosera był to krok za daleko. Kuria już wcześniej miała problem z proboszczem z Jasienicy. Jej kanclerz,

wręczając w 2010 r. ks. Lemańskiemu dekret o pozbawieniu go urzędu, ocenił (według relacji księdza), że „zagalopował się trochę w dialogu z Żydami”. Dialog to pasja ks. Lemańskiego: wspólnie ze Zbigniewem Nosowskim powołał Komitet Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich, jeździł na obchody rocznicy mordów w Jedwabnem. W ogniu sporu z abp. Hoserem powiedział mediom, że w styczniu 2010 r. hierarcha dwukrotnie go pytał, czy jest obrzezany.

Kuria zarzucała Lemańskiemu nieposłuszeństwo i publiczne wypowiadanie się wbrew nauczaniu Kościoła. W 2012 r. arcybiskup upomniał go kanonicznie. Ks. Lemański próbował odwołać się do Watykanu – wtedy spadło na niego odebranie misji kanonicznej (zakaz nauczania religii). W 2014 r. pojechał na Przystanek Woodstock, gdzie – cytując swojego nauczyciela z seminarium – powiedział, że w Kościele w Polsce nic się nie zmieni, dopóki nie wymrze obecne pokolenie biskupów. Wezwany do kurii, przeprosił za te słowa, niemniej kilkanaście dni później, 22 sierpnia, abp Hoser nałożył na niego suspensę, czyli zakaz sprawowania wszelkich czynności kapłańskich i noszenia stroju duchownego. Powód? „Brak ducha posłuszeństwa”, „publiczne podważanie nauczania Kościoła”, „brak szacunku i podważanie wiarygodności Episkopatu Polski i kapłanów”.

Ks. Lemański zamieszkał z ojcem, finansowo wspierali go byli parafianie. Wielokrotnie prosił o zdjęcie kary.

11 lipca 2018 r., ogłaszając decyzję o zawieszeniu suspensy, bp Kamiński stwierdził, że w archidiecezji łódzkiej ks. Lemański przejdzie „swoisty sprawdzian”.

„Podjęte rozwiązanie – głosi komunikat kurii – stanowi próbę i szansę dla ks. Wojciecha Lemańskiego, aby w nowych okolicznościach pastoralnych powrócić do pełnej posługi kapłańskiej”.

©

Współpraca ANTONI KUŹMIŃSKI



O. Adam Szustak zapowiada otwarcie dominikańskiego Netfliksa

Netflix dla wierzących

BARTOSZ JÓZEPIAK

Czym jest Trójca Święta albo Eucharystia? Jak przygotować się do bierzmowania? Już niedługo wierni łatwo znajdą odpowiedzi na takie pytania – obiecują dominikanie. Zapowiadają portal wideo z kazaniami na każdą okazję.

DOMINIKANIE.PL ZAMIENIA SIĘ W WIELKI portal kaznodziejsko-teologiczno-duszpastersko-jakiś tam. Nazywamy go na własny użytek: katolicki Netflix – zapowiedział pod koniec czerwca ojciec Adam Szustak. O projekcie opowiedział w filmiku na YouTube. Pokazał warszawski loft, który już niedługo ma zamienić się w studio nagraniowe dominikanów.

Szustak wśród kaznodziejów w internecie dzierży palmę pierwszeństwa. Jego kanał „Langusta na Palmie” subskrybuje 338 tysięcy internautów. Ma ponad 200 odcinków z codziennymi kazaniami. Jest też współtwórcą kanału „Paśnik”, który tworzy razem z braćmi z ośrodka kaznodziejskiego w Łodzi.

Zapowiedź Szustaka odbiła się głośnym echem wśród jego fanów. Tylko konkre-
tów brak.

Poważne głoszenie

– Zachęciła nas popularność „Paśnika” – mówi ojciec Tomasz Nowak, przeor klasztoru w Łodzi. – Pomyśleliśmy o innych naszych braciach: profesorach, ekspertach od sztuki, kultury, teologii. Każdemu chcemy dać głos. Ludzie wciąż nas o to proszą. Jednego kazania na żywo posłucha kilkaset osób. Film w internecie obejrzą tysiące.

– Temat omówiliśmy w większym gronie. Byli ojcowie z ośrodka w Łodzi, wydawnictwa W Drodze, bracia z portalu Dominikanie.pl, nasz syndyk, czyli zakonny minister finansów. Rozważaliśmy, jak to zrobić. Nikt nie wątpił, że powinniśmy pójść tą drogą. A czy pomysł podobą się wszystkim? Jak żyje w zakonie 35 lat, to nie znam decyzji, która zyskałaby aprobatę wszystkich dominikanów

– mówi prowincjał dominikanów, o. Paweł Kozacki.

Pomysł jest we wczesnej fazie rozwoju. Tak wczesnej, że nawet nie wszyscy zainteresowani wiedzą, o co chodzi.

– Jest pomysł video-ewangelizacji. Nie znam szczegółów, choć pewnie też będę brał w tym udział – przyznaje o. Jacek Szymczak, współtwórca kanału „Paśnik”.

Pomysłodawcą i dyrektorem projektu jest o. Adam Szustak, który konsekwentnie nie rozmawia z mediami. O jego pomysły opowiadają przełożeni.

– Dopiero gromadzimy zespół. Chcemy zaprosić do współpracy naszych braci, w przyszłości też innych duchownych i zakonników. Będziemy korzystać z pomocy naszych świeckich przyjaciół, z którymi współpracowaliśmy do tej pory. Zależy nam na profesjonalizmie. To mają być produkcje na odpowiednim poziomie, zarówno technicznym, jak i merytorycznym – mówi przeor łódzkiego klasztoru.

Kanały prowadzone przez Adama Szustaka nie znikną, ale nowy portal ma oferować dużo więcej. Swobodny sposób wypowiedzi i podejście do trudnych tematów zjednały ojcu Adamowi szeroką publiczność, ale też naraziły go na krytykę. Oskarżano go, że idzie na intelektualną łatwiznę. Tej pułapki ma uniknąć nowy portal.

– Wiadomo, że profesorowie będą mówić innym językiem niż Adam, który ma

→ swój styl. Są odbiorcy na filmiki trzymi-
nutowe oraz na 40-minutowe kazania.
Chcemy odpowiadać na różne potrzeby
– wyjaśnia przeor Tomasz Nowak.

– To nie mają być lekkie felietoniki re-
ligijne. Chodzi nam o poważne głoszenie
Słowa Bożego, realizację dominikańskiego
charyzmatu – dodaje prowincjał.

Projekt przejmie markę Dominikanie.pl.
Dzisiejsze oblicze tego portalu zmieni na-
zwę, pozostawiając redakcję w okrojonym
składzie.

Skąd wiadomo, że na nowy portal jest
zapotrzebowanie?

– Nie jesteśmy firmą. Nie badamy tar-
getu i nie sprawdzamy, jak sprzedać nasz
produkt. Naszym powołaniem jest głosić.
Ta platforma umożliwi nam to na znacz-
nie większą skalę niż do tej pory – mówi
o. Kozacki.

Dyskusji nie przewidujemy

Portal będzie podzielony na kilka pionów.
Filmy będą pogrupowane tematycznie, by
internauci łatwo odnaleźli interesujące
ich treści. Jak w oryginalnym Netfliksie.
Jakie tematy znajdą?

– Codzienny komentarz do Słowa, ko-
mentarze do niedzielnych czytań, kon-
ferencje tematyczne, kazania okoliczno-
ściowe: adwentowe, wielkopostne, dusz-
pasterskie. Ktoś przygotowuje się do sa-
kramentu bierzmowania, ktoś inny bo-
ryka się z kryzysem wiary, jeszcze inny
pyta: a co to jest ta Trójca Święta? Dla
wszystkich przygotowujemy odpowiedź – za-
pewnia prowincjał.

Otwartym pozostaje pytanie: jak to
wszystko sfinansować?

– Z pomocą Opatrzności Bożej – mówi
o. Kozacki. – Nie mamy jeszcze budżetu.
Zwróciliśmy się do różnych fundacji,
przejrzeliśmy własne środki, odwołujemy
się do ofiarności wiernych.

Wiadomo za to, że portal nie przewiduje
wymiany myśli, krytyki czy dyskusji.

Chodzi nam o poważne głoszenie Słowa Bożego w internecie

– mówi prowincjał
dominikanów.

– To nie ma być portal interaktywny,
tylko kaznodziejski. To nie jest wymiana
myśli, to jest głoszenie. Dyskusje interne-
towe często przybierają postać nawałanki.
Nie mamy ludzi, żeby to moderować. Kto
chce z nami podyskutować, spotka nas
w klasztorach – przekonuje prowincjał.

Słowo Boże czy słowo o Bogu?

Pomysł katolickiego Netfliksa wzbudza
nie tylko okrzyki zachwytu.

– Badania wyraźnie pokazują, że bar-
dziej wierzymy temu, co widzimy, niż
temu, co słyszymy. Dlatego też „przepo-
wiadanie telewizyjne” musi liczyć się
z tym istotnym faktorem psychologicz-
nym. Obraz może zarówno wzmocnić,
jak i zupełnie unieważnić przekaz słowny.
Obraz bowiem bardziej uwodzi niż słowa.
Jest łatwiej i bardziej bezpośrednio wchła-
niany, dlatego obrazom szybciej dajemy
wiarę niż słowu. W ten sposób doko-
nuje się „wizualizacja religii” – podkreśla
ks. Andrzej Draguła, teolog i publicysta,
znawca kultury popularnej.

Teoretycy podkreślają, że na przepowia-
danie telewizyjne trzeba znaleźć nowe
określenia, inne niż tradycyjne terminy
jak kaznodziejstwo, kazanie, homilia.
Ks. Draguła wyjaśnia: kazanie czy homi-
lia nie jest tekstem zapisanym tradycyj-
nie czy wizualnie, ale staje się nim dopiero
wtedy, gdy się wydarza w konkretnej
wspólnocie. Słowo i wspólnota są nieroz-
dzielnie ze sobą powiązane, dlatego teolo-

gowie zajmujący się mediami odrzucają
takie pomysły, jak indywidualna msza
odprawiana „do kamery” czy tak samo re-
alizowane kazanie. Krzysztof Marcyński
o transmisji przepowiadania Słowa Bo-
żego pisze: „Jest bardziej słowem o Bogu
niż Słowem Bożym, albowiem słyszymy
słowo, ale nie żywe, jesteśmy w kontakcie,
ale nie bezpośrednim, budujemy wspól-
notę, ale nie konkretną, jesteśmy w kon-
tekście, ale nie liturgicznym”.

Dlatego, zdaniem ks. Draguły, każde gło-
szenie za pomocą mediów, także telewi-
zyjnych, może mieć wyłącznie charakter
uzupełniający, a nie zastępczy. Internet
jest szansą na dotarcie do świata tych, któ-
rzy dużą część życia przeżywają w sferze
wytworzonej przez media, jednak celem
wszelkiej ewangelizacji musi być realna
wspólnota Kościoła. Media są interak-
tywne, ale nie interpersonalne, a Kościół
powinien pozostać wspólnotą, która ofe-
ruje relacje bezpośrednie.

Józef Majewski, teolog i medioznawca
przyznaje, że jest duże zapotrzebowanie
na głoszenie Słowa Bożego, także skom-
plikowanych dogmatów wiary, w sposób
zrozumiały dla każdego.

– Kościół powinien mówić językiem
popkultury, językiem internetu. To klu-
czowe. Oczywiście użycie konkretnego
języka determinuje sposób percepcji
wiary. Jest wielką niewiadomą, co z tego
wyniknie. Jak wtedy pojmować ortodok-
sję, bo przecież nie w sensie dotychczas-
owym? Boję się języka coachingu czy
kultury selfie, panoszących się w kultu-
rze popularnej. Niestety niektóre filmiki
ojca Adama idą w tę stronę – zastanawia
się Majewski.

Dominikanie zapowiadają start kato-
lickiego Netfliksa w pierwszą niedzielę
adwentu. Premiera zbiegłaby się z jubile-
uszem 800-lecia obecności dominikanów
w Polsce. Alternatywny termin to Wielka-
noc 2019 roku. © BARTOSZ JÓZEFIAK

Kluby „TP” zapraszają

SŁUPSK – środa, 25 lipca, godz. 15.30

Spotkanie „Wiara, nauka, etyka”. Gościem będzie:
Artur Sporniak. Miejska Biblioteka Publiczna
(ul. Grodzka 3).

WARSZAWA – sobota, 21 lipca, godz. 17.00

Kawiarenka klubowa „Miasto moje, a w nim...”.
Gościem będzie: Beata Chomętowska.
Stacja Muranów (ul. Andersa 13)

WROCŁAW – środa, 25 lipca, godz. 18.00

Spotkanie „Tischner czyta katechizm – Odpowiedź Bogu”.
Księgarnia-kawiarnia Tajne Komplety
(ul. Przejście Garncarskie 2).

SZYMON

Hołownia: Tańce godowe



W UBIEGŁYM TYGODNIU, TUŻ PO PIELGRZYMCE Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, wyraziłem na swoim facebookowym profilu sprzeciw wobec faktu, że z Wałów Jasnogórskich, tuż po mszalnym błogosławieństwie (ale wciąż w obecności celebransów), głos zabrał premier, snując ryzykowne historyczne metafory o podkopach, które i dziś wrogie siły robią pod siłami dobra, tudzież kanonizując swój rząd. Od dawna mam w tej sprawie radykalny pogląd: wstęp na kościelne mównice powinien być przez Kościół zakazany.

Oczywiście, że mogą uczestniczyć w Eucharystii, dokładnie na takich samych zasadach jak każdy z nas: profesor, pielęgniarka czy bezdomny. Jako osoby prywatne mogą brać czynny udział w dowolnych praktykach dewocyjnych dowolnych struktur (pan Morawiecki – w Rodzinie Radia Maryja, bo skoro jeździ na jej pielgrzymki, widać należy bądź sympatyzuje). Ale w pracy – sami tak to urządzili – są po prostu kolejnymi w szeregu sprzedawców, którzy wcisną się, gdzie się da, żeby zachwalić i opchnąć swój towar.

Premier ma powolne sobie rządowe telewizje i gazety – niech tam mówi. To nie wiek XIV, gdy w celu podania newsów ze świata trzeba było spędzać gawiedź do kościoła. Rozumienie demokracji przedstawicielskiej jako totalnej dyktatury wyborczego zwyczycy sprawiło zaś, że u nas od dawna ci, którzy teoretycznie mają być przedstawicielami całego narodu, nie reprezentują nikogo poza swoim elektoratem. A elektoratem Jezusa jest dokładnie każdy. Uważam więc za chore ryzykowanie, że ktoś odrzucając rządową (ktokolwiek by rządził) propagandę sklejoną w amalgamat z Ewangelią, odrzuci wraz z nią samą Ewangelię. Ktoś, kto takie ryzyko sprowadził, ewidentnie winien jest zgorszenia. Piszę to po raz 257., bo 257. raz słucham propagandowych farmazonów biskupa Dydycza i ojca Rydzyskiego, i zastanawiam się, czego jeszcze trzeba, by ci wszyscy księża patrząc dziś w rząd jak w obrazek, bo wreszcie to „nasi”, zrozumieli, że są księżmi tylko dlatego, że Jezus, każący iść do „nie naszych”, nie myślał tak jak oni.

Co innego zdumiało mnie w tej sytuacji, skala odpowiedzi na ów mój postulat. Podpisało się pod nim dotąd ponad 40 tysięcy ludzi. Gdy – półżartem – zaproponowałem wykonanie naklejek „Kościół wolny od polityki” i umieszczanie ich jako znaku duszpasterskiej jakości na tablicach przed świątyniami, ruszyła giełda informacji: w którym kościele lepiej uważać, bo ksiądz ma skłonność do zamieniania Stołu Słowa w partyjny bankiet, a w którym można być spokojnym. Niezwykle ucieszyło mnie ogłoszenie z warszawskiego kościoła franciszkanów na Senatorskiej, w którym bracia proszą, by nie zostawiać w kościele politycznych czasopism: „Na początku naszej posługi w tej parafii zaznaczyliśmy, że ten kościół będzie wolny od po-

lityki i naprawdę chcemy się tego trzymać. Chyba każdy z Was ma poczucie, jak bardzo nasz naród jest podzielony. A my nie jesteśmy zainteresowani pogłębianiem tych podziałów. Franciszkanie w swoim charyzmie mają łączenie, nie dzielenie. Mam nadzieję, że nam w tym pomożecie”.

W całej tej debacie jak zwykle były i głosy tych, którzy z radością powitają wszystko, co pozwala im z wyższością twierdzić, że Kościół katolicki to miejsce, które należy omijać z daleka. Byli też, rzecz jasna, i tacy, którzy ciskali na mnie gromy: jak śmiesz odmawiać prawa do wystąpienia z Wałów „takiemu dobremu chrześcijaninowi, ojcu czworga dzieci”, oraz gorąco dowodzący, że jeśli msza np. na inaugurację kadencji odprawiana będzie bez kamer i w kaplicy (bo to jest część mojego postulatu: nie łączyć Eucharystii z żadnymi obchodami państwowymi; Polska to nie jest córka Mieszka, którą ochrzczono i teraz musi chodzić do kościoła, Polska to miliony ludzi, wierzących i nie), będzie miała mniejszą moc wypraszenia potrzebnych łask niż ta transmitowana przez Telewizję Trwam z katedry na pełnym pontyfikalnym „wypasie”.

Dawno już w żadnej dyskusji nie widziałem tylu ludzi gotowych, by powalczyć (choćby na razie na Facebooku) o swoje miejsce w Kościele. Jakbym wreszcie na chwilę wyrwał się z tego zakłętą kręgu niemocy, który zjawiał mi się przez ostatnie lata w tylu rozmowach, tych opowieści o życiu wspólnotowym i sakramentalnym wędrującym z tego samego powodu: „bo mój proboszcz jest taki a taki”.

Mam wrażenie, że do coraz szerszej grupy ludzi zaczyna docierać, iż tęsknota za powabnym monolitem sprzed pół wieku to czekanie na Godot, i że o swoje miejsce w Kościele jak nigdy dotąd trzeba zwyczajnie powalczyć, wyszukać je sobie, a później o nie się troszczyć. Kryterium adresowe związania z parafią (dawno nieefektywne w XXI wieku, w którym ludzie zmieniają lokum po kilka, kilkanaście razy) zaniknie, parafie terytorialno-personalne to bez dwóch zdań nasza przyszłość. Te, w których Ewangelia pozostanie nieskażona – będą gromadziły ludzi. Te, które wzięły ślub z partią, modą, stylem – obumrą, gdy partia, moda, styl przemienie.

Paradoksalnie wdzięczny jestem tej władzy, która tak dokreśliła śrubę nieznosnego bogoojczyźnianego patosu, że jakaś ściana milczenia zaczyna tu w końcu pękać. Że przez partyjno-kościelny taniec godowy zaczyna przebijać się z wolna głos ludzi, którzy w tych trudnych warunkach muszą dojrzeć, wyjść z letargu zbiorowości, wziąć odpowiedzialność, powiedzieć głośno: jestem katolikiem, zaangażowanym sakramentalnie, wspólnotowo, ale dla mnie rząd nie jest synonimem, świeckim ramieniem Kościoła.

Zabierajcie to stąd i nie róbcie z domu mojego Ojca targowiska. Władza, która miała szansę wyleczyć i naprawiać tak wiele – już zabrała mi Polskę. Ale Kościoła oddać jej nie pozwolę. Partia ma przed sobą jedną, dwie kadencje, Kościół – może i tysiące lat. Jeden z moich facebookowych znajomych, kapłan i zakonnik, na kanwie jasnogórskich oracji premiera przytomnie zauważył: wiadomo, że kiedyś musi skończyć się prosperity, a więc zabraknie pieniędzy na socjał, a wtedy demos zmiecie rządzących. Czy – jeśli nadal utrzyma się u nas ta bizantyjska symfonia tronu i ołtarza – razem z nimi nie zmiecie też Kościół? To pytanie do tych, co od dwóch lat żyją u nas w transie miodowego miesiąca: to, waszym zdaniem, dające się w kalkulować ryzyko? Naprawdę uważacie, że warto? ©



WIOSKA ASTERIKSA

26 lat temu mieszkańcy miasta Kozarac byli więźniami obozów koncentracyjnych.
Wrócili, odbudowali domy i znów głośno się śmieją.
Na przekór tym, którzy chcieli ich wymordować.

MARTA PALUCH Z BOŚNI I HERCEGOWINY



ADAM GUZ / PAP

*Basen w mieście Kozarac.
Bośnia i Hercegowina, 4 lipca 2018 r.*

Trudno uwierzyć, że Ervin ma ponad czterdziestkę. Stale się śmieje, błyska białymi zębami, skory do żartów jak nastolatek. W dzinsach i koszulce prawie tak wygląda, zdradza go tylko brzuszek i parę zmarszczek.

Ten był więzień obozu w pobliskim Trnopolju i były żołnierz muzułmańskiej armii wrócił do Kozarca jako jeden z pierwszych. Było to w 1998 r., trzy lata po zakończeniu wojny w Bośni.

Dwa baseny, trzynaście meczetów

Ervin pokazuje swój dom – przed i po. Przed: osmalone ściany, ruiny, na ulicy gruz, drzewa rozrośnięte jak w buszu. Po: dwa piętra z czerwonej cegły, na dole piekarnia (wynajmuje jej lokal), na górze balkon z widokiem na główną ulicę miasta. Brakuje tylko elewacji.

Odbudowywał dom, podobnie jak jego sąsiedzi, w ekstremalnych warunkach: bez wody, bez prądu. Codziennie jechał 40 km, aby budować, a potem wracał do żony i dzieci. Mijał opustoszałe spalone wsie, tunele z drzew i krzaków, które rozrosły się nad drogami.

Ale w ciągu kilkunastu powojennych lat Kozarac powstał z ruin i zmienił się w bogate, piękne miasto. Na wzgórzach z widokiem na góry Kozarcę czerwienią nowe dachy, jaśnieją świeżutkie elewacje. Budynki, niemal rezydencje, po kilka pięter, ogromne tarasy, bezszelestnie zamykające się bramy. To domy tych, którzy pracują w Szwajcarii, Austrii czy Niemczech i przyjeżdżają tu na lato. Albo tych, którzy pracowali za granicą i wrócili.

W 8-tysięcznym miasteczku jest ponad 20 kawiarni i restauracji oraz dwa baseny (sportowy i luksusowy park wodny). Wszystko zbudowane za prywatne pieniądze, jak podkreślają mieszkańcy. Jest też 13 nowiusienkich meczetów – dodają z dumą. Asfalt, prąd, chodniki robili za własne pieniądze, korzystali też z pomocy organizacji z Niemiec i Austrii przy odbudowie domów. Ale publicznych pieniędzy ciężko im się doprosić. Dlaczego? Ervin: – Och, to proste. Jesteśmy Muzułmanami, a w Republice Serbskiej, gdzie żyjemy, większość to Serbowie, oni tu rządzą. Podczas wojny chcieli się nas pozbyć, wycisnąć teren, ale nic z tego! Jesteśmy jak wioska Asteriksa w Imperium Rzymskim.

Chcieli nas zniszczyć

Republika Serbska to część składowa państwa federacyjnego Bośnia i Hercegowina. W Republice Serbskiej leży gmina Prijedor, gdzie większość stanowią Serbowie. W tej zaś gminie leży Kozarac – muzułmańska enklawa (miasto i kilka wiosek). Kozaracanie płacą podatki gminie Prijedor.

Emsuda Mujagić, drobna blondynka z twarzą w piegach, oprowadza po siedzibie swojej organizacji Srcem do Mira (Przez serce do pokoju). Kilkupiętrowy budynek, z tarasem i ogrodem; są pokoje gościnne, na piętrze studio telewizyjne (Studio 1) – programy dla kilkunastotysięcznej diaspory z Kozarca robi Adis, syn Emsudy. Jej organizacja załatwia opiekę medyczną, opiekę nad dziećmi. Dziś prowadzi działalność edukacyjną.

– Wszystko robiliśmy sami. Wiesz, że o Kozarcu mówiło się „mała Szwajcaria”? Zawsze nas nienawidzili, bo jesteśmy przedsiębiorczy. Chcieli nas wymordować, zniszczyć, a my na złość im żyjemy – podkreśla Emsuda.

Przed wojną miała firmę odzieżową. Dla tego trafiła na listę, którą Serbowie sporządzili podczas wojny: bośniackich Muzułmanów, ludzi wykształconych, z pozycją, pieniędzmi. Mieli zginąć. Uratowała ją koleżanka Serbka i jej krewny. Jednak Emsuda trafiła do obozu koncentracyjnego w pobliskim Trnopolju. Niechętnie to wspomina: – Nie chcę płakać. Żeby ci, którzy nas krzywdzili, nie mogli się cieszyć.

Ale obrazy z obozu przesładują Emsudę.

Obóz w Trnopolju Serbowie zorganizowali na terenie szkoły podstawowej: 5 tys. ludzi stłoczonych na skrawku ziemi i paru budynkach. Drut kolczasty, spanie na betonie, trawie, na stopniach schodów. Wyciągane z tłumu kobiety, zabierane i gwałcone (tylko niektóre wracały). Snajperzy strzelający do ludzi stłoczonych na boisku. Serbskie koleżanki, które przychodziły wyśmiewać więźniów. Wszechobecny głód. Ervin go pamięta. Emsuda też.

W tym obozie zrobiono słynne zdjęcie na okładkę magazynu „Time”: ludzkie szkielety za drutem, w sierpniu 1992 r. Po tym, jak o obozach zrobiło się głośno, Serbowie zlikwidowali trzy z nich, koło Prijedoru i Kozarca, a część więźniów uwolnili.

Jednym z tych szkieletów ze zdjęcia był Fikret Alić – ważył wtedy 48 kg. Dziś ciężko go rozpoznać w potężnym mężczyźnie, który szybko mówi i szeroko gestykuluje. Przeszedł dwa obozy, oprócz Trnopolja był jeszcze w obozie Keraterm pod ➔

KOZARAC JEST NAJWIĘKSZYM MUZUŁMAŃSKIM MIASTECZKIEM w Krajinie – północno-zachodniej części Bośni, zdominowanej przez Serbów. Jej mieszkańcy mają odwagę patrzeć w oczy swoim przeladowcom, każdego dnia.

– Wróciliśmy do siebie i czujemy się u siebie. Nie damy się wygonić – podkreślają. Są pracowici, uparci, wielu się dorobiło. Nie chcą się czuć ofiarami, choć często słyszą, że to, co przeżyli, się nie zdarzyło.

– Tymczasem niemal każdy kozaracanie w 1992 r. trafił do obozu. Każdy, kogo nie zabili na miejscu, rzecz jasna – podkreśla Ervin Blažević.

→ Prijedorem. Dziś tych kilka baraków na terenie byłej fabryki ceramiki nie wygląda groźnie. Ale działa się tam straszne rzeczy.

Fikret wyrzuca z siebie obrazy z Keratermu: ludzie zmuszeni jeść trawę, jak zwierzęta. Przerażeni, jedli, a potem zwiłali się z bólu: trawa na puste żołądki. Komendant, który kazał mu całować swoje kowbojskie buty, po czym kopniakami wybił mu zęby. Ludzie stłoczeni w hangarach, którzy nie mogli wyjść przez kilka dni z rzędu.

– Leżeli we własnych odchodach i własnej krwi, ropa sączyła się z ran po torturach. Żywcem ich jadły robaki, pasły się w tych ranach. Myślałem, że robaki jedzą tylko zwłoki. Okazało się, że mogą jeść też ludzi żywcem – wspomina Fikret. Wymienia narzędzia tortur: kabel, kij bejsbolowy, metalowe pręty, bagnet.

Doskonale znał swoich oprawców: – Zoran Žigić, komendant z obozu w Keratermie, był moim sąsiadem. Przed wojną był fajnym facetem, porządnym człowiekiem. Jeździł taksówką. Dostał 25 lat odsiadki, teraz mieszka w Austrii.

Krzyczeli: „Mamo!”

Najgorszy był obóz w Omarskiej. To teren dawnej (i obecnej) kopalni rudy niedaleko Kozarca. Tam zamordowali na wyszukane sposoby ponad 700 osób w trzy miesiące.

Kasim Pervanić trafił do Omarskiej z Kevljani pod Kozarcem. On też znał swoich oprawców. Przesłuchiwał go nauczyciel chemii z jego szkoły. Powiedział: „Ty, Kasim, jesteś fundamentalistą i chcesz państwa islamskiego!”.

Kasim: – Siedziałem na brzegu krzesła, z rękami na potylicy. On, ubrany w mundur moro, pił whisky i palił kenty. Za każdym razem, gdy zapalał papierosa, był to znak dla jego żołnierzy, żeby mnie zaczęli bić. Godzinę to trwało. Potem mnie prowadzili na dół, korytarzem. Tam też stali wartownicy i walili, ile sił. Pilnowałem się, żeby nie upaść. Jeśli któryś więzień upadł od ciosów, żołnierz wchodził na stół i z całej siły skakał mu na kręgosłup albo na pierś. Kości pękały.

W nocy też było strasznie. – W noc świętego Piotra, serbskie święto, serbscy strażnicy pili i śpiewali. Zrobili ognisko ze starych opon. Brali więźniów z baraków, strasznie ich bili. A potem zakrwawionych łapali za ręce i za nogi, rozhuśtywali i wrzucali żywcem na ten płonący stos. I oni palili się żywcem. Widziałem to wszystko – opowiada Kasim.

Kozarac

TA NAZWĄ określa się miasto i przyległe wioski, m.in.: Kevljani, Trnopolje, Kamičani (Kozarac był kiedyś ich gminą). Zamieszkanе przez bośniackich Muzułmanów, dziś leży w gminie Prijedor – zdominowanej przez Serbów, na terenie Republiki Serbskiej (to część składowa federacji Bośni i Hercegowiny). Od maja do sierpnia 1992 r. Serbowie „oczyszczali” ten teren z Muzułmanów i Chorwatów. Mordowali ludzi w domach i obozach w Trnopolju, Keratermie, Omarskiej. Szczątki znajdowano potem w masowych grobach m.in. w Kevljani, Tomašicach, na Koričanskiej Stijenie. Liczba ofiar z gminy Prijedor to trzy tysiące. Za te zbrodnie zostało skazanych w Hadze ponad 50 osób z tego rejonu. © MP

Do dziś nie może spać, podobnie jak chyba większość (sądząc z opowieści) mieszkańców Kozarca. Nie pomagają tabletki. Jego psychiatra dawno się poddał.

Kasim: – Do dziś w uszach mi to dźwięczy. Dorośli mężczyźni wołali: „Mamo! mamo!”. Dzień i noc, przez półtora miesiąca. Słuchałem tego i czekałem, aż przyjdą po mnie.

Jeśli takie okropności można w ogóle stopniować, to w Omarskiej miała miejsce najstraszniejsza bodaj historia z Kozarca. Tam przyjaciel zamęczył w okrutny sposób przyjaciela. Duško Tadić, znany w Kozarcu przed wojną instruktor karate, Serb. Z Emirem Karabašićem, przedwojennym policjantem, byli nierozłączni. Gdy Emir trafił do Omarskiej, był torturowany przez Duško tak, że od krzyków Emira więźniowie szaleli ze strachu.

– Było kilka takich przypadków, że przyjaciel przyjaciela tak strasznie torturował. Emir nie był jedyny – wspomina Kasim.

Sąsiedzi nam to robili

Kasim po wojnie wrócił do swojej wsi Kevljani. Spotykał serbskich sąsiadów, których dobrze zapamiętał z czasów wojny. Mówili mu: „Zobacz, co nam zrobili! Amerykanie, Europa!”.

– Ja na to: jacy Amerykanie? Jaka Europa?! Mnie w obozie tłukli sąsiedzi, Serbowie! I na tym się skończył temat – wspomina. – Nie mogłem uwierzyć, że moi najbliżsi sąsiedzi robili mi takie rzeczy. Do dziś nieśmiem mi się to w głowie.

Kilometr od jego domu znaleziono masowy grób, w którym pochowano jego za-

mordowanych kolegów z Omarskiej. Doliczono się szczątków 456 osób. Drugi masowy grób znajduje się 300 metrów dalej, przy meczecie.

Mimo to, a może właśnie dlatego Kasim wrócił, odbudował dom i założył farmę.

– Kocham wieś. 30 lat przed wojną wychowałem się i żyłem tutaj. Po wojnie ojciec chciał mi w pobliskim mieście kupić mieszkanie. Ale równie dobrze mógłbym mieszkać w Ameryce. Jestem z Kevljani, ze wsi, tu się wychowałem, tu się czuję u siebie – podkreśla.

Obok jego domu stoi zagroda, a w niej na pół ślepy koń. Kasim trzyma go „dla rekreacji”. Czyje? – No jego, konia, bo przecież nie mojej, ha ha! – dziwi się Kasim.

Za ogrodzeniem stoją owce. – Ogrodziłem to sam, w trzy miesiące, 1200 metrów drutów. Sprzedaję mięso pośrednikom. A mleko od kozy jest najlepsze. Popatrz, tutaj masz tylko trawę, łąkę, las. Sama natura. To najzdrowsze. Chodźcie, dziewczyny, chodźcie, piękne moje! – i całe stado, becząc, leci z pagórka. – O, a tutaj są kury. Sam nie wiem nawet, ile ich mam. Ta żółta to japońska rasa. Ozdobna.

Wrócił w 2003 r. – Musiałem wszystko w rok naprawić. Nawet internet jest. A w 2005 r. przyjechał brat ze studentami – opowiada.

Jego brat Kemal, więzień Omarskiej, założył organizację Most pokoju.

– Dostaje fundusze europejskie na pracę z dziećmi, w tym roku będą chyba warsztaty gry na bębnie. Przedstawienia też dają. Przyjeżdżają z Ameryki, z Europy – opowiada Kasim.

Podobnie jak Fikret, Ervin czy Emsuda, także Kasim nie wyobraża sobie życia poza Kozarcem. Żadne straszne wspomnienia tego nie zmieniają.

Bośniacki humor

Podobnie myśli Jusuf Arifagić, potentat w branży rolniczej tego regionu.

W Trnopolju, niedaleko byłego obozu, założył farmę krów norweskich. Tutaj jest ich tylko 150, ale w całym kraju Arifagić ma kilka takich farm. Jest największym dostawcą mleka w Republice Serbskiej. Tylko na pasze wydaje miesięcznie 100 tys. marek (równowartość 220 tys. zł).

Szczupły, wyważony, elegancki. Jest jednym z najbogatszych ludzi w regionie, ale jeździ starym mercedesem (rocznik 1999). – Takimi autami jeżdżą u nas ciężko pracujący biznesmeni, wycackane limuzyny mają tylko złodzieje – uśmiecha się Jusuf.



ERVIN BLAŽEVIĆ:
 Och, to proste. Jesteśmy
 Muzułmanami, a w Republice
 Serbskiej, gdzie żyjemy,
 większość to Serbowie
 i oni tu rządzą.
 Podczas wojny chcieli się nas
 pozbyć, wyczyścić teren,
 ale nic z tego!
 Jesteśmy
 jak wioska Asteriksa
 w Imperium Rzymskim.

ADAM GUZ / PAP

Media ochrzciły jego farmę „hotelem dla krów”. Faktycznie, w środku specjalny system reguluje temperaturę powietrza, sprawdza, ile krowa dała mleka, wydziela paszę, nadzoruje sprzątanie odchodów (automatycznie), odzyskuje energię ciepłą z mleka do podgrzewania wody. Notuje też, na co zwierzę choruje (weterynarze mają tu osobny pokój). Tylko płyty z muzyką Jusuf wybiera sam. Rzewne bośniackie sevdalinki. – Krowy lubią ich słuchać. Popatrz, jaka sielanka – znowu uśmiech.

Jusuf zawsze był obrotny. Przed wojną pracował na kontrakcie w Libii, jeszcze w państwowej firmie. Potem, jako uchodźca w Norwegii, po kilku latach otworzył własną firmę, która odnawiała i sprzedawała mieszkania. Do dziś mu ich trochę jeszcze zostało.

W „hotelu dla krów” daje pracę 50 osobom: Serbom, Muzułmanom, Ukraińcom. – Samo załatwianie papierów zajęło mi trzy lata, od 2007 r. – opowiada. Ale nie zniechęcił się. Budowa trwała dwa lata (2011-13). Produkcja ruszyła w 2014 r.

Wrócił, gdyż chce pomagać swoim: – Kozaracanie z zagranicy co rok ładują w tę okolicę miliony euro. Chciałem to robić na miejscu.

Ma opinię pracodawcy, który płaci dobrze. Czasem przychodzą z prośbą o pracę byli oprawcy z obozu. Mówi im: „nie”.

– Co mam więcej powiedzieć? On się nigdy nie przyzna ani nie przeprosi. A obaj wiemy, jak było – dodaje Jusuf.

Jest spokojny, ale zdeterminowany. – Wiesz, że 50 procent masowych gro-

bów znalezionych w Bośni leży na terenie gminy Prijedor? Ale tu wróciłem. To nie jest serbskie miasto. Kozarac to moje miasto i za nie będę się bił. Żeby takie fałszywskie myślenie nigdy więcej nie miało miejsca. Musimy walczyć o swój kraj. Bez państwa jesteśmy niczym. Popatrz na Kurdów, na Cyganów, na Żydów przed II wojną. Nie mieli państwa i co się z nimi stało?

Obozowe wspomnienia nie przeszkodziły mu więc w powrocie. – Obóz i tak masz w głowie, niezależnie od tego, gdzie jesteś. Nie uciekniesz od tego – mówi.

– A gdzie byłeś właściwie? – pyta Jusufa Ervin.

Jusuf: – Zaliczyłem Omarską, Keraterm, Trnopolje. Wszystkie trzy obozy.

– Znaczący się: all inclusive! – wybucha śmiechem Ervin.

– All inclusive – potwierdza Jusuf i uśmiecha się. Bośniacki humor.

Ludobójstwo w małym palcu

Żarty żartami (Ervin: – To mój sposób na oswojenie traumy), ale determinacja jest potrzebna, żeby upamiętnić to, co tutaj się wydarzyło.

Każdy z mieszkańców Kozarca walczy na swój sposób.

Ervin: – Walczymy o tablice, o miejsca pamięci. Według serbskich władz nie było żadnego ludobójstwa, żadnych obozów koncentracyjnych. Bo w Hadze ludobójstwa nie wykazano, co jest absurdalne. Stoimy na stanowisku, że mamy prawo tak mówić. Widzieliśmy to na własne

oczy. Mam ludobójstwo w małym palcu. Fazy negacji, fałszowania historii itd.

Jego stowarzyszenie Optimisti organizuje edukację wyjazdową: opowiada o tym, co tu się stało, młodzieży z Europy Zachodniej.

Kilka stowarzyszeń, które działają w Kozarcu, uparło się i postawili pomnik pomordowanym w 1992 r. współmieszkańcom, za prywatne pieniądze.

Ale poza tą „wioską Asteriksa” nie jest już tak łatwo.

Z trzech dawnych obozów tylko w Keratermie jest niewielka tablica: mówi o 3 tys. męczonych więźniów i 300 ofiarach. Małutka, niemal niewidoczna, na trawniku przy znajdujących się obecnie w tym miejscu warsztatach samochodowych i myjni.

W Omarskiej działa kopalnia, wykupiona przez hinduskiego potentata Mittala. Żeby wejść na teren byłego obozu, trzeba specjalnej zgody, wypełniania formularzy – na zgodę czeka się dwa dni robocze. A i tak można zobaczyć tylko niewielki fragment, tzw. Białą Dom. Tablicy upamiętniającej nie ma.

W Trnopolju tablica w obozie jest, ale poświęcona... serbskim żołnierzom, którzy zginęli w tamtej wojnie, w walce. Dla byłych więźniów to jak policzek. Ale nie mogą nic zrobić, grunty należą do gminy Prijedor. – To tak, jakby w Auschwitz postawić pomnik żołnierzom niemieckim, którzy zginęli w czasie ataku na Polskę – mówi Ervin.

Ale nie poddaje się i walczy nadal. Ma naturę zadymiarza, aktywisty. Trwa przy swoim. Codziennie rano budzi go zapach rogalików z piekarni. Zapach, za który w obozie oddałby wszystko.

Tak jak on, kozaracanie uparcie wracają do swojego miasta. W lecie czasami jest po kilka ślubów dziennie, korowody aut, wielodniowe balowanie. Pod koniec lipca i w sierpniu, kiedy mieszkańcy świętują rocznicę zamknięcia obozów, 8-tysięczne miasto na co dzień zaludnia nawet trzy razy tyle ludzi.

Ulice się zapełniają, kawiarnie są pełne śmiechu, rusza turniej koszykówki dla młodzieży.

Ervin szykuje dla nich dyplomy i medale, Emsuda piecze ciasto dla gości, Jusuf puszcza sevdalinki swoim krowom i szykuje się do wyborów.

Chce zostać wiceprezydentem Republiki Serbskiej i wszystko zmienić dla kozaracan na lepsze.

© MARTA PALUCH

Na końcu kolejki

DARIUSZ ROSIAK

Dymisje, upokorzenia ze strony Trumpa, uliczne protesty: wrzenie w Wielkiej Brytanii sięga zenitu. Jak długo przetrwa rząd Theresy May? I czy jej plan przyszłych relacji z Unią to przełom czy też mrzonka?

BORIS JOHNSON UDERZYŁ W POETYCKI ton. „Marzenie umiera, uduszone przez niepotrzebne zwątpienie” – napisał były już minister spraw zagranicznych w liście rezygnacyjnym. Chodziło mu o marzenie o pięknym brexicie, zamiast którego premier May szykuje Brytyjczykom, jak uważa Johnson, jakiś „pseudo-brexit” i „status kolonii”.

Johnson słynie z barwnego języka i także dlatego wielu Brytyjczyków odechnęło z ulgą na wieść, że postanowił porzucić stanowisko szefa dyplomacji, na którym przydaje się czasem więcej – no właśnie – dyplomacji.

Ale wydarzenia ostatnich dni – w tym rezygnacja Johnsona, złożona kilka godzin po odejściu z rządu ministra ds. brexitu Davida Daviesa – wykraczają poza kwestię stylu. Wygląda na to, że premier Theresa May zdecydowała się podjąć próbę porozumienia z Brukselą, nawet jeśli wymagać to będzie ustępstw Londynu – takich, o których nie chcą słyszeć zwolennicy twardego brexitu, czyli zerwania wszystkich związków gospodarczych, prawnych i instytucjonalnych z Unią Europejską.

Plan miękkiego brexitu

Jeszcze w piątek 6 lipca sytuacja wyglądała na stabilną. May zwołała gabinet do wiejskiej siedziby premiera – XVI-wiecznego pałacu w Chequers – i przedstawiła plan miękkiego brexitu. Zakłada on, że Wielka Brytania zwróci się do Unii z wnioskiem o „umowę stowarzyszeniową”, w ramach której powstanie odrębna strefa wolnego handlu między oboma partnerami.



Balon w kształcie Donalda Trumpa na demonstracji przeciw jego wizycie. Londyn, 13 lipca 2018 r.

Po brexicie Wielka Brytania miałaby więc utrzymać wspólne zasady kontroli produktów i dóbr, w tym produktów rolniczych, choć parlament brytyjski miałby prawo w konkretnych przypadkach odejść od europejskich reguł, „uznając, że pociągnie to za sobą konsekwencje”. Brytyjskie sądy miałyby rozstrzygać sprawy sporne związane ze stosowaniem przez Londyn unijnych regulacji, ale z uwzględnieniem dorobku prawnego unijnego Trybunału Sprawiedliwości (sądu badającego zgodność działań członków Unii z prawem europejskim).

Dalej, obszar Wielkiej Brytanii i Unii miałby być traktowany jako „wspólne terytorium celne”, co w praktyce oznaczałoby, że cła na towary sprowadzane na Wyspy i przeznaczone dla Brytyjczyków ustali Londyn, a na te, które przeznaczone są na rynek europejski, Bruksela. Skończyłyby się wolny przepływ ludności między Unią a Wielką Brytanią, choć powstałby „system mobilności”, w ramach którego obywatele Unii i Brytyjczycy będą mogli podróżować i starać się o pracę oraz podjęcie nauki na terytorium partnera.

Przez weekend wyglądało na to, że plan został zaakceptowany przez wszystkich członków rządu. Ale w poniedziałek rezygnację złożyli najpierw Davies, a potem Johnson – wywołując po raz kolejny w ostatnich tygodniach pytania o przyszłość rządu pani May.

Skłóceni torysi, podzielona opozycja

W ciągu roku od objęcia urzędu ośmiu ministrów Theresy May zostało wyrzucanych z rządu lub podało się do dymisji. Trup dookoła niej ściele się więc gęsto, a ona sama uznawana była przez ten rok za najbardziej osłabionego premiera w brytyjskiej historii.

Ale z tych ocen niewiele wynika. Chwilowo nic złego nie wynika też dla premier May z rezygnacji Daviesa i Johnsona. Tuż po ich ustąpieniu zebrał się „Komitet 1922”, tj. klub parlamentarny torysów zrzeszający posłów, którzy nie zajmują stanowisk w administracji. Od jego decyzji zależy uruchomienie procedury odsunięcia od władzy premiera, do czego potrzebny jest wniosek co najmniej 48 po-

słów (do tego, by panią May obalić, potrzebnych byłoby 159 konserwatywnych posłów). Takiej liczby głosów nie udało się zebrać, co oznacza, że prorocтва o przedwczesnej śmierci rządu Theresy May wydają się przesadzone.

Co ważniejsze, czterech najważniejszych członków rządu – pani premier i ministrowie dyplomacji (został nim Jeremy Hunt), finansów oraz spraw wewnętrznych – to dziś osoby, które głosowały za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii. Chwilowo pani May ma też zapewnioną lojalność trzech najbardziej probrexitowych ministrów – Andrei Leadsom (przewodnicząca Izby Gmin), Chrisa Graylinga (transport) i Michaela Gove’a (środowisko) – do których dołączył nowy minister ds. brexitu, jego zdeklarowany zwolennik Dominic Raab.

Twardzi konserwatywni brexitowcy zdają sobie sprawę, że zebranie armii do walki o odsunięcie pani premier jest dziś niemożliwe. Dlatego nawet nie próbowali walczyć o jej obalenie – co nie znaczy, że akceptują jej plan.

Krytycy pani premier uważają, że dla Wielkiej Brytanii będzie wręcz lepiej opuścić Unię bez żadnej umowy z Brukselą niż z miękką umową wypracowaną w Chequers. Krytykując ten plan twierdzą, że jego skutek będzie taki, iż w stosunkach Londynu z Brukselą prawie nic się nie zmieni – poza tym, że Wielka Brytania nie będzie miała prawa głosu przy ustalaniu przepisów, które i tak będzie zmuszona przestrzegać.

Jacob Rees-Mogg, jeden z największych ekscentryków brytyjskiej polityki i przywódca torysowskich brexitowców, znalazł nawet porównanie historyczne dla planu pani May: „To jest największy akt wasalizmu od czasu, gdy król Jan złożył hołd Filipowi II w Le Goulet w 1200 roku”.

Grupa zatwardziałych brexitowców wśród torysów liczy ok. 60 posłów, a rząd dysponuje większością zaledwie 13 głosów – musi więc liczyć się z porażkami w przyszłych głosowaniach, dotyczących wprowadzenia zasad zawartych w tym planie do ustawodawstwa.

Ale opozycja – tak jak torysi – nie ma jednoznacznego stanowiska w sprawie brexitu. Lider Partii Pracy Jeremy Corbyn przez całe polityczne życie uważał Unię za siedlisko kapitalistycznej zarazy i nic nie wskazuje, by zmienił zdanie. Co najwyżej, podobnie jak Theresa May, lawiruje między dwoma skrajnymi odłamami swej

partii – licząc, że nie będzie musiał składać jednoznacznych deklaracji, bo wcześniej czy później torysi sami się wykończą, dojdzie do nowych wyborów, a on zostanie premierem.

Ale dziś wydaje się to nierealne. A nawet gdyby po kolejnym przesileniu doszło do realizacji takiego scenariusza, mielibyśmy kontynuację sporu o kształt brexitu, tylko w wydaniu laburzystowskim. Nawet najwięksi miłośnicy Labour wiedzą, że partia ta miałaby jeszcze większe problemy z wyprowadzeniem kraju z Unii niż torysi.

Butelka niemal pełna?

W gruncie rzeczy pani May jest dziś dokładnie w takiej samej sytuacji, jak każdy kolejny premier brytyjski w ostatnich dekadach – bez względu na przynależność partyjną. Próbuje rozwiązać problem niewyrażnie nierozwiązywalny w brytyjskiej polityce, to znaczy pogodzić zwolenników i przeciwników obecności Wielkiej Brytanii w strukturach europejskich.

Po referendum brexitowym w 2016 r. przez moment zdawało się, że ten problem został rozwiązany: przeciwnicy Unii wygrali, a kraj po prostu miał z niej wystąpić. Rzecz w tym, że dopiero teraz Brytyjczycy dowiadują się, na czym polega odłączenie się od Unii. Oraz – co najważniejsze i najbardziej szokujące dla nich – zaczynają rozumieć, że Unii nie da się opuścić na zasadach ustalonych przez opuszczającego. Podobnie jak członkiem Unii można zostać tylko spełniając warunki ustalone w Brukseli, tak też wyjść można tylko na warunkach zaakceptowanych przez Unię.

Co prowadzi nas do najsłabszej części planu z Chequers: jego sukces nie zależy ani od twardych brexitowców, ani od zwolenników miękkiego brexitu, ani nawet od totalnych przeciwników brexitu. Ocenia go negocjatorzy unijni i to od nich zależy jego przyszłość.

W Brukseli plan pani May został na razie przyjęty z ostrożnym optymizmem. Wprawdzie główny negocjator unijny Michel Barnier mówił początkowo, że propozycja „wspólnego terytorium celnego” to zawołowana próba wykrojenia przez Londyn dla siebie odrębnej strefy wolnego handlu z Unią, na co Bruksela zgodzić się nie może, bo nie po to przez 60 lat budowała w trudzie system oparty na czterech wolnościach (swobodny przepływ towarów, osób, usług i kapitału), by teraz to pśuć na życzenie Brytyjczyków, którzy sami nie wiedzą, czego chcą.

Jednak po dymisjach Johnsona i Daviesa Michel Barnier zmienił tonację: według niego „80 procent treści umowy brexitowej z Londynem jest już wynegocjowane, zostało tylko 20 procent”. Wyglądałoby więc na to, że butelka jest niemal w całości pełna. Pytanie, co mieści się w tych 20 procentach?

Nóż w plecy

Gdy już wydawało się, że polityczne wrzenie w Wielkiej Brytanii osiąga punkt krytyczny, w czwartek 12 lipca do Londynu przyleciał Donald Trump.

W brytyjskiej tradycji politycznej wsadzanie sojusznikom noża w plecy (ang. *backstabbing*) ma długą i piękną tradycję. Ale to, co zrobił Trump podczas tej pierwszej wizyty nad Tamizą w roli prezydenta USA, przekroczyło znane wcześniej granice. W wywiadzie dla najpopularniejszej brytyjskiej gazety „The Sun” Trump uznał, że plan relacji Wielkiej Brytanii z Unią wyraźnie różni się od tego, na co głosowali Brytyjczycy w czasie referendum brexitowego, i zapowiedział, że plan premier May „zabije” umowę handlową Londynu z USA. Wcierając sól w ranę Trump wyznał, że bardzo lubi i szanuje Theresę May, ale „Boris Johnson byłby wspaniałym premierem”.

To nie pierwszy raz, gdy prezydent USA otwarcie ingeruje w politykę brytyjską. Dwa lata temu, tuż przed referendum, Barack Obama ostrzegał, że jeśli Brytyjczycy wybiorą brexit, ich kraj znajdzie się „na końcu kolejki” do zawarcia umowy handlowej z USA. Jednak Obama był popularny i bronił polityki ówczesnego premiera Camerona. Tymczasem wywiad Trumpa dla „The Sun” stał się dla wielu Brytyjczyków – nawet tych neutralnie nastawionych do Trumpa – szczytem arogancji i nieodpowiedzialności.

W miniony piątek na ulicach Londynu tłumy protestowały przeciw wizycie prezydenta USA, a nad miastem unosił się balon w kształcie Trumpa – ze znajomą zazwyczaj wielką pieluchą spiętą agrafką i telefonem komórkowym w małej dłoni.

Wszyscy czekali na nowe tweety prezydenta. Tymczasem na wspólnej konferencji prasowej po spotkaniu z May, Trump praktycznie odwołał to, co mówił w wywiadzie dla „The Sun”. Relacja USA z Londynem jest „niezbędna” – powiedział. – „Cokolwiek Zjednoczone Królestwo zrobi po opuszczeniu Unii, jest dla mnie OK”.

Prezydent po raz kolejny okazał się sobą: Trumpem nieprzewidywalnym. ©

Piechurzy bez granic

SZYMON ŁUCYK Z LILLE I CALAIS

Aby wesprzeć imigrantów, przemierzali pieszo Francję: od włoskiej granicy do portu Calais. 1100 km, ponad dwa miesiące w drodze. Na ostatnim odcinku szliśmy z nimi, słuchaliśmy ich opowieści.

MALIKA POKAZUJE SFATYGOWANE ADIDASY: – Te buty przeszły ze mną całą trasę z Berlina do Aleppo. Teraz idę w nich do Calais. Jak już całkiem się rozleca, zachowam je na pamiątkę.

W 2017 r. Malika przemaszerowała całą trasę obywatelskiego marszu z Berlina do syryjskiego Aleppo. Siedem miesięcy w drodze. Teraz to powtarza, choć na mniejszą skalę. Gdy rozmawiamy, ma w nogach już 500 km: do francuskiego marszu dołączyła w okolicach Troyes. Jesteśmy kilkadziesiąt kilometrów od mety – portu Calais nad Kanałem La Manche.

Różne Francje

Ojciec Maliki jest Algierczykiem; mama, hiszpańskiego pochodzenia, do 18. roku życia mieszkała w Mali, zanim wyjechała do Francji. Ale Malika dowodzi, że jest Francuzką od sześciu pokoleń, bo jej algierski praprapradziadek był już obywatelem Francji: – Wychowałam się w regionie paryskim, a moją najlepszą przyjaciółką była Polka. Płynię we mnie krew wielu narodów. Taka jest cała Francja.

Z wykształcenia prawniczka, z konieczności kobieta wielu profesji. Z charakteru – niezależna aktywistka. Jeździła po Grecji, po obozach przejściowych dla imigrantów, aby ich dzieciom dawać lekcje rysunku i pisania. Teraz udziela porad prawnych imigrantom we Francji, czasem gości ich w domu.

Wszystko na własną rękę, bo Malika nie lubi struktur ani instytucji: – Znam wielu Francuzów, którzy indywidualnie wspierają uchodźców, ale się tym nie chwala. Także dlatego, że mogą mieć z tego powodu kłopoty, przepisy wciąż przewidują kary za np. nocowanie u siebie imigrantów bez papierów czy ułatwienie im poruszania się po kraju [chodzi o przewidziany we francuskim prawie tzw. występki solidarności; jego usunięcie nakazała w lipcu Rada Konstytucyjna – red.].

Jednak przeznaczeniem Maliki jest, jak mówi, bycie pisarką: – Piszę teraz moją pierwszą powieść, opartą na doświadczeniu marszu do Aleppo. Dlatego potrzebowałam znowu ruszyć w drogę. Gdy chodzę, lepiej mi się myśli, znajduję właściwe słowa, a one układają mi się w zdania.

Po drodze chętnie wdaje się w rozmowy. – Wrogie reakcje na marsz? No tak, dziś rano jeden mężczyzna, który wyszedł z *tabac* [francuski bar, gdzie sprzedaje się też papierosy – red.], powiedział mi: „To świetne, co robicie, dzięki wam więcej ludzi będzie głosować na Front Narodowy. Ja też popieram Front, żeby wyrzucić arabusów”. Zanim zniknął, zdążyłam tylko powiedzieć, że też jestem Francuzką. Zapomniałam dodać, że od wielu pokoleń – śmieje się Malika. – Ale to jedyna taka agresywna riposta na marsz, jaką pamiętam, a idę już przecież miesiąc – dodaje.

Wcześniej, gdy marsz przechodził przez miasta południa Francji, Front Narodowy zorganizował tam kontrmanifestacje. Szczęśliwie nie doszło do starć.

Kwestia honoru

Za Lille mijamy miasteczka z rzędami niskich domków z czerwonej cegły, wszędzie flamandzkie nazwy: Steenwerck, Hazebrouck, Watten. Historyczny skrawek Flandrii, leżący dziś po francuskiej stronie granicy (reszta jest w Belgii). Wokół łąki, pasą się krowy, na polach leżą identyczne stogi siana w kształcie walców.

Mieszkańcy wioski otwierają okna. Jedni machają przyjaźnie w stronę kółorowego orszaku, dają piechurom wodę, życzą powodzenia. Inni wychodzą na próg, przyglądają się ciekawie, milczą.

Jean-Pierre, przez lata robotnik w miejscowej fabryce, bierze ulotkę od wolontariusza, ale nie jest przekonany do marszu. Wdaje się w dyskusję: – Nie, nie jestem przeciwko imigrantom, jeśli są już u nas,

głodni i na ulicy, to trzeba im pomóc. Ale uważam, że trzeba najpierw wspierać ich kraje, żeby z nich nie wyjeżdżali. A to, co się stało w Calais, ten chaos, bałagan, góra śmieci... Po czym się ożywia: – Widzieliście mecz Japończyków na mundialu? Jak kibice japońscy wzięli torby na śmieci i sprzątały trybuny po sobie? *Voilà!* Od nich mogliby się tamci uczyć porządku.

Zatrzymujemy się na lunch. Wolontariusze wyładowują z furgonetki jedzenie. Długa kolejka. Każdy piechur dostaje sałatkę z ryżem, napoje i owoce. Niektórzy, złani potem, ucinają sobie sjęstę w cieniu.

A potem znów ruszamy. „O la la, o le le / z uchodźcami łączmy się” – przyśpiewka na skoczną nutę. Z lipcowego nieba leje się żar. Kolumna rozciąga się, przypomina wijące się węża.

Obywatelski marsz solidarności z imigrantami idzie już od ponad dwóch miesięcy z włoskiego Ventimiglia, miasta na granicy z Francją. Jego uczestnicy domagają się, aby Europa była bardziej solidarna





Uczestnicy marszu w Pikardii, północna Francja, czerwiec 2018 r.

wobec imigrantów. Sprzeciwiają się zaostreniu kursu politycznego w tej kwestii przez prezydenta Emmanuela Macrona.

Przed nami miejscowość Grande-Synthe, w pobliżu Dunkierki. Jeszcze niedawno istniał tu ośrodek dla 2,5 tys. imigrantów. Powstał wbrew woli rządu, za sprawą determinacji mera miasta Damiena Carême'a (rządzi nieprzerwanie od 17 lat). Założenie ośrodka prowadzonego przez organizację Lekarze bez Granic pozwoliło na pewien czas odciążyć tzw. „dżunglę” w Calais (kocowisko imigrantów, usiłujących dostać się na promy do Wielkiej Brytanii). Jednak ten oddolny ośrodek humanitarny spłonął w kwietniu 2017 r., w wyniku wewnętrznych waśni jego mieszkańców.

Dla organizacji pozarządowych Carême jest bohaterem: symbolem Francji solidarnej z imigrantami. I przeciwnieństwem władz Calais, które od lat toczą konflikt ze stowarzyszeniami, które pomagały mieszkańcom dawnej „dżungli”.

Teraz Carême dołącza do marszu. Wita go aplauz *marcheurs*. – Ratujecie honor Francji, upominacie się o to, co powinno robić francuskie państwo – rewanżuje się piechurom mer. – Nie pozwolę, aby w moim mieście mężczyźni i kobiety z dziećmi spali na ulicy. Zajmuję się nimi tak, jak wszystkimi mieszkańcami miasta. To nic wielkiego, odrobina człowieczeństwa, która jest w każdym z nas.

Dziś – po tym, jak obóz w Grande-Synthe spłonął – w okolicznych lasach koczują wciąż kilkuset imigrantów, głównie Kurdowie. Pomagają im miejscowe organizacje, jak Emmaus, np. rozdając posiłki.

Seniorzy na froncie

Wśród tych, którzy maszerują od początku, jest nierozłączna para: François i Maya. Trudno ich dogonić, bo zwykle mkną na czele pochodu, z komórką przyklejoną do ucha. Daleko przed innymi, zwykle młodszymi o prawie pół wieku.

Maya: – Znamy się z François od 44 lat, był najlepszym przyjacielem mojego brata, ale żyjemy wspólnie dopiero od 12 lat. Gdy byliśmy młodzi, całowaliśmy się, ale nie nadszedł ten moment i każde poszło swoją drogą, poślubiło kogoś. Widać tak musiało być. Bo bardzo się różnimy.

Kiedyś François Guennoc uczył licealistów w szkole rolniczej. Urodzony aktywista: – Zawsze o coś walczyłem. W latach 70. zaczynałem w organizacjach skrajnej lewicy, trwało to trzy-cztery lata. Potem, po sowieckiej interwencji w Afganistanie, zaangażowałem się w obronę niepodległości afgańskiej.

Później pochłonęła go walka o zachowanie lokalnych tradycji kulturalnych: – Zawsze interesowało mnie rybołówstwo, techniki połowu, sposób życia rybaków. Wzięło się to pewnie z tego, że mieszkam blisko Boulogne-sur-Mer, największego portu rybackiego we Francji. Napisałem o tym wiele książek.

Ale gdzie w tym wszystkim sprawa imigrantów? – Mieszkam w pobliżu Calais, więc byłem wrażliwy na kwestię „dżungli”. Pięć lat temu, gdy przeszedłem na emeryturę, zostałem wolontariuszem, a potem wiceszefem stowarzyszenia Oberża Migrantów, pomagającego im w Calais. Nasza Oberża jest jednym z kilku stowarzyszeń w Calais, które świadczą najpilniejszą pomoc: rozdajemy posiłki, koce i namioty, ładujemy ludziom telefony – opowiada François.

Maya: – François był zawsze aktywistą. Ja nigdy nie należałam do żadnej organizacji. Pracowałam całe życie w branży jubilerskiej, miałam własny warsztat, wyrabiałam biżuterię. Zostałam aktywistką dopiero cztery lat temu.

Wspomina jednak, że prawie 20 lat temu, pod wpływem podróży po Afryce i Pakistanie, postanowiła zaangażować się w rozwój gospodarki krajów biednych. – Miałam projekt uruchomienia mikro-kredytów dla rodzin afrykańskich, żeby same mogły zarabiać na życie. Ale okazało się to trudne, w sytuacji gdy nie byłam stale na miejscu, nawet jeśli wracałam do Afryki kilkakrotnie.

Maya zdała sobie sprawę, że zamiast wydawać pieniądze na loty, mogłaby pomóc Afrykanom bardziej efektywnie: – Mieszkam blisko Calais i widziałam tysiące ludzi w „dżungli”...

Tak się złożyło, że François zaczął działać w Oberży i jego towarzyszką dołączyła →

→ do niego, choć jak ognia unika wszelkiej przynależności: – Bycie wolontariuszką było dla mnie naturalne, bo spędziłam dużo czasu na afrykańskich ulicach po prostu rozmawiając z ludźmi. Zaczęłam się angażować przed nagłym rozszerzeniem się „wielkiej dżungli”. W ciągu roku urosła z 300 do 3 tys. osób w 2015 r. Byliśmy tym pochłonięci, sami ponad rok rozdawaliśmy żywność, koce, buty, ubrania, namioty. Nie było prawie wolontariuszy, Brytyjczycy przybyli później. Panika, czy damy radę... Teraz mamy dużo wolontariuszy, zajmując się bardziej zarządzaniem, rozwiązywaniem konfliktów.

To François wymyślił marsz z Ventimiglia do Calais. We Francji taki pomysł nie jest nowy: pierwszy słynny Marche des beurs (czyli Marsz Arabów, antyrasistowski; słowo „beur” to potoczne określenie Francuzów pochodzących z Maghrebu) ruszył w 1983 r. z Marsylii do Paryża. – Nasz marsz jest czymś kolorowym, wesołym, pozytywnym. Choć sprzeciwiamy się polityce migracyjnej Macrona, to jesteśmy przede wszystkim za: za otwarciem granic, za Francją gościnną dla przybyszy – podkreśla François.

Dodaje: – Polityka Macrona polega na tym, by zniechęcić imigrantów do pozostania w Calais. Władze myślą, że jeśli nie będziemy im pomagać, to z dnia na dzień znikną. To złudzenie. Oni tu zostaną, tylko w jeszcze bardziej dramatycznych warunkach.

Z „dżungli” na studia

Przed nami ostatni etap: wejście do Calais. Przechodzimy obok ogromnej pustej łąki, zarośniętej chaszczami. W pobliżu ciągnie się ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, oddzielające teren od autostrady, którą tiry suną w kierunku odprawy promowej do Anglii. To teren starej „wielkiej dżungli”. – Mój dawny dom – pokazuje Pakistańczyk Riaz. – Jak dziś do niego wracam, chce mi się płakać.

Swoim życiem Riaz mógłby obdzielić kilku rówieśników. Pakistan opuścił przed ośmiu laty, gdy miał 20 lat. Wcześniej, po maturze, pracował w pozarządowej organizacji. Pomagał mieszkańcom wioski w znajdowaniu miejsc pod budowę studni. Organizacja współpracowała z europejskimi partnerami, co ściągnęło na Riaz kłopoty. Nad tym regionem Pakistanu, przy granicy z Afganistanem, panowali wtedy talibowie. Grozili mu śmiercią, za „wysługiwanie się wrogom islamu”.



KASIA STREK / ITEM

Postój „marcheurs” gdzieś w północnej Francji, czerwiec 2018 r.

Z kolei rząd oskarżał go, jak twierdzi, o kolaborację z talibami.

Riaz wyjechał: – Granicę z Iranem przekroczyłem w przebraniu kobiety w burce, żeby nikt mnie nie poznał. Bałem się rozpoznania, bo zagrażali mi i talibowie, i rząd.

Pieniądze dla przemytników i na przedostanie się do Anglii, równowartość 10 tys. euro, dał mu wuj. – U nas nikt nie wierzy, że istnieje Europa, wszyscy mówią tylko o Anglii. Ja też jechałem do Wielkiej Brytanii – opowiada. Ale, po kilkumiesięcznej przeprawie, zamiast do mitycznego Albionu trafił – przez Iran, Turcję, Grecję i Włochy – do Francji i Belgii. Na koniec do Calais, z nadzieją przekroczenia Kanału. Ale utknął na dobre. Przez cztery miesiące próbował. – W końcu wskoczyłem do ciężarówki, ale wypadłem z pojazdu i się zraniłem, nie mogłem chodzić. Zawieziono mnie do szpitala w Calais.

Odtąd Riaz skazany był, jak tysiące innych, na koczowanie w „dżungli”. W namiocie, bez wody bieżącej i toalet. – Jestem z natury spokojny i nieśmiały. Wstydziłem się stać w kolejce po jedzenie rozdawane przez wolontariuszy. Wolałem głodować. Aż przyszła do mnie pewna ko-

bieta, jak się okazało, także muzułmanka. Zaczęła mi przynosić jedzenie. Potem zajęli się mną Lekarze bez Granic. Dzięki nim poznałem Mayę i François. Gościli mnie u siebie przez ponad cztery miesiące. Dziś są dla mnie jak rodzina – twarz Riaz się rozjaśnia.

Aby się zrewanżować parze Francuzów, został wolontariuszem Oberży, pomagał też rodakom jako tłumacz.

Porzucił pomysł przedostania się do Anglii. Pewien człowiek – być może duchowny, zastanawia się Riaz – zaprowadził go do Caritasu, gdzie namówiono go do złożenia podania o azyl we Francji. Ale za pierwszym razem wniosek odrzucono, jako że był „dublińczykiem”: wcześniej zostawił swoje odciski palców dwukrotnie, w Belgii i we Włoszech [tzw. reguła dublińska zakłada, że imigrant powinien złożyć wniosek o azyl w pierwszym kraju Unii, w którym został zarejestrowany – red.].

Riaz złożył ponownie wniosek. Znow go odrzucono. Odwołał się i w końcu postawił na swoim: – W kwietniu 2017 r. dostałem status uchodźcy.

Otworzył się nowy rozdział jego życia. Dziś Riaz jest studentem drugiego roku dziennikarstwa na Uniwersytecie w Lille.

Uczelnia ta, jak kilka innych we Francji, otworzyła program dla uchodźców. Dzięki temu studia na niej podjęły dziesiątki byłych lokatorów „dżungli” w Calais. Riaz skorzystał też z darmowego kursu językowego dla imigrantów, teraz mówi biegle po francusku. – Należę do stowarzyszenia byłych imigrantów z Calais „Nowa Dżungla”, zaczęliśmy wydawanie własnego pisma „Lille Nomade”. Napiszę do niego reportaż o marszu – mówi z dumą.

Riaz maszeruje od półtora miesiąca, wystartował w Awinionie. Jako muzułmanin przestrzega ramadanu, a ten przypadał w trakcie marszu. Przez miesiąc w ciągu dnia nic nie jadł ani nie pił wody. Posiłał się dopiero wieczorem, po dotarciu na nocleg każdego etapu: – Nie zastanawiałem się ani chwili nad udziałem w marszu. Chciałem zrewanżować się Mai i François oraz innym ludziom, którzy mi pomogli.

Calais, miasto-cytadela

Im bliżej Calais, tym liczba maszerujących rośnie. Jest już kilkaset osób, robi się głośniejsze. Marsz przypomina trochę paradę techno: na przedzie jedzie teraz platforma, z której mówcy zagrzewają uczestników. Gdzieś w środku kolumny grupa czarnoskórych *sans-papiers* [potoczne określenie imigrantów bez papierów – red.] podskakuje i bije w afrykańskie bębny.

Tłum wibruje w rytm przebojów, od przeróbki partyzanckiej pieśni „Bella ciao” po kawałki Manu Chao. Ludzie skandują – wcześniej rzadkość – także polityczne hasła: „Stop Macron, stop May, The migrants stay!”.

Nastrój fiesty przerywa wejście na teren, gdzie koczują imigranci. Nie ma wiele wspólnego z dawną „wielką dżunglą”: może 500-700 ludzi żyje w namiotach, na ulicy, pod mostem. Wcześniej, w szczytowym okresie, „dżungla” liczyła nawet 10 tys. mieszkańców.

Na miejscu pracuje kilka stowarzyszeń, francuskich i angielskich. Maya twierdzi, że organizacje pozarządowe w Calais są wciąż nękane przez policję i merostwo: – Policja stale niszczy wszystkie próby rozbijania namiotów, my je znów rozdajemy. Taka zabawa w kotka i myszkę. Próbowali nam udowodnić nieprawidłowości finansowe i to, że żywność, którą rozdajemy, nie spełnia norm sanitarnych. Wszystko na próżno. Nie damy się zniechęcić.

Maya uważa, że dziś w Calais są dwie kategorie przybyszów: tacy, którzy chcą absolutnie jechać do Anglii, bo mają tam bli-



Maya i François, czerwiec 2018 r.

François: Władze myślą, że jeśli nie będziemy pomagać, to imigranci znikną. To złudzenie. Oni tu zostaną, tylko w jeszcze bardziej dramatycznych warunkach.

skich, oraz tacy, którzy zostaliby we Francji, gdyby mieli taką możliwość. Ale nie mogą tego zrobić: albo są „dublińczykami” (a więc powinni zostać odesłani z Francji do tego kraju Unii, w którym wcześniej ich odnotowano), albo ich wniosek o azyl nad Sekwaną odrzucono i liczą, że w Anglii będzie im łatwiej pracować na czarno.

Maya: – Uważam, że reguły procedury dublińskiej nie mają sensu. Zostały ustanowione przez kraje najbogatsze, aby obciążyć przyjęciem uchodźców wyłącznie uboższe kraje śródziemnomorskie jak Grecja czy Włochy. Trzeba je zmienić, to niesprawiedliwość.

Zbliżamy się do portu, gdzie tiry wjeżdżają na promy do Anglii. Miejsce to oddziela od reszty portu wysokie i szczelne ogrodzenie. Tędy nie przecisnie się nikt.

Marsz przystaje, następuje happening: ludzie wyciągają czarne żałobne opaski i przywiązują do krat ogrodzenia. Okrzyki: „Powietrza, powietrza, otwórzcie nam granice!”. Ludzie uderzają w ogrodzenie, aż wydaje metaliczny dźwięk. Przyglądają się temu w milczeniu dziesiątki policjantów zabezpieczających marsz. Nie reagują.

Wieczór 7 lipca, ostatnia prosta. Dochodzimy do klubu Channel. Tu odbędą się koncerty kończące marsz. François Guennoc dziękuje *marcheurs* i ich sympatykom: – Francja solidarna istnieje, spotkałiśmy ją – słowa zagłusza aplauz.

Zmęczeni morderczym upałem piechurzy siedzą na dziedzińcu klubu Channel, rozmawiają, popijają piwo. Cóż znaczą dla nich obandażowane nogi. Udało się!

Delegacja sans-papiers

Dla większości uczestników marsz dobiegł końca w Calais. Ale nie dla wszystkich. Delegacja 50 z nich popłynęła promem do Dover, by w Londynie domagać się otwarcia granic.

Na pokładzie autobusu, który miał pojechać z Calais do Londynu, byli obok obywateli francuskich także *sans-papiers*. Organizatorzy twierdzą, że o ich przeprawie promem do Anglii uprzedzono wcześniej francuskich i brytyjskich pograniczników, ale bez odpowiedzi z ich strony. *Sans-papiers* liczyli, że zostaną wpuszczeni na prom ze względu na charakter marszu. Stało się inaczej: 8 lipca dwudziestu członków paryskiej grupy *sans-papiers*, którzy wsiedli do autobusu do Anglii, zatrzymała francuska policja.

Trafili na komisariat pod zarzutem próby nielegalnego przekroczenia granicy. Niemal wszystkich stopniowo wypuszczano. Gdy zamykaliśmy numer „Tygodnika”, dwóch przebywało jeszcze w areszcie, mieli stanąć przed sądem. Groziła im deportacja. Ich towarzysze drogi z Włoch do Calais mobilizowali się, aby im pomóc.

Postscriptum

Z Ventimiglia 30 kwietnia wystartowało 30 osób, do Calais 7 lipca wkroczyło co najmniej 500. Całą trasę z Włoch do francuskiego portu przeszło niespełna dziesięciu piechurów. W sumie na różnych odcinkach (także jednodniowych) marszu solidarności z migrantami, zorganizowanym przez Oberżę Migrantów wraz z lokalnymi stowarzyszeniami, na trasie Ventimiglia–Calais wzięło udział 3 tys. uczestników.

© SZYMON ŁUCYK

Czoła ubrudzone ziemią

TEKST I ZDJĘCIA **MICHAŁ ZIELIŃSKI**
Z KOBANE I RAKKI (SYRIA)

Mundial cieszył się popularnością także tam, gdzie trwa wojna. Kurdom z północnej Syrii pasja do futbolu pozwala choć na chwilę zapomnieć o trwającym dramacie.

NIESPEŁNA CZTERY LATA TEMU TEN PLAC w Kobane był polem bitwy. Oddzielał stanowiska bojowników tzw. Państwa Islamskiego (IS) od desperacko broniących się Kurdów. Choć dziś wydarzenia te zdają się odległe, na każdym kroku przypominają o nich świadectwa wielomiesięcznych walk: ściany posiekane kulami, domy obrócone w gruzy, wraki aut. Jednak w ciągu najbliższych 90 minut cała ta sceneria zejdzie na drugi plan.

Tuż pod dwudziestą zbierają się kibice. Część zajmuje nieliczne ławki, pozostali na spalonej słońcem ziemi szukają kępki trawy, na której można się rozsiaść. Gdy plac jest niemal pełny, zaczyna się widowisko. Mężczyźni i kobiety, bez względu na wiek, z przejęciem obserwują piłkarzy na ekranie. Podrywają się w chwilach napięcia, krzyczą na zawodników, unoszą ręce w geście triumfu, aby po chwili w dłoniach ukryć smutek. Kibicują, jakby mundial rozgrywał się tu, w Kobane.

Emocji nie umniejsza hałas agregatu (dzięki niemu można oglądać transmisję meczu także podczas przerw w dostawie prądu) ani fakt, że transmisja nie byłaby możliwa, gdyby nie tarcia w innym regionie Bliskiego Wschodu. Prawa do emisji mundialu uzyskała tu bowiem katarska telewizja beIN Sports, ale Saudowie – skonfliktowani z Katarzem – wykradli sygnał i za jedną czwartą ceny udostępnią go na stacji BeOutQ. Tu, w kurdyjskiej części Syrii, zwanej Rożawą, nikt nie zwraca

uwagi na czerwony pasek, na którym oburzeni Katarczyści ostrzegają o konsekwencjach piractwa.

Zainteresowaniem cieszyło się każde wieczorne spotkanie – w dniu meczu z Kolumbią „Jeszcze Polska nie zginęła” niosło się po całym Kobane. Ale serca syryjskich Kurdów skradły dwie drużyny: Argentyna i Brazylia. Flagi obu reprezentacji ozdobiły miejscowe knajpy i auta, ich mecze budziły najczęściej emocji. Także skrajnych, kończących się bójkami.

W Syrii miłość do piłki nożnej wykracza jednak daleko poza mundial. Mimo trwającej od siedmiu lat wojny, wciąż funkcjonują lokalne kluby, organizowane są turnieje, a zawodnicy chodzą na treningi. Można odnieść wrażenie, że sport pozwala oderwać się od codzienności. Nie tylko mężczyznom.

UMTITI BLOKUJE NAPASTNICZKĘ z drużyny przeciwnej, odbiera jej piłkę, przejmuje inicjatywę i pędzi w kierunku wrogiej bramki. Widać, że gra sprawia dziewczynie satysfakcję. Bawi się nią, drybluje z gracją. Z każdym jej ruchem podskakuje bujna czarna czupryna.

Tak naprawdę Umtiti ma na imię Nurdiana i jest członkinią żeńskiej drużyny futbolowej w Kobane. Niedawno skończyła 15 lat. – Gdy zaczęłam grać, koleżanki zauważyły, że jestem dobra w obronie, i zaczęły na mnie wołać Umtiti, jak obrońca Barcelony! – dziewczyna przyznaje, że grę francuskiego piłkarza widziała raz w życiu. Nie ogląda telewizji albo, co bardziej prawdopodobne, nie ma do niej dostępu. Ważne jest jednak, że rodzina zaakceptowała jej pasję i dwa razy w tygodniu może chodzić na trening.

Nurdiana należy do żeńskiej drużyny piłkarskiej w Kobane. Koleżanki z zespołu wołają na nią Umtiti.

Po prawej: piłkarze oraz kibice modlą się przed meczem w Ajn Isie.

Poniżej: mecz ćwierćfinałowy lokalnego turnieju, na boisku w Ajn Isie.



Większość zawodniczek pochodzi z okolicznych wsi. Choć Kurdowie opowiadają się za równouprawnieniem, a w Rożawie obowiązuje demokratyczny konfederalizm (tj. *quasi*-socjalistyczny system polityczny), w praktyce wiele rodzin podchodzi do życia konserwatywnie. Wprawdzie kobiety służą w kurdyjskich milicjach (w Kobietych Jednostkach Obrony, YPJ), ale w życiu codziennym widzi się je raczej w tradycyjnej roli żony i matki. Podobnie rzecz wygląda w przypadku piłki.

– Początkowo społeczność próbowała ograniczyć nasze dziewczyny i naciskała, żeby zostały w domach, ale dzięki mojemu wsparciu udało się to przełamać – tłumaczy Delwin Ahmed, trenerka drużyny. Duży wpływ na wyniki i frekwencję zawodniczek ma codzienny kontakt. – Jeśli któraś ogląda mecz, często do





mnie dzwoni i pyta: „widziałas tę akcję?”. Później na treningach starają się naśladować swoich ulubionych zawodników.

Dziewczyny kończą mecz i skupiają się na ćwiczeniach. Dziś doskonałą zagrania głową. Każda stara się przeprowadzić celne podanie, najpierw między sobą, później walcząc o piłkę w powietrzu. Co kilka minut przerywają trening, by z podpiętego pod kran węża napić się wody. W końcu robi się zbyt gorąco i zajęcia dobiegają końca.

Zawodniczkom nie brak zapалу, ale nie mają złudzeń. W Rożawie brakuje infrastruktury, nie ma profesjonalnych trenerów. Piłka może być pasją i sposobem na wolny czas, ale nie otworzy drogi do wielkiego świata. – Po jakimś czasie przerwę grę i skupię się na nauce – rzuca jedna z nastolatek na pożegnanie.

STADION MIEJSKI W RAKCE przytłacza ciszą. Wchodząc na murawę można odnieść wrażenie, że ze zdewastowanych trybun patrzą tysiące widzów. Czuć, jak gęstnieje powietrze, jakby mury obiektu zaczynały napierać ku jego wnętrzu.

Jeszcze niedawno Rakka była stolicą tzw. Państwa Islamskiego, a tu, na miejskim stadionie, było więzienie – podobno jedno z najstraszniejszych, jakie prowadzili bojownicy IS. Do klatek pod trybunami trafiły setki, może tysiące ludzi. Czekali na bliskich z łapówką, która mogła przywrócić wolność. Niektórzy spoczęli w masowych mogiłach.

Według przedstawicieli rady miasta w Rakce na stadion wróciła lokalna dru-

żyna. Na miejscu nie ma jednak po niej śladu. Nic nie wskazuje też, by w leżącej kilkadziesiąt kilometrów dalej Ajn Isie miał odbyć się ćwierćfinał turnieju piłkarskiego. Na pokryte piachem boisko leje się żar. O szesnastej temperatura przekracza 45 stopni. Gorąco. Pusto.

Niespodziewanie, niemal nikąd, zjawiają się kibice.

Zaraz po nich zdezelowanym vanem przyjeżdża pierwsza drużyna. Piłkarze przebierają się w zielone stroje, jeden owija stopy wysłużoną onucą. Dołącza trener, który zarządza modlitwę. Mężczyźni modlą się o zwycięstwo. Od pokłonów ich twarze i czoła brudzą się ziemią, przez co przywodzą na myśl antycznych wojowników.

Tymczasem na boisko wbiegają ich przeciwnicy: skład Bayern Monachium. Okazuje się, że to lokalna drużyna, która w ten sposób postanowiła uczcić swój ulubiony klub. Na jej czele stoi Hadzi Farhan, 31-letni stolarz.

– Oczywiście, że znam Lewandowskiego, jestem jego wiernym fanem! Piłka to nasza obsesja – wykrzykuje Hadzi. W futbol gra od dziesiątego roku życia, a od 15 lat sprawdza swoje siły w lokalnej lidze. Rozgrywki przerwano, gdy kontrolę nad regionem przejęło IS. – Nie graliśmy wtedy, w zasadzie to przestaliśmy robić cokolwiek – mówi Hadzi.

Kilka miesięcy temu ekstremiści zostali wyparci z Ajn Isy, a liga została wznowiona.

Teraz zaczyna się mecz. Hadzi rozpędza się z całych sił i strzela na wiat.

ZNÓW KOBANE. Rozemocjonowany tłum skanduje na cześć Argentyny, która wywalczyła awans z grupy. Część kibiców wcześniej opuściła plac: to rozczarowani sukcesem rywala fani Brazylii. Wkrótce okaże się, że wszyscy obejdą się smakiem. Ale dziś nikt o tym nie wie, teraz czas na fetę (albo pielęgnowanie smutku).

Grupa motocyklistów blokuje pobliskie rondo i w przypływie radości „pali gumę”. Z dymu przebijają się wielokolorowe diody, którymi ozdobiono koła i ramy pojazdów. Na wybryki przymyka oko kontrolujący ruch policjant i bojownik w mundurze Powszechnych Jednostek Obrony YPG (kurdyjskiej milicji). Ich uśmiechy potwierdzają, że dla nich to też udany wieczór.

Na telebimie realizatorzy powtarzają najlepsze akcje z zakończonego meczu. Nie słyhać jednak ich komentarza. Organizatorzy zastąpili go własną muzyką, chwając Kurdystan i oddających za niego życie bojowników. Muzyka zadziwiająco pasuje do ujęć walczących piłkarzy. Obraz z dźwiękiem łączy się w surrealistyczną całość, sport przenika się z wojną.

Nazajutrz wszyscy wrócą do codziennych zajęć. Robotnicy będą odbudowywać zniszczone domy, żołnierze sięgną po broń i zajmą przydzielone pozycje. Kilka kobiet wróci do malowania okalających plac krawężników.

Jednak wieczorem Kurdowie z Rożawy znów zbiorą się przed wysłużonym rzutnikiem. Ci, którzy przeżyli wydarzenia sprzed czterech lat, wiedzą, że to nie tylko rozrywka, ale też olbrzymi przywilej. ©

SIŁACZKA

Nie konspirowała, nie walczyła z bronią w rękę.
W codzienności niemieckiej okupacji i pojałtańskiej Polski
starła się zmieniać na lepsze swoje otoczenie:
Izabella Broel-Plater.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

GDY ZACZĘŁA SIĘ II WOJNA ŚWIATOWA, miała 37 lat i za sobą szczęśliwy, jak się zdaje, czas.

Na świat przychodzi w Wilnie, ale rodzice – hrabiostwo Edward i Joanna z domu Tyszkiewicz – przenoszą się rychło do pałacu w Osuchowie na Mazowszu. Izabella ma pięcioro młodszego rodzeństwa. Dzieci otrzymują solidne wykształcenie, a matka osobiście uczy je religii i przygotowuje do pierwszej spowiedzi i komunii. Izabella wspominała: „Życie nasze płynęło w atmosferze pokoju i rodzinnego szczęścia”.

Duszą domu jest mama, która pomaga też biednym i chorym, a w Osuchowie zakłada mały szpital. Ojciec – z wykształcenia prawnik, z zamiłowania rolnik – też jest społecznikiem; udziela się jako prezes Towarzystwa Rolniczego w powiecie grodziskim i w gminnym kółku rolniczym. Broel-Platerowie utrzymują ochronkę i trzyklasową szkołę podstawową.

Spokój burzy I wojna światowa. Dzieci zostają na kilka miesięcy wysłane pod Wilno, by potem wrócić do Warszawy. Mieszkają w pałacu Krasińskich przy Krakowskim Przedmieściu (obecnie to siedziba ASP). Po wkroczeniu Niemców (sierpień 1915 r.) wracają do Osuchowa, gdzie kwaterowała carska armia; zastają obraz zniszczeń. Potem, mimo zakazu Niemców i wojennej biedy, Broel-Platerowie wydają służbie folwarcznej nie zmniejszoną ilość zboża i kartofli.

Polska jest niepodległa. W latach 20. ojciec kupuje dom przy ul. Bednarskiej w Warszawie, gdzie dzieci mieszkają pod opieką zaprzyjaźnionej nauczycielki śpiewu. Izabella, jako wolna słuchaczka, chodzi na wykłady historyka literatury prof. Józefa Ujejskiego, kończy kurs ogrodnictwa i pszczelarstwa. Razem z rodzeństwem zakłada szkolny klub sportowy, a później Związek Młodzieży Żeńskiej z centralą w Poznaniu i oddziałem w Warszawie.

Śmierć matki w 1928 r. jest ciosem dla rodziny. O wydarzeniu tym pierwszy informuje Izabellę jej szwagier Artur Radziwiłł (mąż siostry Krystyny). Przepowiada: „Zaczyna się dla ciebie ciężkie, ale piękne życie”.

Jako najstarsza, Izabella przejmuje obowiązki matki. Prowadzi też ogród, sad i pasiekę. Podobnie jak kiedyś mama, jeździ do chorych. W niedziele animuje spotkania Apostolstwa Modlitwy. Co sobotę ubiera ołtarz w kościele w Osuchowie kwiatami z ogrodu.

Dla uwięzionych

Nadchodzi lato 1939 roku. Brat Edward (imiennik ojca) zostaje zmobilizowany. Izabella przypina mu do munduru medalik z Matką Boską. Gdy 1 września 1939 r. Edward, podporucznik 7. Pułku Ułanów z Mazowieckiej Brygady Kawalerii, przyjeżdża do Osuchowa po konie dla wojska, Izabella widzi go po raz ostatni. Brat zgi-

nie 12 września. Dzień później polegnie szwagier Artur Radziwiłł (dowódca kompanii).

Izabella przeżywa ich śmierć, zapada na zdrowiu. Doświadcza też innych okropieństw wojny. W pierwszych dniach września ratuje padających z wyczerpania polskich żołnierzy. Zapamięta oficera, który żąda od jej ojca cywilnego ubrania, „by się w nie przebrać i wiać”. Po walkach w parku w Osuchowie pomaga rannym.

Po klęsce część pałacu w Osuchowie zajmuje niemiecka żandarmeria. Później zostaje tu żołnierz, który ma strzec lasów i zwierzyny. Mieszkańcom pałacu grożą pospolici bandyci – podczas okupacji Izabella przeżyje w nim 16 ich napadów.

Chce pomagać cierpiącym. Jedzie do Tekli Chłapowskiej, która organizuje w Warszawie wsparcie dla księży więzionych w obozach koncentracyjnych. Dotyczy to zwłaszcza Dachau, dokąd podczas wojny trafi 1780 polskich księży katolickich (868 z nich zginie).

Izabella prosi, by przydzielono jej organizację wsparcia dla jezuitów. Sporządza listę 60 nazwisk ojców, kleryków i braci, wraz z ich numerami obozowymi. Nie może pomóc wszystkim sama, wybiera więc dwóch: ojców Kazimierza Chudego i Stanisława Janickiego. Pozostałych oddaje pod opiekę krewnym i znajomym, zobowiązując każdego do wysyłania co miesiąc do Dachau paczki żywnościowej.



Izabella Broel-Plater, zdjęcie prawdopodobnie z roku 1939 lub 1940.

Szczególnie cenne są przemycane w nich leki – dar warszawskich aptek. Gdy zbliża się front wschodni, Izabella przesyła listę jezuitów i innych więźniów Dachau do Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, skąd jeszcze przez pół roku kierowana jest dla nich pomoc.

Kocioł z zupą

Izabella zaopatruje też w ziemniaki na zimę domy zakonne jezuitów przy Rakowieckiej i Świętojańskiej w Warszawie. Dom Pisarzy przy Rakowieckiej otrzy-

muje też krowę; jej mleko żywi młodych jezuitów, którzy tu się kształcą.

Izabella dwukrotnie ratuje życie o. Stefanowi Śliwińskiemu. W pierwszym roku wojny jezuita przyjeżdża do Osuchowa jako duszpasterz i zapada na tyfus; przez dwa miesiące opiekuje się nim Izabella. Z kolei we wrześniu 1942 r. zakonnik zostaje aresztowany przez Niemców i trafia do obozu na Majdanku. Dzięki staraniom Izabelli odzyskuje wolność w marcu 1943 r. Podczas powstania będzie kapłanem AK, ps. „Andrzej Bobola”.

Podczas powstania warszawskiego Osuchów zajmują niemieccy piloci, którzy z lotniska polowego za pałacem startują do bombardowania stolicy. Jeden z nich chce pokazać ojcu Izabelli film z płonącego miasta. „Może mnie pan aresztować, może mnie pan zabić, ale nie wolno mnie obrażać!” – słyszy w odpowiedzi. Zdarzają się też inne chwile: oto niemiecki kapelan (jego personalia nie są znane) odprawia 15 sierpnia 1944 r. w pałacu w Osuchowie mszę w intencji bombardowanych warszawiaków. „W tych czasach grozy i nienawiści, co może zdziałać wiara i miłość i jak może zjednoczyć ludzi!” – notuje Izabella.

Po upadku powstania dowiaduje się, że w Walendowie przebywa grupa księży wygnanych z Warszawy. Postanawia przyjąć w Osuchowie czterech jezuitów: Stanisława Jędrusika i Jana Rosiaka (obaj uratowali się z masakry, dokonanej 2 sierpnia 1944 r. przez Waffen SS przy Rakowieckiej) oraz Antoniego Ostrowskiego i Juliana Piskorka. Później do Osuchowa dojeżdżają o. Aleksander Kisiel i br. Wacław Sosnowski. Przez pół roku Izabella żywi ich i zapewnia odzież na zimę (w tym celu kwestuje po okolicznych dworach). W Osuchowie przebywa też jej dalsza rodzina. Izabella objeżdża okoliczne dwory i gospodarzy, zbiera od nich m.in. ziemniaki, które przerabia na spirytus – wtedy alternatywną walutę.

Pomaga też Żydom, którzy uciekają z getta w Warszawie do getta w Białej Rawskiej (mają złudzenie, że tam będzie lepiej, lecz także oni zostaną zamordowani przez Niemców w Treblince). Przed kuchnią w Osuchowie wystawiany jest wielki kocioł z zupą, a Żydzi korzystają z możliwości posiłku (taki gest dobroci mógł kosztować życie).

Tylko bagaż osobisty

W styczniu 1945 r. Osuchów jest wolny od Niemców, ale wkraczają Sowietci, a wraz z nimi nowa okupacja. W Wielki Piątek 30 marca 1945 r. przychodzi do Osuchowa komisja rolna, która w imieniu „rządu lubelskiego” przejmuje cały majątek i wyrzuca Broel-Platerów na bruk. Mieszkańcy pałacu – Izabella, jej ojciec i zakonnicza ze zgromadzenia oblatek Serca Jezusa, wiekowa już s. Katarzyna Pawlak, która od 1935 r. jest opiekunką duchową Izabelli – otrzymują nakaz wyjazdu poza granice powiatu w ciągu kilku dni. Mogą zabrać tylko rzeczy osobiste.



→ Izabella nie może znaleźć nowego miejsca. Dopiero w Derdach, w domu zakonnych magdalenek, słyszy od przełożonej: „Z otwartymi rękami – przyjmujemy was”. Wypędzeni z Osuchowa zajmują dwa pokoiki. Sytuację najbardziej przeżywa ojciec, który jest przywiązany do ziemi. Izabella nie załamuje się; gra na organach podczas mszy i uczy śpiewu dziewczynki z zakładu magdalenek.

Potem Izabella z ojcem i s. Katarzyną przenoszą się z Derd do Magdaleny; razem mieszkają na probostwie, a Izabella pracuje jako organistka. Na zakupy jeździ do stolicy. Goszczą ją tam jezuici, którzy żyją w zniszczonym Domu Pisarzy. „Czułam się jak w rodzinie” – wspominała.

W zimie zbiera, jak każdy wiejski organista w tym czasie, tzw. snopkowe na mąkę na chleb. Wygląda to tak, że idzie przez wieś obok furmanki, a chłopci wrzucają do niej snopki zboża. Izabella tworzy też kościelny chór z żołnierzy, którzy stacjonują przy radiostacji w Raszyńcu. Prowadzi kiosk z książkami i dewocjonaliami, które sprowadza od jezuitów. W Magdalence przeżywa dwa bandyckie napady.

Kozy na biurku

Chce znaleźć lepszą pracę. Z polecenia jednego z jezuitów latem 1946 r. zostaje przyjęta do Narodowego Banku Polskiego. Zapewniwszy ojcu opiekę w Magdalence, jedzie do Warszawy. Przy Kazimierzowskiej jest barak, w którym lokowano strażników bankowych i sprzątaczkę. Izabella cieszy się, gdy dowiaduje się, że jeden „pokój” jest wolny. Sprowadza się do niego razem z s. Katarzyną: „Czułam się szczęśliwa, gdy wracając wieczorem z pracy widziałam światło w oknie baraku i wiedziałam, że to już mój dom, i że mam staruszkę u siebie, tak zawsze dzielną, pogodną i gospodarną”.

Pokryty papą barak latem niemiłosiernie się nagrzewa, a zimą zamarza w nim nie tylko woda, lecz także atrament w kałamarzu. Izabella rozmyśla, jak sprowadzić do Warszawy krowę, owce i kozę, które zostały w Walendowie. Buduje małą oborę. Przychodzą w niej na świat kozy i jagnięta, które lubią wskakiwać na biurko w baraku. Ma też kurę i kotkę, która chroni ją przed szczurami.

Pracuje w wydziale personalnym NBP. Proponuje koleżankom i kolegom z pracy kupno dewocjonalii i książek jako pamiątek po stratach wojennych. Spotyka

Izabella organizuje pomoc dla więzionych jezuitów.

Sporządza listę 60 nazwisk z numerami obozowymi.

Sama pomaga dwóm, a pozostałych oddaje pod opiekę krewnym i znajomym, zobowiązując każdego do wysyłania co miesiąc do Dachau paczki z żywnością.

się z zainteresowaniem – nie tylko pracowników, ale też dyrektorów. Dewocjonalia i książki pochodzą od jezuitów z Rakowieckiej, którzy prowadzą przy domu zakonnym małe stoisko: „Były to czasy stalinowskie, nie ułatwiające tego rodzaju akcji. Ale łaska Boża działała”.

Izabella otrzymuje od wizytów kilkanaście plakatów z ogłoszeniami o rekolekcjach, które mają się odbyć dla pracowników banku w kościele św. Anny. Należy tylko zawiadomić o tym dyrektora Witolda Trąmpczyńskiego. Ten się zgadza, ale zastrzega, że potrzeba też zgody władz administracyjnych. Wydaje się to niemożliwe, bo to partyjny beton. Mimo to Izabella idzie i pyta – i otrzymuje odpowiedź, że wymaga to zgody dyrektora banku. Ale tę już przecież mają. „Czyż to wszystko nie było kierowane Opatrznością Bożą?” – zapisze.

Rekolekcje wielkopostne odbywają się w ostatnie trzy dni przed Niedzielą Palmową. Będą kontynuowane co roku. Mszę odprawia i kazanie głosi prymas Stefan Wyszyński. Po pewnym czasie na jego polecenie rekolekcje rozszerzają się na wszystkich pracowników umysłowych w Warszawie. Prymas zwraca uwagę na Izabellę, zaprasza ją do udziału w Prymasowskiej Radzie Odbudowy Kościołów Warszawy. Do 1975 r. Izabella będzie w niej sekretarką.

Obcoklasowe pochodzenie

W latach 50. ks. Stanisław Mystkowski, proboszcz parafii św. Jakuba, w której mieszka Izabella (z baraku przeniosła się do suterenu przy Raszyńskiej), prosi ją o zorganizowanie kursu dla narzeczonych.

To prawdopodobnie pierwszy taki kurs w stolicy i jeden z pierwszych w Polsce.

Izabella się zgadza. Uduje się zebrać prelegentów. Są wśród nich Maria Okońska, współpracowniczka prymasa Wyszyńskiego, i inżynier Edward Potworowski (w 1953 r. wstąpił do dominikanów, w latach 1982-85 będzie prowincjałem). Z kolei Andrzej Święcicki – były żołnierz AK i więzień w okresie stalinizmu, przyszły prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie – ma referaty o małżeństwie i wychowaniu dzieci. Robią podobno duże wrażenie, gdyż „jako młody, przystojny człowiek tematy te brał z własnego życia”. Sama Izabella opowiada o organizacji życia rodzinnego i gospodarowaniu domem.

Kursy są organizowane w parafiach św. Krzyża, św. Franciszka z Asyżu, św. Jakuba, w Wawrzyszewie (dzielnica Bielany) i we Włochach. Referaty, drukowane potem na powielaczach w kilkunastu egzemplarzach, są rozchwytywane przez księży i wygłaszane w innych parafiach. Współpracownik Izabelli, o. Julian Piskorek, notuje: „Dało to mocny impuls do obrony zagrożonej rodziny i katolickiego małżeństwa – akcji zorganizowanej potem w całej Polsce, ku radości Prymasa Tysiąclecia”.

Izabella zmienia pracę. Podejmuje się tłumaczeń w centrali handlu zagranicznego, później pracuje w Banku Handlowym, skąd zostaje zwolniona za „obcoklasowe pochodzenie”. Przenosi się do Centrali Zbytu Węgla, ale i tu dostaje wymówienie. W 1952 r. otrzymuje od jezuitów z Rakowieckiej propozycję objęcia wakuującej posady organisty, a po utworzeniu parafii św. Andrzeja Boboli w 1954 r. zostaje jej sekretarką (będzie tu pracować do 1982 r.).

Po osiemdziesiątce uznaje, że może już „trochę odpocząć”. Ale nie lubi bezczynności, zostaje więc bibliotekarką w domu zakonnym przy Rakowieckiej.

W liście do generała zakonu prowincjał Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej o. Stefan Dzierżek prosi o włączenie Izabelli Broel-Plater do zasług Towarzystwa Jezusowego.

Umiera 11 lipca 1989 r. Zostaje pochowana na cmentarzu parafialnym w Osuchowie, w rodzinnym grobie, razem z ojcem i matką. © BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Artykuł powstał na podstawie maszynopisu wspomnień Izabelli Broel-Plater, które są przechowywane w Archiwum Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego w Warszawie.

WOJCIECH

Bonowicz:

Otwarte okno



DZIEŃ JEST SŁONECZNY, A WIATR ZIMNY. NA ławce obok piaskownicy, tyłem do wiatru, siedzi starsza pani w futerku i je loda. W czekającym pod klatką ambulansie głośno gra muzyka. Kilkadziesiąt metrów dalej wyje auto, zresztą coraz bardziej niemrawo. Pan odbiera od żony zakupy i niesie, lekko przy tym utykając. Dziewczynka w różowym dresiku zatrzymała rowerek i się zagapiła. Kobieta stojąca pod drzewem rozmawia przez telefon. Młody brodaczyk przytula do piersi psa, nerwowo wypatrując napisu: „Lecznica”. Mężczyzna w średnim wieku odgadł chyba, w czym kłopot, bo wskazuje właściwy kierunek. Nie słyhać krzyków, klótni, płaczu. Na niewielkiej przestrzeni między blokami kilkanaście osób sprawnie, jak powiada poetka, wykonuje życie.

Jak wygląda nasze „pomiędzy”? Co właściwie się tam dzieje? Czy warto owo „pomiędzy” kultywować? A może lepiej się wycofać, ukryć, przeczekać?

Pytam samego siebie, bo oczywiście odpowiedź na podobne pytania, paradoksalnie, zawsze będzie osobista, a nie zbiorowa. Pytam, bo przy otwartym oknie przeglądam stare czasopisma i natrafiłem na przemówienie Hannah Arendt, gdzie właśnie owo „pomiędzy” staje jako jeden z problemów. „Świat i ludzie, którzy go zamieszkują, to nie to samo. Świat leży pomiędzy ludźmi i to »pomiędzy« właśnie – znacznie bardziej niż (jak to się często uważa) ludzie czy pojedynczy człowiek – stanowi przedmiot najwyższej troski”. Coraz większa liczba mieszkańców Zachodu, zauważa filozofka (pół wieku temu!), korzysta z wolności od polityki i wycofuje się ze sfery publicznej oraz z jakichkolwiek wobec niej zobowiązań. „To usunięcie się ze świata nie musi odbywać się ze szkodą dla jednostki. (...) A jednak przy każdym takim usunięciu się świat ponosi prawie

namacalną stratę; ginie to specyficzne i najczęściej niezastąpione »pomiędzy«, które winno było powstać między jednostką a jej współtowarzyszami” (cytuje przekład Agnieszki Jacki i Barbary Młynarz).

Dla Arendt otwartość na innych jest „warunkiem wstępnym »człowieczeństwa« w każdym sensie tego słowa”. W cytowanym tekście pojawia się nawet obraz kryjówki, który kilka lat później stanie się tak ważną metaforą w tekstach Józefa Tischnera na podobny temat. Usunąć się ze świata to wycofać się do kryjówki, mieć świat swój, może nawet zaludniony, ale ciasny i pozbawiony światła: świat, w którym jestem „niewidzialny” dla innych i inni są „niewidzialni” dla mnie. Grzejemy się we wspólnym „cieple”, może nawet łączą nas takie czy inne wspólne „odczucia”, a jednak nie przeżywamy wspólnie radości. A to właśnie radość jest najlepszym, „najwyższym” łącznikiem. „To radość, a nie smutek, zmusza do rozmowy, a prawdziwy dialog pomiędzy ludźmi różni się tym od zwykłej rozmowy czy nawet dyskusji, że jest całkowicie przeniknięty przyjemnością, której źródłem jest druga osoba i to, co mówi. Dialog ten jest, by tak rzec, nastawiony na radość”. Można powiedzieć: im więcej pomiędzy ludźmi radości, tym więcej dialogu; im więcej dialogu, tym większa radość. Ludzie „kręcą się” wówczas niby w kole napędzanym przez zaufanie, zachwyt, satysfakcję z dokonanego odkrycia czy osiągniętego porozumienia.

Nietrudno zgadnąć, co się dzieje, kiedy „pomiędzy” zabraknie owego wspólnego doświadczenia radości. Ludzie przestają wierzyć w moc zbiorowego działania i zaczynają szukać każdy na własną rękę. Można ich nawet skrzyknąć, można z nich stworzyć „jedno”, ale to „jedno” będzie co najwyżej scementowane strachem, wspólną niechęcią lub interesem. Następuje „zatrata świata”: czegoś takiego jak wspólny świat nie ma, a w każdym razie przestaje być widzialne. Każdy widzi tylko własnymi oczami i tylko fragment – czegoś, co może jest, a może nie jest całością.

Okno jest otwarte, wiatr podrzuca firankę, a pani w futerku już sobie poszła. Alarm zarządził ostatni raz i umilkł. Sąsiad pakuje do bagażnika puste bidony, żeby jechać po zdrową wodę. Kilka pięter niżej zaczyna pracować wiertło. Za chwilę ludzie wrócą z pracy. Coś zjedzą, wyprowadzą na spacer psy, zrobią pospiesznie zakupy na wieczór. Ktoś siądzie na balkonie z papierosem. Ktoś z drugiego balkonu popatrzy nań krzywo albo się uśmiechnie. ©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 390/17 postępowanie z wniosku wierzyciela Raiffeisen Bank Polska S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Wojcieszaku, zm. 16 kwietnia 2016 r., ostatnio zamieszkałym w Zakrzewie, gmina Jarocin. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się postępowanie, sygn. akt I Ns 123/15, w sprawie z wniosku Jakuba Ferencu o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Adamie Ferencu, s. Aleksandra i Krystyny, zm. 20 czerwca 2014 r. w Kamiennej Górze, mającym ostatnio miejsce zwykłego pobytu w Lubawce.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.



„Północne białe nosorożce” – rzeźba duetu Gillie and Marc. Nowy Jork, marzec 2018 r.

JOHANNES SCHMITT-TEGGE / DPA / AFP / EAST NEWS

Jak wskrzesić nosorożca

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Genetycy mają pomysł, jak przywrócić naturze gatunki wytępione przez człowieka. Tylko że pytanie brzmi też – czy powinni.

CZASAMI MIĘDZY KREWNYMI TRUDNO SIĘ doszukać rodzinnego podobieństwa. Zwinny, szybki koń arabski niezbyt przypomina żywy czołg, jakim jest afrykański nosorożec. Ale te nieparzystokopytne ssaki są ze sobą stosunkowo blisko spokrewnione. I pokrewieństwo to może się okazać zbawienne dla tych ostatnich.

Zwierzę z probówki

Nosorożce północne, niedawni władcy wschodnioafrykańskiej sawanny, dziś są

ekologicznym zombie. Gatunkiem funkcjonalnie wymarłym. Skazane na śmierć przez kłusowników i ich klientów ginęły tysiącami. Z całego gatunku przy życiu pozostały jedynie dwie samice – matka i córka. Żadna nie może już mieć dzieci. Starsza, Najin, ma zbyt schorowane nogi. Młodsza, Fatu, ma problemy z płodnością. Ostatni samiec, Sudan, ich ojciec i dziadek, został uśpiony w marcu. Tu powinna się zakończyć trwająca ok. miliona lat historia ich podgatunku.

Z pomocą przyszedł jednak konie wścigowe. A raczej ludzie, którzy zarabiają ogromne pieniądze na ich hodowli. To w koniach specjalizuje się włoskie biotechnologiczne laboratorium Avantea z Cremony. Tamtejszy embriolog Cesare Galli technikę *in vitro* stosowaną w hodowli najdroższych koni świata dostosował do fizjologii ich opancerzonych krewniaków. Dzięki komórkom jajowym pobranym od samic nosorożca północnego powinno dać się stworzyć zarodki, które pozwoliłyby odbudować gatunek.

4 lipca na łamach „Nature Communications” opublikowano wyniki badań, które dają na to nadzieję. Badacze stworzyli pierwsze w historii embryony nosorożca z probówki. Embryony hybrydowe, zawierające po połowie DNA nosorożców północnych i południowych. Z 13 jajeczek samic nosorożca południowego, do których wstrzyknięto materiał genetyczny zmarłego samca nosorożca północnego, cztery rozwinęły się w zdrowe, wczesne embryony, zdolne do rozwoju.

To pierwszy krok – bo celem jest stworzenie czystego genetycznie zarodka podgatunku skazanego na wymarcie. Na szczęście jest z czego. Nasienie Sudana oraz czterech innych samców, a także komórki skóry dwunastu innych nosorożców północnych zostały zabezpieczone i spoczywają w lodowym sejfie. To całkiem bogaty zbiór materiału genetycznego. Gdyby faktycznie udało się na jego podstawie odbudować populację zwierząt, byłaby bardziej genetycznie urozmaicona, niż licząca 20 tysięcy osobników populacja nosorożców południowych – bo tamten podgatunek został odtworzony z pozostającej przy życiu na początku XX wieku garstki ok. 50 blisko spokrewnionych ze sobą zwierząt.

Nauka naturze

Dla bezpieczeństwa naukowcy testują na razie procedurę właśnie na nosorożcach południowych: gdyby podczas przebiegającego pod narkozą procesu pobierania komórek któraś z dwóch ostatnich północnych samic padła, strata byłaby niepowetowana.

Zamrożone na razie hybrydowe embryony mają wkrótce zostać wszczepione samicy w jednym z europejskich ogrodów zoologicznych. To dostarczyłoby naukowcom cennej wiedzy na temat tego, jak rozwija się taka hybrydowa ciąża. A północno-południowe mieszańce sta-

nowiłyby też potencjalnie lepsze matki-surogatkę dla zarodków nosorożca północnego.

„Sądzę, że nauka może przywrócić naturze to wspaniałe stworzenie” – pisze współautor badania, prof. Thomas Hildebrandt z niemieckiego Instytutu Leibniza. „Będziemy potrzebować odrobiny szczęścia, ale to, co już dziś możemy zademonstrować, jest imponujące”.

Następnym krokiem będzie pobranie komórek jajowych Najin i Fatu i zapłodnienie ich przy pomocy zachowanego nasienia nosorożców północnych. Pierwszy młody nosorożec północny wyhodowany dzięki tej technice mógłby się urodzić już za trzy lata. Na razie zespół czeka na pozwolenie od kenijskich władz na przeprowadzenie delikatnej procedury pobrania komórek dwóch ostatnich samic. Włoscy, czescy i niemieccy naukowcy prowadzący badania liczą, że zabieg uda się przeprowadzić przed końcem roku.

Ta sama technika mogłaby potencjalnie posłużyć do ratowania innych krytycznie zagrożonych gatunków. Im wcześniej, tym lepiej: kluczem do sukcesu może być obszerna baza materiału genetycznego pobranego od jak największej liczby niespokrewnionych ze sobą zwierząt. DNA już kilkudziesięciu osobników dawałoby naukowcom duże pole do działania.

Jeden problem jednak pozostaje. Nie znikną przyczyny, dla których te gatunki znalazły się na krawędzi istnienia.

Park Holoceniński

Wskreszone nosorożce północne nadal byłyby w niebezpieczeństwie. Afrykę ogarnęła epidemia kłusownictwa: w 2013 r. zginęło trzynaście nosorożców, w 2017 r. – ponad tysiąc. Czy przywrócone naturze zwierzęta byłyby skazane na życie w zoo? Jeśli tak, to czy warto?

Co, oczywiście, przywodzi na myśl „Park Jurajski”, film, o którym obowiązkowo trzeba wspomnieć w każdym artykule o inżynierii genetycznej. Zacytujmy więc granego przez Jeffa Goldbluma doktora Iana Malcolma: „Wasi naukowcy byli tak skupieni na tym, czy mogą, że nie zastanowili się nad tym, czy powinni!”.

Okazuje się, że wielu prawdziwych, niefilmowych naukowców ma poważne wątpliwości, czy wskrzeszanie bądź podtrzymywanie przy życiu gatunków na krawędzi wymarcia jest słuszne. Chodzi o koszty – i to nawet nie koszty samych genetycznych eksperymentów.

NA RATUNEK CZEKAJĄ KOLEJNE GATUNKI. Na liście krytycznie zagrożonych zwierząt WWF znajduje się ich 19. Oto te najbliższe krawędzi istnienia:

LAMPART AMURSKI – podgatunek lamparta zamieszkujący pogranicze Rosji i Chin. W 2007 r. na wolności było ich mniej niż 26. Dzięki m.in. stworzeniu dla nich rezerwatu w 2018 r. doliczono się 84 dorosłych kotów i 19 kociąt.

MORŚWINEK BEZPŁETWY Z JANGCY – niewielki waleń zamieszkujący największą rzekę Chin. Populacja licząca mniej niż tysiąc sztuk jest zagrożona przez tamy i rozwój wielkich chińskich miast.

NOSOROŻEC JAWAJSKI – kiedyś powszechny od Indii po Indonezję, dziś ostatnie 60 zwierząt chroni się przed kłusownikami w dwóch parkach narodowych w Wietnamie i na Jawie.

NOSOROŻEC SUMATRAŃSKI – mały, rudy i włochaty, nie do pomylenia z żadnym innym nosorożcem. Ma bardzo małe rogi, co nie powstrzymało kłusowników. Populacja liczy poniżej stu zwierząt i stale się kurczy.

ORANGUTAN TAPANULI – odkryty jako osobny gatunek zaledwie w zeszłym roku, od razu trafił do czołówki najbardziej zagrożonych. 800 osobni-

ków zamieszkuje okolice jeziora Toba na Sumatrze.

TYGRYS CHIŃSKI – padł ofiarą Rewolucji Kulturalnej. Tępiono go jako szkodliwego dla socjalistycznego rolnictwa. W 1979 r. chiński rząd zabronił polowań, ale było za późno. Od lat 90. nie zaobserwowano go w naturze. W ogrodach zoologicznych żyje ich ok. 40.

VAQUITA – najrzadszy morski ssak świata. Ostatnich 12 osobników zamieszkuje część Zatok Kalifornijskiej. Te małe morświny zaplątują się w sieci kłusowników łowiących totoaby – również zagrożone miejscowe ryby.

W ubiegłym roku w „Nature Ecology and Evolution” opublikowano badanie efektywności takich wskrzeszeń. Aby obliczyć, ile kosztowałoby podtrzymanie przy życiu populacji przywróconych do życia zwierząt, naukowcy porównali je z wydatkami ponoszonymi dziś na utrzymanie przy życiu ich krewniaków. Założyli, że koszt utrzymania przy życiu mamuta byłby, na przykład, podobny do kosztów ratowania azjatyckiego słonia. W obliczeniach nie brali pod uwagę samych kosztów procesu przywracania do życia, ale wnioski i tak okazały się niewesołe.

Otóż gdyby pieniądze na wskrzeszanie i utrzymanie przy życiu pochodziły od rządów, to prawdopodobnie z tej samej puli, z której dziś finansuje się ratowanie zwierząt wymierających. W efekcie tego finansowego drenażu na każdy przywrócony do życia gatunek wymarłyby dwa inne.

Gdyby restauracja wymarłych zwierząt była finansowana prywatnie i nie wysysała pieniędzy na inne działania, zanotowalibyśmy niewielki wzrost bioróżnorodności. Ale gdyby te same prywatne środki przekazać na istniejące programy ratowania żyjących, zagrożonych gatunków, uratowano by od dwu- do ośmiokrotnie większą liczbę gatunków.

Jedynym przypadkiem, w którym przywracanie wymarłych zwierząt stanowi-

łoby zysk netto dla natury, jest sytuacja, w której jakiś miliarder postanowiłby stworzyć swój „Park Holoceniński” – i wydałby na to pieniądze, które inaczej trafiłyby na cele zupełnie niezwiązane z ratowaniem środowiska, np. na rakiety kosmiczne czy prywatne wyspy.

„Jeśli ten miliarder jest jedynie zainteresowany przywracaniem gatunku do życia, chwała mu, lub jej, za to – pisze w magazynie „Science” współautor badań Joseph Bennett, biolog z Carlton University w Ottawie. – Ale jeśli przedstawia to jako próbę ratowania bioróżnorodności planety, nie jest w tym szczerzy. Mamy mnóstwo gatunków na krawędzi wymarcia, które można by ratować dzięki tym samym środkom”.

Według Thomasa Hildebrandta we wskrzeszaniu nosorożców jednak chodzi o coś więcej niż o bioróżnorodność. Bardziej o biosprawiedliwość. „Nosorożec północny nie przegrał przez procesy ewolucji, lecz dlatego, że nie był kuloodporny – pisze w badaniu. – Został wyróżniony przez kryminalistów, którzy pragnęli tylko jego rogów, bo te są droższe niż złoto. Mamy dziś narzędzia, by to naprawić”. ©

WOJCIECH BRZEZIŃSKI jest dziennikarzem Polsat News, gdzie prowadzi autorski program popularnonaukowy „Horyzont zdarzeń”. Stale współpracuje z „TP”.

OTWIERACZE DOŚWIADCZEŃ

Wakacyjny sezon kulturalny zaczął się od festiwalu Open'er.

Jego publiczność nie jest niczym elektoratem, nie tworzy politycznej siły, jak kiedyś w Jarocinie.

I właśnie dlatego jest tak fascynująca.

DARIUSZ KOŚIŃSKI

JESZCZE KILKA LAT TEMU TOŻSAMOŚĆ Open'era wyznaczała muzyka, którą na radiowych setlistach i w zestawach na Spotify określa się mianem alternatywnej. Jej wykonawcy nie mieszczą się w jasno określonych konwencjach, a ich muzyka łączy bardzo różne style. Nawiązujący do tradycji amerykańskiego blues-rocka The Black Keys, i postfolkowa Florence and the Machine, i twórczo eklektyczny Blur, i weterani grunge z Pearl Jam, i wielu innych. Ale przecież to nie muzyka jest w tym wszystkim najważniejsza.

Dzieci kwiaty i dzieci latte

Utarło się przekonanie, że Open'er to festiwal odwołujący się do wielkowiejskich mód akceptowanych przez względnie kulturowo wykształconą i wyrafinowaną młodzież z klasy średniej. Jakaś rolę w wypracowaniu takiego profilu standardowej grupy widzów, do których miał być adresowany festiwal, odegrały też pieniądze. Open'er nie jest i nigdy nie był imprezą taną, nie tylko dlatego, że koszt karnetów i biletów jest stosunkowo wysoki (choć i tak słuchanie najpopularniejszych wykonawców na festiwalu jest tańsze niż uczestnictwo w ich indywidualnych koncertach), ale też dlatego, że zmonopolizowane ceny wszystkiego, co można (a czasem, jak w przypadku wody, po prostu

trzeba) kupić na terenie festiwalu, są standardowo o kilkadziesiąt (a niekiedy o sto i więcej) procent wyższe niż poza jego obrysem. Jeśli do tego dodać ceny dojazdu i noclegów, to jasne jest, że na Open'era nie każdego stać.

W ciągu kilku ostatnich lat ten hipsterko-alternatywny charakter zmienia się, ponieważ festiwal coraz bardziej otwiera się na młodszych uczestników, pragnących zabawy przy popularnych przebojach i spektakularnych widowisk. Organizatorzy odpowiadają na te potrzeby zamieniając dwa ostatnie, weekendowe dni Open'era w huczną imprezkę, która z alternatywą nie ma nic wspólnego. W tym roku podział ten zaznaczył się tak wyraźnie, że miłośnicy alternatywy przez pierwsze dwa dni mogli dostać bólu głowy i nóg od nadmiaru propozycji, zaś w ostatni dzień leżeli sobie spokojnie oglądając mecz Anglia-Szwecja, bo koncertów było mało, a wielotysięczny tłum czekając na wieczorne gwiazdy zabawiał się zupełnie niemuzycznie.

Ten trend, który po sukcesie tegorocznego koncertu Bruno Marsa zapewne się nasili, wzmocni tylko opozycję między „hipsterską” imprezą w Gdyni a bardziej „plebejskim” (i zdecydowanie bardziej rockowym) Przystankiem Woodstock (od tego roku – Poland Rock Festival).

Przystanek jest wydarzeniem darmowym i zdecydowanie bardziej nastawionym na wytworzenie wspólnoty etnicznej i ideowej (o dość ogólnikowym i rozmytym charakterze, wyznaczanym od lat zawołaniem Jerzego Owsiaka: „Miłość, przyjaźń, muzyka”). Już w swojej nazwie nawiązywał do kontrkulturowej legendy, według niektórych skutecznie ją ożywiając, według innych będąc co najwyżej jej nostalgicznym echem.

Miał być też kontynuacją tradycji legendarnego festiwalu w Jarocinie, ale bez punkowej agresji, która miała ponoć



PIOTR HUKALO / POLSKA PRESSE / EAST NEWS



Koncert zespołu Gorillaz na Open'er Festival w Gdyni, 6 lipca 2018 r.

zniszczyć tamten festiwal. Moja pamięć podpowiada jednak, że raczej nadała mu aktualny sens i społeczno-polityczną wagę. Jeśli rzeczywiście coś zniszczyła, to hipisowską utopię odgrywaną wbrew oczywistej już w latach 80. ubiegłego stulecia klęsce kontrkultury. Dziś, pół wieku po symbolicznym dla niej roku 1968, utopia ta odgrywana jest nadal. Choć nie wydaje się, by dla bawiącej się w Kostrzynie młodzieży była czymś rzeczywście ważnym, to nostalgia części organizatorów i starszych uczestników nadal ją ożywia.

Zaskakujące, jak wiele festiwali i wielkich wydarzeń muzycznych napędza kulturowa nostalgia. To ona przyciąga dobrze sytuowanych fanów dawnego rocka na festiwal jego „legend” w Dolinie Charlotte. To ona sprawia, że tysiące wracają do Jarocina, by posłuchać dawnych punkowców, dziś w wieku emerytalnym (głównym bohaterem tegorocznej edycji festiwalu jest John Lydon, kiedyś znany bardziej jako Jaśko Zgniłek, najbardziej wystrzałowy z Pistoletów Seksu). To ona przyciąga do Cieszanowa, gdzie polskie kapele grają materiały ze starych płyt, i na pun-

kowy Rock na Bagnie, nie wspominając już o takim kombatanckim zlocie, jak show zombie-rocka w wykonaniu The Rolling Stones na Stadionie Narodowym.

Nawet te festiwale, które jak Open'er i katowicki OFF deklarują zwrot ku nowym trendom i eksperymentom, nie są wolne od nostalgii. Tegoroczny koncert Depeche Mode, Davida Byrne'a, a nawet Nicka Cave'a w Gdyni to przejawy tego samego dominującego nurtu: muzycznych wspomnień ożywianych przez wczuwanie się głosem i ciałem w pamięć doświadczeń młodości. Nawet moje ➔

→ dwudziestokilkuletnie dzieci doświadczają tego zjawiska, gdy na koncercie Arctic Monkeys przypominają sobie, jak z wypiekami śpiewali do wtóru empetrójek numery z ich pierwszych płyt. Co więc mam powiedzieć ja, gdy David Byrne zaintonuje „Once in a Lifetime”, albo ktoś z pokolenia moich rodziców, gdy Keith Richards uderzy nieśmiertelny riff „Satisfaction”? Ani skandalicznie marna jakość nagłośnienia na Stadionie Narodowym, ani siwa czupryna nad pomarszczoną twarzą dawnego lidera Talking Heads nie mają wtedy żadnego znaczenia. Wyrwani z siebie, z czasu, który nas urabia aż do śmierci, odnajdujemy emocje i przeżycia, które po chwili zapewne wydadzą nam się naiwne, ale nawet wówczas nie tracą na sile.

Muzyka jako wehikuł

Te przeżycia nie są muzyczne w takim sensie, że to muzyka stanowi w nich najważniejszy element i cel. Muzyka to tylko wehikuł doświadczenia, rodzaj narzędzia, które pomaga nam odnaleźć, albo wywołać nieujmowalne w słowa przeżycia organiczne, całościowe. Świadomie używam określeń dobrze znanych czytelnikom pism Jerzego Grotowskiego, bo to, czego polski artysta poszukiwał poprzez teatr i sztuki performatywne, jest dostępne jako chwilowe i bardzo ulotne doświadczenie uczestnikom koncertów muzyki nazywanej z braku innego słowa „popularną”. Sam Grotowski to przyznawał, używając w latach 70. nagrań z festiwalu w Woodstock jako bodźca dla młodych aktorów, a później analizując sposób, w jaki z energią pracuje Mick Jagger – ówczesny Mick Jagger.

Każdy, kto przeżył koncert muzyki „popularnej”, wie, o czym mówię: celem koncertów nie jest słuchanie muzyki, ale jej doświadczanie. Dziennikarz muzyczny i antropolog Simon Frith w książce wydanej po polsku jako „Sceniczne rytuały” stawia i świetnie udowadnia tezę, że muzyki „popularnej” słucha się zawsze jako występu. Nawet kiedy słuchamy jej z płyt, słyszymy konkretne śpiewające ciało, a nawet konkretną (nawet jeśli wyobrażoną) biografię i osobowość. Głos wzmacniany przez cały aparat wykonawczy prowadzi do doświadczenia cielesnego, czego powszechnie znanym przejawem jest śpiewanie (często bezgłośnie), któremu towarzyszą pozy i gesty ciała, a także odpowiednia mimika.

Czego na darmo poszukujemy w teatrze i literaturze, na koncercie staje się organicznie realne.

Chodzi właśnie o to, co Grecy nazywali *katharsis*.

To, co w przysłowiowym „domowym zaciszu” realizowane jest często w ukryciu (ileż koncertów widziały łazienki!), na koncertach stanowi aktywność pożądaną i pochwalaną. Wprawdzie osoba śpiewająca wszystkie piosenki po kolei to na koncercie prawdziwe przekleństwo (tak właśnie pewna podpita festiwalowiczka entuzjastycznie fałszująca każdy refren zniszczyła mi Open’erowy koncert Red Hot Chili Peppers), ale przy odpowiednim natężeniu dźwięków, nawet niewspierane przez sąsiadów wyrzycenie ulubionej frazy może ująć niezauważone. A co dopiero, gdy kilkadziesiąt tysięcy ludzi śpiewa z Cave’em „Into My Arms” albo chórki do „Feel Good Inc.” Gorillaz – to są momenty, o których zwykło się mówić jako o magicznych. I to dla nich chodzimy na koncerty.

Przecież nie o słuchanie muzyki tu chodzi! Warunki, w jakich się to robi na takich tłumnych festiwalach plenerowych jak Open’er, są z punktu widzenia prawdziwego fana po prostu okropne. Rzecz nawet nie w nagłośnieniu (z tym na festiwalach wcale nie jest tak źle), ale o okoliczności ludzkie. Doświadczenie, które jest naszym najważniejszym (nawet jeśli nie-uświadamianym) celem, choć jest indywidualne, wymaga współpracy otoczenia. Publiczność może fantastycznie je wzmocnić, ale może też zniszczyć.

Na wielotysięcznych festiwalach gromadzących bardzo różnych ludzi zdarza się całkiem często, że na koncercie ulubionego wykonawcy tuż obok stoi ktoś, kto przyszedł tylko z ciekawości i właśnie opowiada tubalnym głosem durne suchary, albo – co już najgorsze – ironicznie komentuje to, w co chcesz się wżyć. Wyrzucić go nie można (ma prawo tu być), a sugestie, by się wreszcie zamknął, w większości przypadków nie działają. Jedyne, co da się zrobić, to przesunąć się bliżej sceny, gdzie najprawdopodobniej będzie więcej ludzi napędzanych takim samym pragnieniem: by doświadczyć tego, co wy-

twarzane jest przez muzykę, a co nie jest kompozycją dźwięków. Jest za to doświadczeniem przebiegającym jednocześnie na poziomie energetycznym, afektywnym i symboliczno-kulturowym.

Jeśli uda się takie otoczenie znaleźć, przeżycie koncertu zostanie zwielokrotnione przez przeżycia innych i zdobędzie siłę, jakiej nigdy nie będzie miało w samotności. Na dodatek będzie zaczęzione o źródłowy głos i ciało wykonawcy. Wreszcie nie wyobrażasz sobie jej czy jego, ale śpiewacie razem, zmierzając wspólnie ku temu samemu doświadczeniu, które jest *katharsis* – wyzwoleniem i oczyszczeniem. Czyli to, czego na darmo poszukujemy w teatrze i literaturze, na koncercie staje się organicznie realne. Choć większość przeżywających je może nie znać tej greckiej nazwy lub nie kojarzyć jej z realnością swojego życia, to lepiej od wielu klasycznych filologów wie, czym owo *katharsis* jest.

Wyindywidualizowani w tłumie

Już w roku 2012 do nazwy Open’er dodano określenie „Music & Arts”, a w programie poza koncertami znalazły się wystawy, przedstawienia teatralne, projekcje filmowe czy pokazy mody. Dzięki temu w tym roku moje pełne wątpliwności teatralne serce zostało ukojone widokiem kolejki stojącej przed godziną 11.00 (co w festiwalowym rytmie dnia oznacza błąd świt), by dostać się na „Wesele” w reżyserii Jana Klata, a potem tłoczącej się na niełatwe przeciecz „2018. Karasińska”.

Teatr na Open’erze to doświadczenie rzeczywiście niezwykle, bo w samym centrum stawia niepowtarzalne wydarzenie, a nie to, że ogląda się „sztukę”. Przedstawienia grane w festiwalowym namiocie, stojącym niedaleko głównej sceny, na żadnym poziomie nie są tak wyizolowane z otaczających okoliczności jak w „normalnym” budynku.

Nie tylko dlatego, że wiatr szarpie ścianami, a próba na głównej scenie wdziera się w cichsze fragmenty spektaklu. Także dlatego, że ludzie, którzy przyszedli do teatru, wcale nie muszą tu być. Mogą w każdej chwili wyjść, by zająć się czymś innym. I nawet jeśli od bodaj dwóch lat przedstawienia pokazywane są poza właściwym terenem festiwalu i w porach niekolidujących z żadnymi koncertami, to i tak przyciągnięcie i utrzymanie uwagi ludzi mających za i przed sobą tak wiele różnorodnych atrakcji wcale nie jest proste.



RENATA DĄBROWSKA / AGENCIA GAZETA

Uczestnicy Open'era, lipiec 2018 r.

Uderzająco i świadomie teatralne były też najlepsze występy tegorocznego festiwalu: dynamiczny i desperacki rockowy autoperformans Nicka Cave'a, minimalistyczna a precyzyjna choreografia muzyczno-wizualna Davida Byrne'a czy przewrotnie spektakularne, choć podsiąknięte melancholią widowisko Gorillaz. Młodzi

na pewno dodaliby show Bruno Marsa, o którym pisano, że był największą produkcją festiwalu. Bardziej niszowi wspomnieliby też występ świetnie się zapowiadającej polskiej grupy Coals, której wokalistka wystawiła fascynujący obraz introwertycznej neurozy, czy kontrastujące z energią rytmów wystudiowane i non-

szalanckie pozy wokalistów The Young Fathers.

Gdy wielotysięczny tłum (podobno największy, przed jakim w Gdyni występował polski wykonawca) śpiewał razem z Taconafide hymn swojego pokolenia „Tylko jeść, pić, spać jak Tamagotchi”, to powstawał obraz o wiele bardziej wyrazisty i w swej autodefinicji wiarygodny niż to, co mogą wychwycić najlepsze nawet badania socjologiczne.

Bo teatr na festiwalach, a na Open'rze w szczególności, to także to, co ujawnia się, gdy wędrując przez rozległy festiwalowy teren obserwujesz idących z naprzeciwka i obok ciebie ludzi, gdy słuchasz, o czym i jak mówią. Łatwo zauważyć, że zachowują się nieco „bardziej” niż w życiu codziennym, nawet na ulicy czy w miejscach publicznych. Tłum daje im poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie wiedzą, że są obserwowani i że powinni się z tłumem wyróżnić.

Na Open'rze nie ma żadnych obowiązujących ideologicznych wzorców, jakie pamiętam z Jarocina. Panuje tu pełna dowolność, która jednocześnie sprawia, że i strój, i zachowanie, a nawet rodzaj potrawy, którą wybiera się z i tak specyficznej oferty gastronomicznej, zamienia się w znak osobowości, jaką na ogromnej scenie festiwalu odgrywa niemal każda jego uczestniczka i każdy uczestnik. Ludzi tych nie wydaje się łączyć żaden dający się ująć i sformułować zestaw mocnych idei. Nawet „Miłość, przyjaźń, muzyka” wydają się zbyt górnolotne i zbyt określone, nie mówiąc już o wszelkich ideach politycznych. Na lotnisku w Gdyni-Kosakowo formuluje się wprawdzie emancypacyjne i liberalne komunikaty wolnościowe, wymachuje tęczaowymi flagami, a liczba manifestacji kobiecej subwersji z roku na rok rośnie. Ale mocne deklaracje polityczne są przyjmowane obojętnie (jak koncert Czerwonych Świń – niby-punkowego zespołu Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego), wzbudzając co najwyżej zainteresowanie węższych sensację mediów.

Idąc pod prąd tłumowi zdążającemu na koncert Bruno Marsa, przypomniałem sobie nagle proroczą książkę Giorgia Agambena. Wspólnota, która nadchodzi, zbliżała się oto do mnie w mnogości swoich pojedynczości. Ale wbrew czarnowidzom i mimo wszystko pocieszało mnie, że nadchodzi luźnym szykiem, wymykając się z zacieśnianych gdzie indziej szeregów.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



Ziemowit Szczerek, Kraków, listopad 2015 r.

Dzień spalenia Zbawiciela

MONIKA OCHĘDOWSKA

Komunizm był szary. Więc gdy się z niego wyzwoliliśmy, pozłociliśmy dachy i oblepiliśmy świat wizerunkami tanich kiełbas, bananów i cytryn. Tak, jesteśmy ledwo ucywilizowanymi plemionami, jak mówi podtytuł nowej książki Ziemowita Szczereka.

PIERWSZA MUNDIALOWA ROZGRYWKĄ BIAŁO-CZERWONYCH nie odbyła się wcale na moskiewskiej murawie Spartaka. Odbyła się w mediach społecznościowych. „*Soar, eagles, soar*” – dopingował producent oficjalnych strojów naszej reprezentacji. Pomni debiutanckiej okładki nadwiślańskiego „*Vogue’a*” internauci zamarli skonsternowani. Oszołomieniu sesją zdjęciową, prezentującą orła wplecionego w oddychającą materię drużynowych trykotów, towarzyszyła niepewność, czy traktować ją jak wznoszącą piłkarskie gacie do poziomu *haute couture* kampanię godną nowej

kolekcji Vetements czy niskobudżetową, złośliwą prowokację.

Poszło o scenografię. Mariaż narodowych dresów z postkomunistyczną przestrzenią handlowo-usługową i mieszkalną uderzył w nasz czuły punkt, podbijając kompleks wyszehradzkich krewnych Europy. Może i *sexy*, ale jednak – biednych. Vivienne Westwood miała kiedyś powiedzieć, że w tej części kontynentu moda nie ma racji bytu, tymczasem od kilku sezonów na światowych wybiegach króluje, wykorzystany także w sesji firmy Nike, postsowiecki szyk: kibicowskie szaliki,

basenowe klapki w landrynkowych kolorach, bluzy z logotypami firm kurierskich, złote łańcuchy i białe skarpety dziergane cyrylicą, naciągnięte na nogawki dresów. „*Squatting Slavs in tracksuits*” (w spolszczeniu: sławskłacz) weszli na salony i showroomy.

Jak przed laty, gdy w poszukiwaniach estetycznych za żelazną kurtynę zapuszczało się pokolenie punka, Zachód syci się nostalgią za przełomem lat 80. i 90., fetyszyzując i kapitalizując walkę o tożsamość młodych demokracji bloku wschodniego. Jednak sławskłacz, który dla projektantów francuskich czy hiszpańskich domów mody jest podniecającą fantazją o Rurytanii, Bordurii czy Krakozji, dzięki i prząsnej słowiańszczyźnie, w krajach byłego bloku wschodniego drażni jako nośnik stereotypów, sankcjonowany okładkami luksusowych pism.

„To może wolelibyście nudną patriotyczną kampanię z wąsatymi husarzami?” – dopytywał jeden z internautów w twitterowej dyskusji pod zdjęciami kibicowskiej sesji. Żart okazał się nader proroczy. Słynny spot oznaczony zdradzającym jednak pewien kompleks tagiem #RespectUs,

którego twarzą został Jacek Gmoch, rzutki trener wojów spod Cedyni i Kłuszyna, przygotował podatny grunt pod kolejną, godną szanującej się reprezentacji kolekcję, w której zamiast obcych naszej kulturze kłapek i łańcuchów pojawią się swoje szyszaki, karwasze i skrzydła.

Taki mamy kontekst i mimo że białoczerwoni z wyprawy po swoje dawno już wrócili, walka husarii ze sławskłaczami toczy się w najlepsze na kartach nowej powieści Ziemowita Szczerka „Siwy dym”, w której rozochoczone „gówniarzeta polskie” bez zastrzeżeń tykają już wyobrażenia Zachodu na swój temat.

I tak to leci: „Kucają, kucęta, w kucki, piją mocne piwa w wintydzowych puszkach, palą mocne papirrosy, którym odrywają ustniki, a jak się tu jaki zachodni sławskłacz napatoczy, a napataczają się, bestyje, to od nich podglądają, jak tu Słowianinem być jeszcze bardziej. (...) Bo od czasu, jak się Siwy Dym pojawił, to słowiańskość z jej całą duchowością wyobrażoną bardzo się na Zachodzie popularna stała. Mniej więcej tak samo jak indiańskość wśród pierwszych hipisów”.

Umarła powieść, niech żyje proza

Oto kolejna po „Międzymorzu” książka Szczerka, która sprawdza temperaturę zanurzonych w nacjonalistycznym smogu państw środkowej Europy. Pretendująca do powieści, choć raczej wyzwolona z rygorów gatunkowych awanturnicza proza sięga po elementy reportażu (głównie spod znaku gonzo) oraz eseju, bo taki slapstickowy remiks ma szansę uchwycić i na gorąco zreferować paranoiczno-surrealistyczną dynamikę naszych socjo-politycznych przemian.

Jeszcze kilka lat temu, gdy Polska ogłaszała się „zieloną wyspą” wśród pogrążającego się w recesji kontynentu, tematy, które spędzały sen z powiek rodzimym publicystom i sączącej koktajle z buraka hipsterii, dotyczyły głównie polityki przestrzennego zagospodarowania naszego kraju – począwszy od krwiożerczej deweloperki, na wszechobecnej pastelozie i szyldozie ulic skończywszy.

Jesteśmy narodem ekstremistów, diagnozował Andrzej Stasiuk w posłowie do „Wanny z kolumnadą” (2013) Filipa Springera. Wolność od estetycznej poprawności i napomnień znawców („dziwnych paniczek”), jak również ich później Szczerek) na przekór obowiązującym trendom – jednak mu wtedy impo-

nowała. Te seledynowo-malinowe fasady domków, przed którymi wędrują lwy, wielbłądy i krasnale, przydrożne mazo-wieckie zamki obłożone styropianem czy drewniane gospody wielkości krążowników, serwujące fantazję o chłopskim jadłe, od których zwykliśmy odwracać wzrok, okazały się materia atrakcyjną literacko. Nie tylko dla Stasiuka.

Rok po „Wannie z kolumnadą” ukazała się „Siódemka” Szczerka, której bohater – popijając za kierownicą starego opla (wybór powodowany faktem, że w logotypie tej marki umieszczono Blitzkrieg) wódkę z colą i spotykając na swej drodze pokręconych mieszkańców ze Świętokrzyskiego, tworzy z siedmiu cudów trasy Kraków-Warszawa osobliwą księgę zachwytów.

Bo Szczerek swoje oszołomienie ilością polskich serc i posesji nie tyle familiarnie, jak Stasiuk, deklaruje, co lepi z niego powikłany, nurzający się w ciężkich zwiadach, język i świat. W tym świecie warszawski Plac Zbawiciela, osławiony Zbawiks, „centrum lewackiej, hipsterskiej, dandysowskiej, dolczewitowskiej Warszawy” i politycznej poprawności, płonie chyżyoby podpałka do grilla.

Ma swoją drogą Szczerek upodobanie do wysadzania w powietrze hipsterskich miejscówek i tożsamości, zdejmowania z popijających sojowe latte brodaczy całej tej „wrażliwo-przemądralskiej estetyki” i wyciągania na wierzch skrywanego wstydliwie Radomia.

Cóż, „Szczerek pisze Szczerkim” – podsumował kiedyś na tych łamach Grzegorz Wysocki. Mieliliśmy wystarczająco dużo czasu, by przyzwyczaić się, że zamiast ładnie skrojonych, okrągłych fabuł i zdań dostajemy tyleż fikuśny, co karkołomny melanz niepopularnych nad Wisłą gatunków i konwencji, przepuszczony przez halucynogenną wyobraźnię i językową maszynkę, która zmieli wszystko, podkreśli do maksymalnego rejestru i obsypie tęczowym brokatem popkultury, stosownie do krajobrazów miejsc, które opisuje.

Europa plemion

Po wędrowce przez Ukrainę w nominowanym do Nagrody Nike „Tatuazu z tryzubem” (2015) oraz przeprawie przez „Międzymorze” (2017) Ziemowit Szczerek bunkruje się na moment w dorzeczu Wisły. „Siwy dym” to opowieść o targanej plemiennymi wojnami Europie 2050 r. Opowieść, dodajmy, mocno wysmażona. Pojawiające się już wcześniej w twórczości

Szczerka wprawki *à la* reporter wojenny z okresu narodzin New Journalism, w „Siwym dymie” udają po prostu dziennikarską robotę z linii frontu. Rozgorączkowana, pączkująca dygresjami, pełna kolokwializmów i makaronizmów proza, wypełniona hukami rozrywających ciała bomb i odgłosów pijackich burd, odmalowuje Europę środkową jako miejsce totalnego chaosu. Dodatkowo akcja zanurzona zostaje w klimacie bliskim „Łowcy andROIDów”: ludzie identyfikują tu wyświetlane w wizorach tagi, a wzrok drażnią namolne hologramy reklam.

Bohaterem jest Marcin Szreniawa, postać *nota bene* historyczna. Jerzy Marcin Lubomirski herbu Szreniawa bez Krzyża był jednym z największych polskich awanturników końca XVII wieku. W jego barwnym życiorysie znalazł się także epizod przewodzenia bandzie rozbójników grabiących krakowskie ziemie. W powieści Szreniawa jest dziennikarzem neuropejskich (tj. działających na terenie Nowej Europy) portali, niestroniącym – jak na bohatera w stylu gonzo przystało – od narkotyków i alkoholu oraz momentami naprawdę niewiarygodnych rozrób, z zabójstwami włącznie.

Szreniawa przemieszcza się z Bałkanów przez Węgry, Czechy i Słowację aż do samej Warszawy, próbując zdawać na bieżąco relację z rozwoju wypadków coraz mocniej destabilizujących Mitteleuropę. Tak jak większości krajów tej części kontynentu, Polski już nie ma – została podzielona na księstwa Pagłady i Brodacza. Z czym się kojarzy tym, którzy ją jeszcze pamiętają? „Ojciec gadał cały czas o husarzach, o hetmanach, którzy po tych polach, lasach i po tej pustce rzekomo galopowali na swoich rumakach rącznych i mówili pół po polsku, pół po łacinie. Czytał na głos Paskę (...), twierdząc, że nie było w historii bardziej wyrazistego Polaka niż tenże. I dowiadywałem się, jak to Pasek pokonał Turka, jak przeciwaniaczył rokosszan Lubomirskiego, jak króla Wiśniowieckiego królem samojeden wybrał, i myślałem sobie, że to był ostatni czas, kiedy Polska była może i głupia, ale przynajmniej była sobą. (...) Gdy w opowieściach ojca dochodziło do rozbiórów tego dziwnego Paskoidalnego tworu, to zawsze czułem coś w rodzaju ulgi”.

W odróżnieniu od poprzednich książek w „Siwym dymie” spotykamy nie tylko *porte-parole* Szczerka w roli łotryka i wojaka czy Szczerka-reportera, →

→ ale i Szczereka-socjologa. Tym razem podróżuje przez wyobrażoną, fantasmagoryczną raczej niż rzeczywistą Europę, albo – przez Europę, która porzuciła swój „zewnątrzny *layout*”, jak mówi sam autor, ujawniając etniczny partykularyzm grupowy. Bo przeżywa dzisiaj na nowo, we wszystkich dziedzinach, namiętność wspólnotową.

Państwa, które znamy, zmieniają się w leżące na sporym obszarze społeczności lokalne z ledwie zauważalnymi, nie-szczelnymi granicami, pisze w „Retropii” – ostatniej swojej książce – Zygmunt Bauman. Tymczasem historyczne regiony, co wiemy z codziennych newsów, coraz bezwzględniej walczą o objęcie dotychczasowej roli państw, nawołując do wznoszenia murów i poddawania obcych plemion ekstradycji.

Pozbawiona mocy, by kształtować przyszłość, polityka przenosi się w przestrzeń pamięci zbiorowej. Znacznie bardziej podatną na manipulację i zarządzanie, co z kolei równie świetnie obrazuje ukazująca się równolegle z „Siwym dymem” powieść Marcina Kołodziejczyka „Prymityw”, w której politycznie unieważniony wpływ czasu otworzył Wielkim Bohaterom Przeszłości drogę do ekshumacji i dyskontowania gwałtownego postępu gospodarczego. U Szczereka zbiorową wyobraźnię rządzą już nawet nie żołnierze wyklęci, a Światowidy.

W Europie, zwłaszcza środkowo-wschodniej, wciąż istnieje wiele ognisk potencjalnych konfliktów, których źródłem może być mentalność plemienna, przy czym do głosu dochodzą także duże grupy „wykluczonych”, którzy nie czerpią korzyści z przemian cywilizacyjnych i procesów integracji europejskiej, pisze profesor Jakub Potulski na łamach „Gdańskich Studiów Międzynarodowych”. „Wykluczeni”, próbując zagospodarować swoją wściekłość, szukają poczucia bezpieczeństwa w wąskich grupach społecznych, często izolując się z życia publicznego.

Zamiast „wspólnego europejskiego domu”, czytamy u Potulskiego, mamy do czynienia z coraz mocniej skłóconymi i wzajemnie się oskarżającymi wspólnotami, z których każda stara się realizować swoje własne interesy. To właśnie ci Europejczycy, którzy jeszcze 20 lat temu zachłystywali się odzyskaną wolnością i jej możliwościami, mieszkańcy Szczerkowej Poradziejki, są dziś najbardziej zaniepokojeni perspektywą otwartego świata.

Szczerek ma upodobanie do wysadzania w powietrze hipsterskich miejscówek i tożsamości.

Z popijających sojowe latte
brodaczy wyciąga
na wierzch Radom,
wstydliwie skrywany.

My, Irokezi Europy

Przestrzeń wschodnioeuropejska wciąż pozostaje przestrzenią pionierską w podobny sposób jak amerykańska, dopowiada Szczerek w jednej z prasowych relacji z rumuńsko-węgierskiej granicy. Żyjemy na terytorium, które należało wypełnić treściami ze starej Europy, bo własnych mieliśmy niewiele.

Komunizm był szary. Więc gdy tylko się z niego heroicznie wyzwoliliśmy, zaczęliśmy gromadzić wokół siebie tony kolorowego plastiku, pozłociliśmy dachy i oblepiliśmy okna oraz drogi wielkimi płachtami, które codziennie uspokajają nas, że te góry kielbas, bananów i cytryn cierpliwie czekają w najbliższym markecie. Tak, jesteśmy ucywilizowanymi plemionami, mówi podtytuł książki Szczereka, odsyłając czytelnika do historii amerykańskich Indian, którzy pragnąc utrzymać pokój z białasami z Południa, przejęli ich zwyczaje i porządki.

My, Irokezi subkontynentu, jesteśmy wobec prawdziwej Europy wtórni. Jako kraj w swojej historii zarazem kolonialny i kolonizujący odczuwamy jednocześnie wyższość, ale też pokrewieństwo z „niższością” byłych kolonii, co czyni nasze życie dość wstępnym, jeśli nie nieznośnym, o czym przeczytamy sporo w „Siódemce”. Ale to błędne koło dominacji zyskało teraz dodatkowy napęd, mówi w „Siwym dymie” Szczerek. Lokalny partykularyzm zaczyna przeważać nad poczuciem europejskiej, czy nawet narodowej, wspólnotowości (a może właśnie zawsze przeważał, o czym świadczyć mogłaby rozpoczęta zaraz po upadku Poradziejki wojna na Bałkanach).

Buzują w nas coraz częściej dopuszczane do głosu prymitywne instynkty, których opis zajmuje większą część powieści Szczereka. Ale też – polityczna po-

prawność (ta w hipsterskim stylu) zostaje doprowadzona do absurdu: w przyszłości, w której rozgrywa się akcja „Siwego dymu”, Unia Europejska upadła, bo „nikt nie miał odwagi być złym człowiekiem”. Fizyczne granice obecnych państw to już jedynie zewnętrzny *layout*. Życie pulsuje pod spodem, w obrębie wyobrażonych, nieistniejących na mapie krain.

Mgła znad Gopła

Gdyby prześledzić splątane ścieżki Szczerkowej wyobraźni, w której dyskurs o Polsce rozpięty jest pomiędzy tezą o immanentnej dzikości nieskutecznie cywilizowanych plemion a ich wyobrażeniem o własnej potędze, nie sposób nie zobaczyć w autorze „Siwego dymu” podobieństw do kosmity polskiego teatru, Krzysztofa Garbaczewskiego.

Ten ironiczny, niefrasobliwy, balansujący często na granicy komunikatywności czy znużenia teatru, począwszy od zrealizowanego w Teatrze Nowym w Warszawie „Życia seksualnego dzikich”, przez poznańską „Balladynę” po wystawiany w Starym „Poczet królów polskich”, konsekwentnie grzebie w naszych kompleksach i rozpracowuje narodowe mity.

Jest w powieści scena, w której Szreniawa wdziera się w kłębach trującego dymu na Czarny Zamek, by pod wpływem jędzowatych „przyspieszaczy” rozmówić się z królewskimi kryptami, a następnie skraść koronę i czaszkę Kazimierza Wielkiego, którą – wytrzęziawszy – ostatecznie bezceści, wykorzystując jako popielniczkę. Obaj autorzy w wędrówce przez takie właśnie „twory bzdury”, jak mówi Garbaczewski, płasają w krwawych promieniach zmierzchu romantycznego paradygmatu, sięgając w równym stopniu po futurystyczny sztafaż, praśny realizm i groteskę.

I jeszcze coś. Kostrzyn z „Balladyny” gra u Garbaczewskiego w trykotach polskiej reprezentacji. Z początku niewinnie wymienienia z Balladyną podania, po czym zarządza recytację martyrologicznego „Wyznania wiary dziecięcia polskiego” Władysława Bełzy w rytm żołnierskiego treningu. „Padnij, powstań! Padnij, powstań!” – krzyczy do dziewczyny, wściekle kopiąc piłką o stalową ścianę. „To jak – grozi – będziecie nas szanować?”.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Ziemowit Szczerek, **SIWY DYM**, Czarne, Wołowiec 2018



Józef Brandt, *Pochód z łupami – powrót z wyprawy wiedeńskiej*, ok. 1883–1884, własność prywatna

Stepowe życie Sarmatów

PIOTR KOSIEWSKI

Egzotyczny świat przeszłości I Rzeczypospolitej – szlachta i rycerstwo kresowe, Kozacy, Tatarzy, lisowczycy – poruszał emocje i wyobraźnię odbiorców. Był natchnieniem dla samego Henryka Sienkiewicza.

JÓZEF BRANDT ZAJMOWAŁ SZCZEGÓLNE miejsce w życiu artystycznym II połowy XIX wieku. Był podziwiany, ceniony, uznawany za jednego z najsłynniejszych twórców swoich czasów. Otwarta właśnie wystawa jego dzieł w warszawskim Muzeum Narodowym pozwala zrozumieć, dlaczego odniósł za życia tak wielkie sukcesy. I czemu, jak przypomina Ewa Mickle-Broniarek, jedna z kuratorek warszawskiej wystawy, „jego ogromna sława i płynące z niej zainteresowanie dorobkiem twórczym przeminęły wraz z odejściem samego malarza”. „Niegdyś powszechnie ceniony i podziwiany (...) stawał się »wielkim nieznanym«”.

Warto jednak przypomnieć, że 21 czerwca 2018 r. na aukcji w warszawskiej De-

sie Unicum wystawiono „Powrót z targu” (1880). Obraz od lat pozostający w prywatnych zbiorach został sprzedany za 1,3 mln zł. W 2008 r. za „Utarczkę” zapłacono 1,1 mln zł. Dwa lata później za „Pochód z łupami – powrót z Wiednia” 1,05 mln zł. Z kolei „Pieśń zwycięzców” w 2011 r. osiągnęła cenę 1,1 mln zł. Całkiem drogo jak na „zapomnianego”.

Polak w Monachium

Urodził się 1 lutego 1841 r. w Szczeczebrzeszynie. Jego ojciec wywodził się z rodziny znanych warszawskich lekarzy, matka zaś – architektów. Zadbano o jego wykształcenie, a poza uczęszczaniem do Instytutu Szlacheckiego w Warszawie pobierał prywatne lekcje m.in. rysunków u Juliusza

Kossaka. On też zapewne zainteresował młodego Brandta malarstwem. Po zakończeniu szkoły w 1858 r. wyjeżdża do Paryża. Przygotowuje się tam do egzaminu wstępnego do École Centrale des Arts et Manufactures. Jednak ostatecznie postanawia zostać malarzem. W 1860 r. zaczyna uczęszczać do pracowni Léona Cognieta, wybitnego akademika, ale też cenionego nauczyciela: wśród jego licznych uczniów byli m.in. Léon Bonnat, Jean-Paul Laurens czy niezwykle podziwiany przez Brandta batalista Jean-Louis-Ernest Meissonier (po latach specjalnie pojedzie do Paryża na jego wystawę monograficzną). Dziś te nazwiska niewiele już mówią, ale w XIX wieku należeli oni do najbardziej cenionych francuskich twórców.

Nad Sekwaną ogląda sztukę dawną i współczesną. Ogromne wrażenie wywarły na nim obrazy Eugène’a Delacroix, o którym pisał, że „ma przecudowny koloryt, każdy obraz jego jak słońce błyszczy pomiędzy innymi”, oraz Rosy Bonheur, która zasłynęła przedstawieniami zwierząt. Jednak na początku 1863 r. wyjeżdża do Monachium, gdzie bez egzaminu zostaje przyjęty do tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Uczy się rysunku. I ponownie decyduje się na zmianę: przenosi się do pracowni wybitnego malarza monachijskiego Franza Adama, pod





Kozak i dziewczyna przy studni, 1875 r.

→ którego okiem zaczyna samodzielnie tworzyć.

Zaczyna pracować nad swoim pierwszym monumentalnym płótnem „Chodkiewicz pod Chocimiem”. Myśli o jego pokazaniu na zaplanowanej w 1867 r. paryskiej Wystawie Światowej. Udaje się. Obraz 26-letniego Polaka przyciąga uwagę. Najważniejszy ówczesny niemiecki krytyk Friedrich Pecht w korespondencji z Paryża donosi: „choć Brandt nie do końca stworzył obraz doskonały, to jednak przyciąga swoimi umiejętnościami kolorystycznymi i bogatą fantazją”.

Za obraz „Strojnowski przedstawiający arcyksięciu Leopoldowi konie zdobyte przez lisowczyków na Palatynie Renu”, pokazany w 1869 r. na wystawie międzynarodowej w Glaspalast w Monachium, Brandt otrzymuje złoty medal I klasy. W kolejnym roku „Powrót spod Wiednia (Tabor)” zostaje kupiony z wystawy w Künstlerhausie w Wiedniu do zbiorów cesarza Franciszka Józefa. W 1873 r. „Bitwę pod Wiedniem” nabywają przedstawiciele szlachty z Galicji i ofiarowują arcyksiężniczce Gizeli Habsburg z okazji jej ślubu z Leopoldem księciem Bawarii. W kolejnym roku Brandt zostaje członkiem zarządu monachijskiego Kunstvereinu. Jest już znanym i cenionym twórcą. Obchody jego imienin w 1876 r. mają niezwykle uroczystą oprawę. Jak wspominał sam malarz: „Książę Luitpold [przyszły regent Bawarii] był u mnie zaraz w poniedziałek, ażeby o sobiście powinszować. Słowem, poczynawszy od całej rodziny

Adamów, a skończywszy na najmłodszej polskiej generacji, wszystko było u mnie, nawet mnie to żenowało”.

W 1877 r. zostaje członkiem zwyczajnym Królewskiej Akademii Sztuki w Berlinie. Tamtejsza Nationalgalerie nabywa „Odbicie jasyru” za 33 tys. marek. Jego obraz „Obrona” zostaje kupiony przez Neue Pinakothek w Monachium. Artysta otrzymuje Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Korony Bawarskiej i związane z nim szlachectwo. Wystawia swe prace w całej Europie. Staje się też nieformalnym przywódcą polskiego środowiska artystycznego w Monachium, które zaczyna przyciągać kolejne pokolenia twórców (to tu trafiają m.in. Adam Chmielewski czy Aleksander i Maksymilian Gierymscy). Brandt otacza opieką młodszych, w tym rozpoczynającego tu studia Józefa Chełmońskiego. Sam też zaczyna nauczać. Wśród jego wychowanków są m.in. Alfred Wierusz-Kowalski oraz syn Juliusza Kossaka – Wojciech.

W 1893 r. krakowscy artyści wystosowali list otwarty do Brandta, prosząc, by po zmarłym Janie Matejce objął funkcję dyrektora krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Odmawia. Jednak stale bywa w kraju. Szczególnie często w Orońsku nieopodal Radomia, w majątku Heleny z Woyciechowskich Pruszkowej, którą poślubił w 1877 r. Przyjeżdża tam również wiosną 1914 r. Tym razem z powodu wybuchu wojny nie może wrócić do Monachium. 12 czerwca 1915 r. umiera w Radomiu. Zostaje pochowany na tamtejszym

cmentarzu. W kondukcie pogrzebowym idzie 5 tysięcy osób.

Unowocześnić malarstwo

W II połowie XIX wieku Jan Matejko, Henryk Siemiradzki oraz Józef Brandt byli najśłynniejszymi polskimi malarzami. Łączy ich wspólnota pokoleniowa – Matejko urodził się w 1838 r., a Siemiradzki w 1843 r. Oni też w znacznej mierze sprawili, że sztuki plastyczne stały się w Polsce – kraju, w którym dominuje kultura słowa – czymś ważnym i nośnym społecznie. Łączy ich również coś innego: osiągnęli wielki sukces artystyczny, a także finansowy, wykraczający poza krajowe ramy. Brandt, Siemiradzki, Matejko, ale także Maksymilian Gierymski czy Józef Chełmoński jako pierwsi polscy artyści sprawnie wpisali się w międzynarodową sieć instytucji sztuki: wystaw, salonów, rozwijających się wówczas galerii prywatnych. Ich prace trafiały do ważnych muzeów. Ten sukces udało się powtórzyć dopiero w ostatnich dekadach Mirosławowi Bałce, Monice Sosnowskiej czy Wilhelmu Sasnałowi.

Dlaczego właśnie Brandt osiągnął taki sukces? Wystawa w Muzeum Narodowym pozwala lepiej to zrozumieć. Jej kuratorki Ewa Micke-Broniarek i Agnieszka Bagińska przygotowały imponującą ekspozycję: znalazło się na niej ponad 300 obrazów olejnych, rysunków, akwarel i fotografii. Można na niej zobaczyć najśłynniejsze prace: „Bitwa pod Wiedniem” (1873), „Modlitwa na stepie” (1874), „Odbicie jasyru” (1878) czy „Wyjazd Jana III i Marysieńki

z Wilanowa” (1897). To pierwsza tak szeroka prezentacja dorobku tego artysty.

Co ciekawe, Brandt nigdy nie odebrał pełnego artystycznego wykształcenia. Malarskie tajniki poznawał w kilku miejscach i za każdym razem dość krótko pobierał nauki. Jednak przyswoił zasady malarstwa akademickiego w sposób mistrzowski. Wystawa bardzo dobrze pokazuje proces tworzenia, ujawnia jego tajniki. Od wykonywania studiów aktów poszczególnych postaci, przez studia kostiumowe po studia kompozycji, w pierw rysunkowe, potem malarskie. Można też – w przypadku niektórych obrazów – zobaczyć zmiany, jakie Brandt wprowadzał do swych dzieł. Pokazuje wreszcie znaczenie fotografii w procesie twórczym. Malarz – co dobrze przedstawiono na warszawskiej wystawie – często z niej korzystał.

Dawną Polskę zobaczyć

Sprawność malarską połączył z tematyką, która swą innością zwróciła uwagę publiczności. Egzotyczny świat przeszłości I Rzeczypospolitej – szlachta i rycerstwo kresowe, Kozacy, Tatarzy, lisowczycy – poruszał emocje i wyobraźnię odbiorców. Potrafił bowiem, jak niewielu w jego czasach, oddać dynamikę wydarzeń, pęd koni, powiewające na wietrze tkaniny, bitewny tumult. W „Bitwie pod Wiedniem” husaria wdzierają się do obozu wielkiego wezyra. Wszędzie zamęt, kołują się ludzie i konie. Przedstawiał głośnie wydarzenia z historii, ale często uwagę widza kierował na marginesy, poboczne wydarzenia. Szczegóły, które sprawiały, że przedstawiana przez niego przeszłość stawała się bliska, wręcz namacalna.

Jego obrazy są osadzone w literaturze, utworach Wincentego Pola, gawędach szlacheckich Kajetana Suffczyńskiego, pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska czy ks. Wojciecha Dembołęckiego. Malownicza, swojska wizja sarmackiej Polski, silnie osadzonej w kresowym kontekście, ukształtowała – obok powieści Henryka Sienkiewicza – wyobraźnię historyczną mu współczesnych, ale zdaje się być bliska wielu dzisiejszym Polakom, wciąż śniącym o dawnej republice sarmackiej. Sam Sienkiewicz, któremu malarz ofiarował zresztą obraz „Konfederat barski”, pisał w liście do Brandta: „otwarcie wyznaję, że Waszemu mistrzostwu i Waszemu niezrównanemu poczuciu rycerskiego i stepowego życia dawnych Polaków zawdzięczam niejedno natchnienie, niejedną myśl i wprost niejedną scenę w mojej Trylogii. Pomiędzy tysiącami ludzi sławiących Wasze dzieła, ja należę do tych, którzy je najlepiej rozumieją i najgłębiej odczuwają”.

→



Puk, puk w okieneczko. Lisowczycy przed gospodą, 1864 r., własność prywatna



Wesele kozackie, około 1896 r.

MAT. PRAS. MNW

WITALIS SZOLTYS / MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE W BYTOMIU

Miniona sława

→ „Doktryna malarza – to jego pędzel, paleta, farby i płótno. Niech tylko idzie za postępowaniem czasu i stoi na poziomie artystycznych reform, a zrobi swoje” – podkreślał Brandt. I rzeczywiście, jak zauważył współczesny malarzowi pisarz, historyk i krytyk Wiktor Gomulicki, jego talent jest „żywy i pełen siły, posiada zaletę ciągłego odświeżania się”. W swej twórczości był niezwykle konsekwentny, przez całe życie utrzymując wysoką jakość tworzonych prac. Był jednocześnie wierny swym artystycznym wyborom – funkcjonowania pomiędzy tradycją i nowoczesnością. Nieprzypadkowo Wacław Husarski pisał o umiarkowanie postępowym typie malarstwa, „stojącym ugodowo na pograniczu romantyzmu i realizmu, historyczności i rodzajowości, anegdotyzmu i malarskości”. Długo zresztą to Brandt – a nie Matejko czy Siemiradzki – był ważnym punktem odniesienia dla młodych twórców.

Dlaczego zatem jego sława tak szybko przeminęła? Znaczenie miały przemiany w samej sztuce. Wiek XIX to spory między *finisseurs* a *esquissateurs* – zwolennikami precyzyjnego wykończenia obrazu a pozostawienia go w swobodnej formie. Ostatecznie ci drudzy – za sprawą impresjonistycznej rewolty – zwyciężyli. Zmieniła się technika malarska. Zmieniła się też tematyka. Ostatecznie to pokolenie Stanisława Wyspiańskiego i Jacka Malczewskiego, ale też Olgi Boznańskiej i Jana Stanisławskiego, ukształtowało wizualną wyobraźnię współczesnych Polaków.

Wystawa przypomina o niezwyklej zmyśle obserwacji artysty, wrażliwości na otaczającą go rzeczywistość. Ostatecznie to jego dzieła o szkicowym charakterze – rysunkowe studia drzew (1883), malarski szkic do „Obozowiska Kozaków” (ok. 1875) czy wręcz werystyczne, młodzieńcze „Wnętrze stajni w Komarach” (1868) – wydają się bliższe współczesnej wrażliwości. Jednak trzeba pamiętać, że to tylko margines jego twórczości. Za inne dzieła został doceniony. Z powodu innych obrazów część dawnej swej sławy utracił.

© PIOTR KOSIEWSKI

JÓZEF BRANDT 1841–1915, Muzeum

Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 30 września br.; Muzeum Narodowe w Poznaniu, 21 października 2018 – 6 stycznia 2019, kuratorki: Ewa Mücke-Broniarek, Agnieszka Bagińska.

Tango z matką

ANITA PIOTROWSKA

W „Obietnicy poranka” żadne z bohaterów nie może obejść się bez drugiego. Romain Gary jest pod ciągłą presją ze strony rodzicielki. Nina Kacew zaś poświęca dla syna wszystko.

JĘZYK POLSKI SŁYCHAĆ W TYM FILMIE wielokrotnie, również w jego bardziej siarczystej odmianie, lecz nie o sentymentalnych związkach Romaina Gary’ego z naszym krajem traktuje „Obietnica poranka”. Francuski reżyser Éric Barbier przenosząc na ekran autobiograficzną powieść z 1960 r. odtwarza wieloetapową podróż z Wilna lat 20., gdzie autor przyszedł na świat wraz z pierwszą wojną światową, do Meksyku lat 60., gdzie skończył rzezoną książkę, choć podąża równolegle jeszcze inną trajektorią. Wyznacza ją postać Niny Kacew, silnej żydowskiej matki, która wymyśliła i poniekąd stworzyła Gary’ego – genialnego pisarza, bohatera wojennego, wziętego dyplomatę. Tę postać, którą dziś nazwalibyśmy matką toksyczną, gra „z pazurem”, także po polsku, Charlotte Gainsbourg. I to ona jest największą siłą filmu.

Dla psychoanalityków taka biografia byłaby nie lada gratką. Jest w „Obietnicy poranka” retrospektywna scena, w której mały Romain po przeprowadzce z zimnej Polski do słonecznej Nicei wykonuje radosny skok do morza. Za chwilę wynurza się z fal już jako młodzieniec, ale na brzegu nadal czeka matka z ręcznikiem i nieodłącznym papierosem w kąciku ust. Ta jakże znacząca elipsa określi całe jego przyszłe życie – na dobre i na złe. Barbier nie wyrokuję przy tym, na ile edypalna relacja ukształtowała wyjątkowość Gary’ego, a na ile go zniszczyła (w 1980 r. strzelił sobie w usta). Gainsbourg potrafi bowiem wyrazić całą złożoność swej bohaterki: samotnej matki-wilczycy walczącej do upadłego o byt i godność, a zarazem niespełnionej aktorki popychającej syna ku sławie za pomocą regularnego prania mózgu, ostrej tresury i emocjonalnego szantażu. To postać zwariowana, większa niż życie, kreująca rzeczywi-

stość i ludzi podług własnych fantazji. W czasach wileńskich ze skromnej modystki przeistacza się, dzięki iście teatralnej inwencji, we właścicielkę prestiżowego salonu *haute couture*. Jako uboga imigrantka na Łazurowym Wybrzeżu zrazu wyprzedaje rodzinne srebra, by już za chwilę zamienić się w przedsiębiorczą bizneswoman, którą stać na opłacenie jednemu paryskich studiów. Po drodze, w 1938 r., przygotowuje – a jakże! – zamach na Hitlera i tylko troska o syna udaremni jej realizację tego przedsięwzięcia. Będzie czuwać nad Romainem nawet po swojej śmierci.

Charyzmatyczna i jednocześnie nieznośna postać Niny przefiltrowana została przez emocje Gary’ego, którego gra Pierre Niney – aktor o rozgorączkowanym, acz nieruchomym spojrzeniu młodego Kafki, znany u nas głównie z filmu „Frantz” François Ozona (niezwiązanego jednak z praskim pisarzem). I jest to kolejna w „Obietnicy poranka” trafna decyzja obsadowa. W niemal każdej ze swych życiowych ról Romain pozostaje bowiem nie tyle mężczyzną z krwi i kości, ile raczej idealnym projektem swojej matki. Bez względu na to, czy odnosi sukcesy, czy porażki: pisarskie, erotyczne, wojskowe, niezależnie od tego, czy znajduje się w Paryżu, w samolocie RAF-u, czy na afrykańskiej pustyni, musi sprostać oczekiwaniom Niny co do własnej wyjątkowości. Bohaterowie filmu tańczą ze sobą nieustannie tango, w którym dominacja ma charakter dialektyczny, bo żadne z nich nie może obejść się bez drugiego. Syn jest pod ciągłą presją ze strony rodzicielki, ona zaś poświęca dla niego wszystko, w tym zaloty malarza o swoim nazwisku Zarembo (Jean-Pierre Darroussin).

Barbier nakręcił film rozmyślnie staroświecki, szeleszczący książkowym



Charlotte Gainsbourg jako Nina Kacew w filmie „Obietnica poranka”

WARTO ZOBACZYĆ W TV [TV 21 - 27 VII]

1. Zero Days



Dokumentalny, reż. Alex Gibney, USA 2016, Canal+ Discovery, 21 VII, 18.00

Po skandalu związanym z Enronem, nadużyciach stosowanych w tzw. wojnie z terroryzmem czy pułapkach scjentologii, amerykański dokumentalista prześwietał aferę wokół Stuxnet. W 2010 r. wykryty został wirus komputerowy o tej nazwie. Miał on walczyć z irańskim programem nuklearnym, lecz sytuacja wymknęła się spod kontroli.

2. Psychonauci, zapomniane dzieci



Animowany, reż. Pedro Rivero, Alberto Vázquez, Hiszpania 2015, Cinemax, 20 VII, 20.00, 23 VII, 21.45

Na podstawie popularnej powieści graficznej hiszpańscy twórcy zrealizowali film, w którym dystopia, fantasy i czarna komedia stanowią oryginalną mieszankę, wyrażoną językiem wysmakowanej animacji. W świecie po katastrofie ekologicznej dwójka nastolatków postanawia wspólnie stawić czoło nowej sytuacji i swoim traumom.

3. Mali mężczyźni



Dramat, reż. Ira Sachs, Grecja/USA 2016, Ale kino+, 26 VII, 21.10

Przedwczesna inicjacja w świat dorosłych bywa doświadczeniem bolesnym. Przekonują się o tym mali bohaterowie, których przyjaźń zostaje wystawiona na próbę z powodu dzielących ich różnic społeczno-ekonomicznych. Poprzez historię dwóch chłopców twórca „Zostań ze mną” opowiada także o zmieniającym się Nowym Jorku.

4. Lato 1993



Dramat, reż. Carla Somón, Hiszpania 2017, Cineman VOD

Ten film przemknął niedawno przez nasze kina, jest więc okazją, by nadrobić zaległości. Nagrodzony w Berlinie debiut katalońskiej reżyserki, porównywany z kinem Saura czy Truffaut, cofa się w czasie o dwie dekady i tworzy nostalgiczną, ale też brutalną chwilami opowieść o dzieciństwie spędzonym na prowincji.

papierem nie tylko wówczas, kiedy sły-chać zza kadru czytane przez aktora fragmenty powieści. Mimo to portret pisarza wykracza poza ilustrowany biogram, a miejscami bliżej mu do rozlewnego, epickiego widowiska, zdolnego pomieścić wiele istotnych kontekstów. Polskie dzieciństwo ma tu na przykład surrealistyczny posmak ślimaków zjadanych żywcem na wileńskim kirkucie, ale i coś z atmosfery pogromowej, jakkolwiek prześladowania Kacewów miały związek przede wszystkim z ich rosyjskim pochodzeniem. Jawny antysemityzm dopadnie za to Gary’ego wiele lat później. Będąc niewystarczająco „francuski”, nie otrzyma w armii zasłużonego awansu („I tak jesteś szczęściarzem. Pomyśl, co spotkało Dreyfusa” – słyszy od dowódcy), choć po wojnie zasłuży w końcu na Legię Honorową, a w przyszłości będzie laureatem Nagrody Goncourtów. Jedynym zresztą, który otrzymał ją dwukrotnie.

Film krąży jednak obsesyjnie wokół czysto ludzkiego niespełnienia, jakie stało się udziałem Romana Lejbowicza Kacewa *vel* Romaina Gary’ego *vel* Émile’a Ajara – bo w co najmniej tyłu wcieleniach występował autor „Edukacji europejskiej”. Cień matki jest na tyle przytłaczający, że przesłania także postać Lesley Blanch, pierwszej żony Romaina, znanej angielskiej pisarki i podróżniczki (gra ją Catherine

McCormack), która na ekranie pojawia się wyłącznie w roli opiekunki i pierwszej czytelniczki „Obietnicy poranka”.

Ciekawe, czy Gary’emu spodobałby się film Barbiera – łączyły go wszakże z kinem związki bardzo owocne. Osobiście nakręcił dwa pełnometrażowe tytuły, będąc konsulem generalnym w Los Angeles aktywnie współpracował z Hollywoodem, a jego drugą żoną była aktorka Jean Seberg, pamiętna choćby z „Do utraty tchu” Godarda. Można przypuszczać, że pokochałby tę samą niewolniczą miłością swoją ekranową matkę, bo Gainsbourg – powtórzmy to raz jeszcze – zagarnia tę opowieść nawet wówczas, gdy nie ma jej w kadrze.

OBIETNICA PORANKA („La promesse de l’aube”) – reż. Éric Barbier. Prod. Francja 2017. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 20 lipca.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



Kapitan Chorwatów Luka Modrić po przegranym finale mundialu, stadion Łużniki, Moskwa, 15 lipca 2018 r.

IKAR LECI DALEJ

Mistrzostwo świata dla Francji, tytuł najlepszego piłkarza turnieju dla Chorwata Luki Modricia. Sprzeczność? Równowaga? Raczej pretekst do pytania, co to właściwie znaczy „piękno futbolu”.

MICHAŁ OKOŃSKI

DYLEMAT JEST STARY JAK PIŁKA NOŻNA, a w gruncie rzeczy jeszcze starszy: ma tyle lat, co polityka albo sztuka wojenna. Wygrywać pięknie czy wygrywać za wszelką cenę? Posmarować klingę trucizną i zatruć kielich wina? Zamurować bramkę, pozwalając rywalowi wytracić siły, a następnie przeprowadzić decydujący kontratak, ewentualnie w sytuacji minimalnego kontaktu z którymś z piłkarzy drużyny przeciwnej przewrócić się tak

przekonująco jak Francuz Antoine Griezmann w finale mundialu, kiedy sędzia musiał odgwizdać rzut wolny, a potem padł pierwszy gol dla przyszłych mistrzów świata? A może zatrzymać ręką wychodzącą za boisko piłkę, jak zrobił to Thierry Henry osiem lat temu, dzięki czemu to Francuzi, a nie Irlandczycy, pojechali na mistrzostwa świata w RPA? Chociaż tyle dobrego, że wprowadzenie podczas tych mistrzostw systemu sędziowskiej kontro-

li wideo pozwoliło uniknąć podobnych incydentów i ograniczyć prawdziwą plagę ostatnich lat – symulowanie fauli.

Napięcie między pragmatyzmem a idealizmem unosi się nad światem futbolu ze szczególną intensywnością, a na mistrzostwach w Rosji skoncentrowało się wokół drużyny, która je wygrała, choć według zgodnej opinii ekspertów tworzące ją indywidualności nie ujawniły pełni ukrytego w nich potencjału.

Jutro nie nadchodzi

W sporze, co się tak naprawdę liczy: *fute-bol d'arte* czy *futbol de resultados*, jak nazywają to Brazylijczycy, stanowisko selekcjonera reprezentacji Francji Didiera Deschamps'a jest znane nie od dziś. W fascynującej rozmowie ze swoim mentorem, wieloletnim trenerem i wychowawcą Jean-Claude'em Suaudeau, odbytej w jednej z marsylskich restauracji nad butelką przywiezionego z Prowansji *rosé* i opublikowanej przed laty na łamach „France Football”, stawiał sprawę zdecydowanie: „Tylko sukces daje przyjemność”, a na uwagę interlokutora, że sukces, o którym mówi, nie trwa wiecznie, odpowiadał, że jego przyjemności wcale to nie zmniejsza. „Pamiętam okropne mecze, w których radość wygrywania była ogromna, choć samo granie w nich nie dawało żadnej frajdy. Grać dobrze i niczego nie wygrać? O nie, kompletnie mnie to nie interesuje” – deklarował Deschamps.

„W dzisiejszej przegranej znajduję mnóstwo elementów, które pozwolą mi wygrać jutro. Ty żyjesz chwilą, ja patrzę dalej” – odpowiadał Suaudeau, jednak jego stanowisko wydaje się skazane na porażkę, bo historia mistrzostw świata uczy, że jutro nie nadchodzi. Dwie najlepsze drużyny narodowe w historii futbolu, Węgry z 1954 r. i Holendrzy z 1974 r., przegrały pojedynki finałowe z będącymi wówczas uosobieniem pragmatyzmu Niemcami. Ewoluuje zresztą również samo pojęcie piękna: kiedy w połowie XIX w. na polach przed angielskimi szkołami tworzone zasady gry w piłkę nożną, podania uchodziły za coś niegodnego mężczyzny, a liczył się tylko samotny drybling na bramkę przeciwnika; dziś wizjonerskie zagrania do kolegów Belga de Bruyne zachwycają kibiców na równi z kiwką jego partnera z reprezentacji Hazarda.

Kto wie, może przyjdzie czas, w którym metody, za pomocą których Deschamps poprowadził Francuzów do mistrzostwa (ekspersi nazywają to futbolem reaktywnym, a opiera się on w gruncie rzeczy na oddaniu rywalowi inicjatywy i czekaniu na możliwość wyprowadzenia morderczego ciosu), także uznamy za piękne?

Idealista odpowie: oby nie! A o tym, jak silny wciąż we współczesnej piłce (czy tylko tutaj?) jest głos idealistów, najwięcej mówi narastająca z każdym kolejnym tygodniem mundialu fascynacja Luką Modriciem – w ostatnich dniach przybierająca wręcz rozmiary kampanii na rzecz przy-

znania Chorwatowi miana nie tylko najlepszego gracza turnieju, którego się ostentacyjnie doczekał, ale wręcz całego roku.

Jak to pisał Bryll w wierszu, który piłowaliśmy niemiłosiernie w czasach licealnych? „Wciąż o Ikarach głoszą – choć doleciał Dedal, / jakby to nikłe pierze skrzydłem uronione / chuda chłopięca noga zadarta do nieba / – znaczyła wszystko”. Chuda, chłopięca noga zadarta do nieba – to przecież cały Luka Modrić. Dedal zaś to prawdziwe imię Deschamps'a, okazało się.

Wszystko, co piękne

Dariusz Kosiński napisał tu przed mundialem, że piękno piłki nożnej (które w tym momencie zbliża się do porażającego piękna greckiej tragedii) polega na tym, iż trwające długo wysiłki mogą zostać w każdej chwili zniweczone, a los (nazwa używana tu w pełni świadomie) zawsze może się odwrócić. Obserwowaliśmy to w ciągu ostatniego miesiąca wielokrotnie, a specjalistami w odwracaniu losu okazywali się Chorwaci.

Czujemy jednak, że ta definicja nie wyczerpuje jeszcze odpowiedzi. Sam znam niemało takich, którzy zapytani o piękno w futbolu upierać się będą, że piękny może być także nieefektywny wysiłek defensywnego pomocnika, Francuza Kanté na przykład, nie mówiąc o wśliszgu środkowego obrońcy (znowu Francuzi: świetna para stoperów Varane-Umtiti). Piękny może być szybki kontratak – z gatunku tych, jakie oprócz mistrzów świata rozgrywali w Rosji Belgowie, ale także np. Urugwajczycy, którzy również potrafili pięknie się bronić. Piękny może być atak pozycyjny; misternie tkane akcje złożone z kilkudziesięciu nieraz podań, w stylu tych, dzięki którym Hiszpanie sięgali po złoto w 2010 r. – tutaj próbowali Niemcy, ale brakowało im zdecydowania. Piękny może być efekt wspólnej pracy na treningach, przełożony na bramkę zdobytą ze stałego fragmentu gry – rzutu wolnego czy rożnego; na zakończonym właśnie mundialu robili to choćby Anglicy. Piękne mogą być interwencje bramkarza podczas konkursu rzutów karnych. Piękne może być nawet przedstawienie napastnika na skrzydło, co zrobił trener Belgów z Romelu Lukaku w najciekawszym taktycznym meczu mundialu z Belgii.

Piękna może być wreszcie odwaga, z jaką drużyny skazywane przed turniejem na pożarcie, chociażby Maroko czy Iran, do ostatnich minut ostatniego me-

czu walczyły o pozostawienie po sobie jak najlepszego wrażenia. Ten punkt wydaje mi się ważny: gdyby opuścić na chwilę sterylne stadiony zarabiającej na mundialu korporacji FIFA i zapytać np. kibiców drużyn klubowych, niemających szans na występy w Lidze Mistrzów, europejskich pucharach czy nawet na wzmiankę w krajowej telewizji, powiedzieliby pewnie, że piękne w futbolu nie są poszczególne bramki czy akcje, ale pasja, wiara i wytrwałość, jaką piłkarze wykazują zwłaszcza wtedy, gdy im nie idzie.

Skoro tak, to trzeba raz jeszcze wrócić do Chorwatów i do Modricia. Z turnieju odpadali światowi giganci, a w finale zagrała reprezentacja nieco ponad czteromilionowego kraju. Do domu wyjeżdżały kolejne supergwiazdy, Messi, Ronaldo, Neymar, o Lewandowskim nie wspominając, a Modrić grał do ostatniego dnia. Tyle razy się wydawało, że już po wszystkim. Tyle razy Chorwaci tracili bramkę jako pierwsi i musieli odrabiać straty. Tyle się musieli nabiegać, żeby zejść tak daleko (policzył ktoś, że aby awansować do finału, przebiegli niemal 724 km, o ponad 116 km więcej niż Francuzi). Tyle razy sam Modrić musiał mierzyć się z własną niedoskonałością – najsilniej może podczas dramatycznego meczu z Danią, o którego losach mógł przesądzić na kilka minut przed końcem, ale nie strzelił karnego, potem zaś naprawiał swój błąd, podchodząc do piłki po raz kolejny już w trakcie serii jedenastek.

W Modricu z pewnością nie było pragmatyzmu: scena z dogrywki podczas ćwierćfinału z Rosją, kiedy najpierw zagrał niecelnie, a później przez kilkadziesiąt metrów gnał za piłką, żeby naprawić swój błąd, choć wcześniej w tym meczu nabiegał się jak nikt, jest jedną z tych, które zapamiętam z tego mundialu najlepiej.

Czas i przestrzeń

Jorge Valdano, argentyński mistrz świata z 1986 r. napisał w „Guardianie”, że kapitan Chorwatów przypomina nam, śmiertelnikom, o istnieniu czasu i przestrzeni. Choć przy wyglądającym jak grecki posąg niedawnym koledze z klubu, Cristiano Ronaldo, to prawdziwe chuchro, choć nie jest tak silny jak Pogba i tak szybki jak Mbappé, choć nie robi na boisku rzeczy niemożliwych, jak niegdyś Maradona, to rozsznuwa nad nim mgiełkę zdrowego rozsądku („Kiedy widzisz, jak podaje, mówisz do siebie pod nosem: »Na jego miejscu zrobiłbym tak samo«” →

→ – powiada Valdano, choć natychmiast zastrzega, że to, co robi Modrić, tylko Modrić potrafi). Kiedy patrzysz, jak odgrywa piłkę do kolegów, rzekłbyś, że mecz oddycha w rytmie jego podań.

Oto jeden z ostatnich mistrzów *la pausa*, sztuki nagłego wyciszenia, która pozwala zatrzymać się na chwilę i wyczekać z podaniem, aż partner z drużyny osiągnie idealną pozycję (ewolucjonista Stephen J. Gould napisał kiedyś, że zdolność czołowych sportowców do dokonywania w takich chwilach błyskawicznych kalkulacji na niemal każdym innym polu pozwalałaby określić ich mianem geniuszy). I piłkarz z czasów, „gdy życie było wolniejsze niż dzisiaj, a my wynosiliśmy krzesła na ulice i robiliśmy z nich bramki podczas meczów z sąsiadami”. To jeszcze jeden cytat z Valdano; nikt nie pisze o piłce tak pięknie jak Argentyńczycy.

Zdanie o graniu na ulicy wydaje się tu bardzo na miejscu. W jednym z mundialowych tekstów na stronie „TP” przypomniałem, skąd w ogóle wziął się fenomen Modricia. Że w piłkę zaczynał grać w kraju odczuwającym jeszcze skutki wojny, która spowodowała, iż jako sześciolatek musiał wraz z rodziną opuścić teren zagrożony działaniami militarnymi (ojciec zresztą poszedł do wojska, a dziadek został zabity). Że jako uchodźca trafił do Zadaru, gdzie najpierw biegał za piłką po betonowych parkingach (prezes jego pierwszego klubu wspominał, że tak właśnie usłyszał o nim po raz pierwszy: jako o dzieciaku, który obija futbolówkę o ścianę między samochodami, przyjmując ją i kiwając się

z wyimaginowanymi jeszcze rywalami). Że później, już jako młody zawodnik Dynama Zagrzeb, został wypożyczony do klubu z położonego w Hercegowinie Mostaru – opowiadał później o tym doświadczeniu, że piłkarz, który poradził sobie w słynącej z ostrej gry lidze bośniackiej, poradzi sobie wszędzie. Może trudno się dziwić, że kiedy nie strzelił karnego w meczu z Danią, kilkanaście minut później postanowił wykonać jedenastkę po raz drugi.

W tym punkcie znów zbliżamy się do kwestii piękna futbolu: w jego świecie szansę ma każdy, niezależnie od koloru skóry, wyznania czy pochodzenia społecznego (i niezależnie od błędów, jakie popełnił po drodze – pamiętajmy, że chorwackiemu artyście piłki postawiono zarzuty o składanie fałszywych zeznań w procesie patrona jego pierwszych lat kariery, niejakiego Zdravko Mamicia). Jeszcze przed finałem w internecie furorę zrobił film nakręcony blisko 30 lat temu przez badającego Bałkany przyrodnika, który dokumentując życie tamtejszych wilków nakręcił scenę, w której przyszły kapitan Chorwatów (wówczas kilkuletni chłopiec w stanowczo za dużej kurtce) potykając się o skały, pędzi stado kóz do zagrody.

Kapitanem mistrzów świata jest z kolei syn prawniczki i bankiera z Monte Carlo, mającego skądinąd katalońskie korzenie, ale warto podkreślić, że trzon tej drużyny stanowią zawodnicy dorastający w *banlieus* pod Paryżem czy Lyonem: dzieci imigrantów, które z futbolu uczyniły najlepszą ścieżkę integracji. A przecież przez lata

mówiło się o targających drużyną Trójkolorowych podziałach. Niemala jej część odmawiała śpiewania Marsylianki przed meczem. Dziś widać, jak – mimo całkiem jeszcze niedawnych przecież uwag polityków w stylu Jeana-Marie Le Pena – te podziały się zacierają, a fundamentalizmy słabną.

Myszę, że to od Boga

Wróćmy na moment do wywodów Valdano, który w jednym ze swoich felietonów mundialowych przywołał anegdotę o tym, jak kolumbijski trener Francisco Maturana skarżył się swojemu argentyńskiemu koledze, szkoleniowcowi mistrzów świata z 1978 r. Césarowi Luisowi Menottiemu, że rozgrywający i lider jego drużyny, Carlos Valderrama, głównie spaceruje po boisku. „Doskonale – odpowiedział Menotti – będzie miał więcej czasu na myślenie”. „Myślenie w piłce stało się niemodne – twierdzi jednak Valdano. – Albo inaczej: jedyną osobą, której pozwala się na luksus myślenia, jest trener”.

Po lekturze rozmowy Suaudeau-Deschamps nie mam złudzeń: szkoleniowiec mistrzów świata nie myśli o tym, czy sprawiedliwy jest los, w którym „jeśli poznałszy miękkość wosku umiemy dopadać / wybranych brzegów – mijają nas w pieśni”. Ale nie sądzę też, by rację miał Argentyńczyk i myślenie w piłce mogło kiedykolwiek wyjść z mody. Epitafium dla myślących piłkarzy – wszystko jedno, czy byli to Argentyńczyk Riquelme, czy Włoch Pirlo, czy kończący reprezentacyjną karierę na mundialu w Rosji Hiszpan Iniesta – pisano już wielokrotnie, po-

Dziesięć powodów do pamiętania mistrzostw świata w Rosji

DYMISJA selekcjonera Hiszpanów, który dzień przed rozpoczęciem turnieju przyjął posadę trenera Realu Madryt; dowód, że prawdziwe futbolowe życie toczy się gdzie indziej. **KLASYK** drugiego dnia: zremisowany 3:3 mecz Hiszpanów z Portugalczycami i trzy gole Ronaldo. Jego późniejszy transfer do Juventusu, głośniejszy niż ćwierćfinały (patrz wyżej). **KLĘSKA** poprzednich mistrzów: Niemcy nie wychodzą z grupy,

mimo bramki Kroosa w dolnym czasie gry meczu ze Szwedami. Ich bezradność w obliczu meksykańskich kontr. **TWARZE**: Messiego, który nie doprowadził Argentyny wyżej niż do jednej ósmej. Niepełnosprawnego trenera Urugwaju Tabáreza. Oglądających mecz dzieci ze szpitala onkologicznego w Poznaniu. **BRAMKI**: di Marfi i Pavarda w meczu Argentyna-Francja. Cavaniego po wymianie podań

z Suarezem w spotkaniu Urugwaju z Portugalią. Chadlego w pojedynku Belgii z Japonią. Pogby, zaczynającego i kończącego decydującą akcję Francuzów w finale. **STYL** Belgów. Dryblingi Hazarda (zwłaszcza z Brazylią, gdy utrzymywał się na nogach tam, gdzie turlał się Neymar). Przepuszczenia piłki Lukaku. Podania de Bruyne. Wślizgi Alderweirelda. Interwencje Courtois. **KUNSZT** broniących karne bramkarzy: Schmeichela, Subasicia, Akinfiejewa (przed czterema laty był kozłem ofiarnym – to po jego błędach Rosja odpadała – teraz został bohaterem), Pickforda.

KLĄTWA karnych, przetamana przez Anglików. Odbudowana przez tę reprezentację i jej trenera więź z angielskim społeczeństwem. Utracona więź polskiej reprezentacji z naszym społeczeństwem, niestety. **SYSTEM** kontroli wideo VAR: mundial (prawie) bez błędów sędziowskich. Niekonsekwentny bojkot polityków: przywódca Chorwacji i Francji u boku Putina. Chorwat Vida, wołający do kamery „Stawa Ukrainie”. **ZWROTY** akcji: w meczu Japonia-Belgia, ale nade wszystko w każdym występie Chorwatów. Chorwackie serce. Modrić.

dobnie jak wielokrotnie ogłaszano koniec historii. I elegancji w futbolu.

Luka Modrić przez lata pozostawał w cieniu swoich kolegów z Realu Madryt: to kupując Ronaldo czy Bale'a bito transferowe rekordy świata, to Kroosa, Ramosa czy Marcelo koszulki sprzedawały się lepiej, a jednak o nim dzisiaj piszemy w „Tygodniku Powszechnym”. Wybranych brzegów dopadali Niemcy, a wciąż o Węgrach i Holendrach głośzą. Mistrzami świata są Francuzi, a Chorwaci pobili nasze serca.

Ze wszystkim, co się wydarzyło, to był piękny mundial. I z tym, że starannie reżyserowaną (i kiczowatą, jak zwykle) oprawę finału naruszyły aktywistki Pussy Riot, i z tym, że przez parę tygodni podróży przez Rosję kibice z całego świata przekonywali się, iż nie można mówić o tamtejszym społeczeństwie wyłącznie przez pryzmat rządzącego nim satrapy. Z tym, że rozważając istotę piłkarskiego talentu można było przywołać frazę Josifa Brodskiego, rzucającego do sędzi Sawieliejew zdanie „Myślę, że to od Boga”.

Dla mnie mundial był piękny także z tym, że w osobie trenera swojej reprezentacji Anglicy dostali nowy, w tradycyjnie maczystowskim świecie kompletnie nieoczywisty wzorzec męczyzny. Przez cały turniej Gareth Southgate jawił się jako człowiek wrażliwy, współczujący i troskliwy, potrafiący zarówno podejść do każdego z rywali, by pocieszyć ich po porażce (tak było z Kolumbijczykami), jak i pogratulować im wygranej (tak było z Chorwatami). Załamanych porażką w półfinale własnych piłkarzy angielski selekcjoner podnosił z ziemi, dziękował za grę i wysyłał do kibiców, by im także podziękowali. To dzięki jego wsparciu obrońca Danny Rose wychodził z depresji, która dopadła go, gdy przez wiele miesięcy leczył kontuzję i nie było wiadomo, czy pojedzie na mistrzostwa świata. To z jego perspektywy oczywista wydawała się decyzja, że pomocnik Fabien Delph opuści na kilka dni bazę drużyny pod Petersburgiem i wróci do kraju, gdzie właśnie miało się urodzić jego trzecie dziecko.

Co mnie prowadzi do myśli, że osobiście piękno piłki nożnej dostrzegam w tym, że wcale nie muszę jej uważać za najważniejszą na świecie. ©P MICHAŁ OKOŃSKI

*Trener Francuzów Didier Deschamps
po wygranym finale mundialu,
stadion Łużniki, Moskwa, 15 lipca 2018 r.*



JEWEL SAMAD / AFP / EAST NEWS

JAN

Klata:

Nestor Pitana na prezydenta!



W PIĘDZIESIĄTEJ PIERWSZEJ MINUCIE FINAŁU mistrzostw świata w piłce nożnej na boisku stadionu na Łużnikach wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Niespodziewanie, wtargnął jakiś mały, niezdrowo napuchnięty łysy facet z twarzy podobny zupełnie do nikogo. Po chwili, z drugiej strony między nogami sił porządkowych wbiega ukradkiem całkiem młody mydłek w baczkach. Obrazu zenady dopełnia ni stąd, ni zowąd niepostrzeżenie, a nagle spacerująca po polu karnym – skądinąd sympatyczna – pani w bluzce w białoczerwonej szachownicy.

Operatorzy rosyjskiej telewizji zdębieli, zdębiał realizator, miał być mecz, a jest niespodziana inwazja. Co robić? Tradycyjnie czekać do zimy, aż sytuacja się sama rozwiąże? Ale co w tym czasie nadawać, jaki obraz z Moskwy ma pójść w świat – bo przecież nie żałosny widok żadnych kilkudziesięciu sekund sławy w prime timie intruzów, narzucających się wielu, wielu milionom kibiców. A problem jest paląco naoczny: jacyś

dziwni ludzie ogrzewający się w blasku sławy futbolistów, kradnący globalny show, wykorzystujący sport do autoreklamy. Nie wolno dać się sprowokować, trzeba odwrócić kamery, trzeba aż do usunięcia natrętów pokazywać coś innego.

W tym czasie, na gorąco, możemy sobie oraz przewodniczącemu Gianniemu Infantino zadać garść pytań na temat piłki nożnej: jak trojgu nieodpowiedzialnych ludzi udało się zmylić strażę, sforsować zasieki i dostać w oczy całego świata pod płaszczykiem sportowego widowiska? Jak można było dopuścić do tego, aby cywile skradli profesjonalny, sportowy show? Nic dziwnego, że piłkarze nie byli zachwyceni, zwłaszcza Chorwaci, no ale ich mocno podgrzał sędzia Nestor Pitana. Nie zapominajmy o Pitanie – wolnym i karnym jego autorstwa.

Na szczęście po początkowej konfuzji siły porządkowe zaczęły czynić swą powinność i wypały bezczelnych intruzów, przy pomocy mniej lub bardziej wyrafinowanych zapasniczych chwytów oraz dźwigni rodem z jujitsu sprowadzając żądne sławy jętki-jednodniówki z płyty moskiewskiego stadionu. Piłkarze powrócili do kopania piłki, ale niesmak pozostał. Sport powinien być sportem, wolnym od polityki – najświętsza zasada FIFA została złamana, niestety, w finale.

Pozostaje mieć nadzieję, że sprawcy: niejaki Władimir Putin, Emmanuel Macron i Kolinda Grabar-Kitarović otrzymają surowe grzywny oraz zakaz stadionowy, i że w ogóle już nigdy żaden polityk nie wtargnie na boisko, aby ni z gruszki, ni z pietruszki robić sobie ciepły PR kosztem sportowców. Może to dziecinnie naiwne, ale głęboko wierzę w ideały FIFA, w niezłomność i apolityczność piłkarskich działaczy. Wara polityce od futbolu! Gwarantem Infantino. ©

Lektor:

Hołd dla filmu



■ *Josef Škvorecký*
**WSZYSCY CI WSPANIALI CHŁOPCY
I DZIEWCZYNY. OSOBISTA HISTORIA
CZESKIEGO KINA**

Przełożył Andrzej S. Jagodziński,
wstęp Andrzej Krawczyk, posłowie Andrzej
Werner. Pogrnicze, Sejny 2018,
ss. 382 + ilustracje, seria Meridian.

BIBLIOTECKA PRZEKŁADÓW Josefa Škvoreckého (1924–2012), mojego ulubionego pisarza z czeskiej trójcy Hrabal-Kundera-Škvorecký, jest dosyć bogata. Mamy cztery ogniwa cyklu z Dannym Smiřickim, *alter ego* autora („Tchórze”, „Batalion czołgów”, „Fajny sezon” i arcydzieł „Przypadki inżyniera

ludzkich dusz”), a ogniwo piąte, czyli „Cud”, ma się ukazać w tym roku. Mamy „Legendę Emöke”, „Lwiątko”, autobiograficzne „Przypadki niefortunnego saksofonisty tenorowego”, powieść o Dvořaku „Scherzo capriccioso”, nieco opowiadań i esejów, a także fragment kryminalnej tetralogii o poruczniku

Borówce. Wiemy już (patrz tytuł autobiografii) o miłości, jaką Škvorecký darzył jazz. Teraz dowiadujemy się o innej jego pasji – kinie. „Książka ta jest produktem nostalgia za krajem, z którego wyjechałem, gdy inni przyjechali” – pisze z właściwym sobie sarkastycznym poczuciem humoru. W Toronto, dokąd wyemigrował po inwazji wojsk Układu Warszawskiego, prowadził wykłady na temat filmu czeskiego. Powstała z tego książka wydana w Kanadzie i znacznie później, już po Ak-samitnej Rewolucji – w Pradze, w wersji poprawionej i uzupełnionej. „Ojciec Škvoreckého był właścicielem kina w jego rodzinnym Nachodzie, ale syn miał także wstęp do drugiego, konkurencyjnego. Ta fascynacja filmem została mu na całe życie. W latach 60. jako uznany pisarz i autor scenariuszy poznał czeski świat filmowy,

z wieloma najlepszymi twórcami blisko się zaprzyjaźnił” – przypomina tłumacz i dodaje, że książka Škvoreckého jest równocześnie porządną historią czeskiego kina i świetną literaturą pełną anegdot i plotek, ironii i autoironii. Więcej o tym napisze wkrótce Anita Piotrowska – bo kino naszych sąsiadów jest zjawiskiem zbyt wielkim, by je zbywać krótką notą. Mogę jedynie zapewnić, że „Wszyscy ci wspaniali chłopcy...” to wspaniała lektura, po której ma się ochotę zasiąść w fotelu i oglądać kolejne filmy, od „Ekstazy” Gustava Machatego po arcydzieła czeskiej Nowej Fali i obrazy, które po 1968 r. trafiły na półkę. A jakże znakomita jest analiza relacji między prozą Hrabala a ekranizacją Jiříego Menzla w „Pociągach pod specjalnym nadzorem”! Nic tylko czytać, oglądać i znów czytać... ©

PAWEŁ

Bravo:

Food-trucki wybuchły



W LIPCU WIECZÓR GAŚNIE POWOLI, WRESZCIE jednak długa na 200 metrów fasada opactwa w Lubiążu pogrąża się w mroku. I tak tu jest codziennie od z górą 200 lat, kiedy mnisi opuścili ten kolosalny kompleks, z którym w Europie może się równać tylko podma-

drycki Eskurial. Wielka, barokowa wydmuszka po niegdysiejszym centrum życia duchowego – splecionego jednakowoż z doczesną potęgą gospodarczą i polityczną, bo samą siłą modlitwy to nie powstało – śpi bezużytecznie, świadcząc niemo na korzyść swojej epoki i jej poczucia piękna. Wyobrażacie sobie za dwa stulecia obiekty, w których dziś rezydują władcy naszej wyobraźni, losów i sakiewek? Szkło zmatowieje, stal się pokryje rdzą, pleśń założy na paździerz wielopiętrowe kultury, a studenci będą pisać prace o szarości wykładzin i beżu ściennych paneli jako estetycznym wyrazie europejskiej choroby na śmierć.

Śpi opactwo bezużytecznie z wyjątkiem paru dni w roku, kiedy to ożywa dzięki festiwalowi Slot Art, imprezie magnetycznej, która przydomek „alternatywna” podnosi do rangi wyrzutu sumienia wobec kulturalnej codzienności – cóż to bowiem za kultura, skoro nieokiełznana energia tworzenia i spotkania ujawnia się tylko w charakterze alternatywy? W otoczeniu wolnym od totalnego „obrandowania” i wygładzonej pod sponsorów identyfikacji wizualnej, jadającej niczym jaskra siatkówkę naszego wewnętrznego oka. Życie jest tam, gdzie ktoś chwyci za kawał tekstury i flamastrem ogłosi swoją inicjatywę bez konsultacji z działem marketingu.

O setkach koncertów i wydarzeń twórczych na tegorocznym Slocie niech wam opowiedzą zręczniejsze pióra, bliżej zakolegowane z muzami. Dla mnie natomiast, ciągle myślącego żołądkiem i żyjącego wedle pór posiłków, pozostanie on momentem innej epifanii. Gdy bowiem opactwo o zmierzchu zamieniało się w gładką, ciemną ścianę, u jego stóp długim świetlistym sznurem rozbłyskiwało parędziesiąt food-trucków, emanując w przestrzeń hopperowską aurę żarówek i jarmarcznych neonów, a także oczywiście zapachy – przeróżne i z bardzo odległych parafii – tworząc jednak miłą dla apetytów fuzję.

Na pierwszy wdech – smaženina frytek (nie wiedzieć czemu dziś koniecznie „belgijskich”, choć dobra frytka nie zna Żyda ni Greka), którą nosimy zakodowaną w pokładach podświadomości razem z momentami niepojętych dla dziecięcia niepokojów nagości na bałtyckiej plaży. Dalej wielogłosowa orkiestra wołowiny rumieniącej się na burgery, najlepszy dowód, że związki chemiczne powstałe w wyniku reakcji Maillarda działają na mózg nawet rozproszone na dużą odległość. Tuż obok inne buły z nadzieniem – strukturalnie podobne, ale odmienne w teksturze pieczywa i smakach nadzienia – takie jak chińskie *bao*. Mam nieusuwalną pamiątkę po jednej z nich na koszulce, jak ostatnia sierota upaśćkałem się *kimchi*, a papryka rozrobiona w skrobi ryżowej daje trudno zmywalną farbę. Cóż,

brudna buzia i zacieki na żabocie należą do uroków ulicznego jedzenia. Tosty z szarpaną wieprzowiną – to tak piękna nazwa, że będę was namawiał: porzućmy snobizm zamawiania *pulled pork*. I jeszcze najbardziej przedziwna rzecz, jaką widziałem: pizza z mobilnego pieca opalanego drewnem, przyjechało to cudo aż z Czech, niestety z samej blachy, a w prawdziwie „ogni-stym” piecu ważne są też kamienie i cegły, które specyficznie ciepło rozprawdzają. I jeszcze z dziesięć różnych wersji zapiekanki, zapieksów, paluchów czy jak to zwał – ten archipelag akurat najmniej mnie interesował, bo zjadłem w czasach służby minionych dość gumowatych bagiet ze zjeżdżałym serem i pieczarką kupowanych z przyczepy marki Niewiadów, mało mnie kręci więc nowsza wersja tego samego.

Może właśnie przez te niewiadowskie skojarzenia długo nie dostrzegałem, jak pięknie nam wybuchły w ostatnich latach food-trucki. Ich natura zresztą – efemeryczna, wędrowna, okazjonalna – nie ułatwia poznawania, kiedy się jest osiadłym mieszkańcem, rzadko zaglądającym na imprezy i festyny. Ale jest o czym pisać, bo to ciekawy dowód, jak kultura gastronomiczna dogania znudzony Zachód: przestają nas podniecać normalne restauracje i bistra, chcemy podnieć ulicznych, pokątnych, partyzanckich niemalże. W jedzeniu z budki zawsze jest element partyzantki, improwizacji i zarządzania kryzysowego, dlatego zasługuje na szczególną pochwałę. Wiem o tym co nieco, ostatnio znów mieszkam w domu z kuchnią na planie kreski. I w sumie dobrze, że jestem w niej sam, bo ileż trzeba miłości, by nie zadzgać partnerki po paru próbach zrobienia wspólnie obiadu na dwóch metrach kwadratowych. Jeśli więc w burgerze nie znajdziecie odciętego palca, wiedźcie, że w waszym food-trucku pracują mistrzowie baletu i tytani empatii. ©P



SERGII KOVAL / ALAMY STOCK PHOTO

Mam wielkie wyrzuty sumienia, bo obiecywałem uczcić w naszej rubryczce agrest – a już właśnie znika z targów, w tym roku wszystko idzie szybciej. Pożegnajmy więc środek lata prostą tartą z ciekawym, spolonizowanym wariantem masy *frangipane* – zamiast migdałów damy orzechy laskowe. Szykujemy kruche ciasto: 200 g **mąki**, 100 g **masła** w kawałeczkach i 100 g **cukru** rozdrabniamy w rękach, dodajemy 1 **jajko**, zagniatamy szybko, schładzamy pół godziny. Potem wyklejamy nim formę o 26 cm średnicy, nakłuwamy widelcem i podpiekamy w 180 stopniach przez 15 minut. Ucieramy 150 g miękkiego masła z 150 g cukru i 150 g zmielonych **orzechów laskowych**, dodajemy 2 łyżki **mąki** i 2 jajka, opcjonalnie szczyptę **kardamonu**. Na podpieczone ciasto wykładamy masę, w nią wtykamy delikatnie 300-400 g **agrestu**. Pieczemy, aż się ładnie zrumieni, około 30 minut.



WSIADAJ BRACIE, DALEJ, HOP

Przed zaśnięciem nie powracał pod powieki żaden obraz z muzeum
ani wieże średniowiecznej twierdzy. Widziałem za to samochody i ich kierowców,
od pierwszego, który mnie zabrał, po ostatniego.
I korowody miejsc, w których stałem w oczekiwaniu.

MAREK BIEŃCZYK

NA DROGĘ WYCHODZIŁO SIĘ W PIERWSZYCH DNIACH CZERWCA, kilkanaście dni po otrzymaniu paszportu, nazajutrz po wbiciu weń wiz. Trzeba było odstać swoje w kolejce ze ściśniętym żołądkiem, tym bardziej że pamięć przechowywała w ciebie dawną odmowę, ale dookoła wszystkich ścisnęło równo, widziałem to po napiętych twarzach i wzmożonej ciszy.

W pokoju ubek świdrował wzrokiem i wreszcie następowała ta najgorsza chwila: ubeckie palce zanurzały się w przegródkach, przelatwały przez paszporty, jakby liczyły gotówkę, wreszcie wyjmowały – bądź nie – granatową książeczkę. Jeśli jej nie znajdowały, grzebały w drugiej przegródce z białymi papierkami, które znaczyły wyrok tymczasowej śmierci.

Z paszportem w kieszeni wychodziło się na chodnik, pobłażliwie, lecz niemal tkliwie patrząc na stojących w długiej kolejce. Błogosławiony, euforyczny moment; tak łatwo było nam dogodzić. Wracalem do domu różnym krokiem, asfaltowe jezdnie Grochowskiej nagle przestawały kończyć się gdzieś w mieście, miały swój ciąg dalszy, przelatwały przez Wisłę, skręcały w stronę Woli, wymykały się z miasta i ciągnęły aż po horyzont, by jakiś czas później podłożyć się pod koła mercedesów i opeli. To był jedyny kierunek. Wiatr na mapach Wicherka i Chmurki, bezwonne zaproszenie, przychodził niemal zawsze stamtąd, przepowiadacze pogody machali rękoma od lewej do prawej strony ekranu; ja zaraz będę jechał na lewo odwieźć powietrze. *Go to the West, boy*. No pewnie, bo gdzie indziej.

Wyjechać z siebie

Na pierwszy zachodni autostop, jeszcze dobrze przed dwudziestką, ruszyłem z kumplem, dla kuraju. Chcieliśmy od razu daleko, ale po drodze leżały wciąż Niemcy. Wylądowaliśmy

w środku nocy na wielkiej stacji benzynowej, poszliśmy na jej tyły spędzić przy krzakach debiutancką noc.

Nad ranem spostrzegłem sylwetkę ostrożnie się do nas zbliżającą, sylwetka nosiła długi skórzany płaszcz, lecz nie była Clintem Eastwoodem. Choć miała w ręku rewolwer. Była niemieckim aktorem wynajętym przez polskie studio filmowe, wyciągała rękę przed siebie i mówiła: „*Hände hoch*”. Studio X przedstawia: „Stawka większa niż życie, sezon III”. Trzymaliśmy ręce, kumpel i ja, wysoko nad głowami, dziwnym trafem zrozumieliśmy polecenie. Bo dziwnym trafem obejrzelśmy od dziecka sto filmów wojennych i przeczytaliśmy sto książek o wojnie. Trzymałem wysoko (*sehr hoch*) ręce, drżałem z zimna i strachu, lecz coś się we mnie w środku śmiało, wiedziałem, że stoję na muszce, i to jak najbardziej realnej, naprzeciw jak najbardziej realnego rewolweru, i zarazem tkwię w cytacie, Polak podnosi ręce, bo mierzy w niego Brunner.

Obok sylwetki z rewolwerem pojawił się pies, też musiał być na kontrakcie, poważny wilczur, żadna inna rasa tak dobrze nie obnaża kłów. Sylwetka w tyrolskim kapelusiku zażądała papierów („*Ausweis bitte*”), skądś znałem te słowa. Podałem paszport z rogu Grochowskiej i Podskarbińskiej, kumpel podał swój zbyt gwałtownym gestem. Piesek jednym pacnięciem powalił go na ziemię i coś przy nim zaczął majstrować, wiedział, gdzie jest gardło. Sylwetka przywołała go i oznajmiła nie bez dumy w głosie twardą angielszczyzną (może jednak to był John Wayne): „*My dog is very quick*”. Policjant w cywilu w końcu nas puścił.

Patrząc dziś z lotu ptaka albo dronu na tę scenę, widzę dwie trzające się postacie na tle śpiącej Europy, tam, w pobliżu nich, ➔

Zaczyna się sezon „Autostop-75”, Wójtowo, kwiecień 1975 r.



→ palą się światełka Hamburga, nieco dalej widać łunę Hanoweru, na horyzoncie jak zawsze najbardziej rozświetlony jest Londyn. A one drżą, mają wysoko uniesione ręce i tak stoją, żalosne widma własnych fantazmatów, uciezki z syfu, ofiary pragnienia swobody i wolności *on the road*, które na pierwszym kroku, w pierwszych godzinach podróży zostały ośmieszone, wypione.

Stoją widma jak wryte w ziemię na środku Europy, bezradne, zdane nie na łaskę promiennej przyszłości, której chciały tu smakować, lecz na łaskę odwiecznego skołowacenia, historycznej sztampy, która odgrywa siebie w jakimś kiepskich lotów teatryku, w jakieś wielojęzycznej farsie. Nie wystarczało wyjechać z Polski, trzeba było jeszcze wyjechać z siebie.

Ustawiliśmy się na wyjeździe ze stacji, podnieśliśmy kciuki, wieczorem byliśmy już w Amsterdamie.

Mrówcze ścieżki

Na drogach w Polsce szczyliłem się tym gestem; wracałem w pierwszych dniach października przez Zgorzelec, niekiedy wiosną jechałem jeszcze do Gdańska, wystawiałem kciuk do góry, to był nasz znak, znak tych, co pędzą przed siebie, tych, co prawdziwie stopują. Wcześniej kilka razy zdarzyło się użyć słynnej peerelowskiej książeczki dla autostopowiczów, wydawanej przez odpowiednie organy turystyczne (to nie był zresztą komunistyczny wymysł, książeczkę autostopowicza chciano wprowadzić w latach 60. we Francji). Ale teraz taka administracja była niegodna długich włosów i luzu w sercu. Kciuk wskazywał w górę, tam, gdzie wznosiła się lotna dusza, palce innych podróżników mierzyły w dół, tam, gdzie ziemia pchała się pod nogi.

Innych podróżników, czyli tych, co jeździli na łebka; pełno ich było, wylegali stadkami na skrzyżowaniach szos, cała Polska powiatowa podróżowała, zwłaszcza na krótkie i średnie dystanse, każdy kierowca miał w samochodzie podręczny autobus, którego drzwi z łaski pańskiej otwierał – bądź nie. Na wyjazdach z miast czy na głównych drogach stawało się niekiedy w tłoku; obok tkwili z uporem coraz liczniejsi wieśniacy z jagodami i tirówki, trzeba było się przepychać, wynajdować wolne, lepiej eksponowane miejsca, byliśmy wszyscy ludem pracującym w biegu, jedni dla zewu przygody, inni dla potrzeby grosza. Swoim nad miarę wzniesionym kciukiem pokazywałem cokolwiek rozpaczliwie, że ja nie jestem łebkowiczem, lecz jeżdżcem w burzy, *rider on the storm*.

Tam, na szosach Francji czy Niemiec, jechało się daleko w niejasnym celu, załapać się może na winobranie, odwiedzić kogoś nad morzem, autostop użytkowy nie był tak mocno rozwinięty, między niebem a ziemią majtała się pustka z wiatru i powietrza; tu, u nas, krzyżowały się mrówcze ścieżki, robota na całego, pilne zagospodarowywanie gruntu pod stopami, codzienne, skrzętne uprawianie życia.

Wszystko miało swoją cenę; kiedy później zabierałem łebków własnym samochodem, wciskali mi niemal na siłę pieniądze; to, że ich nie chciałem, burzyło ich system; przecież po-

Tych, co jeździli na łebka,
było pełno. Wylegali
stadkami na skrzyżowaniach
szos. Trzeba było się
przepychać, wynajdować
lepiej eksponowane miejsca.

**Byliśmy wszyscy ludem
pracującym w biegu,**

jedni dla zewu przygody,
inni dla potrzeby grosza.

kazywali palcem w dół, czyli oznajmiali w powszechnie znanym idiomie, że proszą o podwiezienie, za które uczciwie zapłacą według niepisanych, ale przyjętych stawek. Mieli rację, przecież gdy wznosiłem kciuk, informowałem tym samym, że ja za podróż nie bułę, bo jestem z kasty wiecznych podróżników.

Zachód miał samochody i świetne drogi, ale to Polska zdawała się bardziej ruchliwa. Owszem, Niemcy walili autostradami jak opętani; ciągle mnie zastanawiało, gdzie oni tak do licha jadą dniem i nocą, bez przerwy, w ogromnych nieraz zatorach. Jednak u nas – znowu patrząc z lotu ptaka – lud wylegał na powierzchnię szerzej, tłumniej, zdany nieraz na własne nogi.

Wszędzie ktoś szedł, skrajem szosy, jezdnią, połą drogą. Bo ciągle „coś trzeba było załatwić”. Genialność i dziwna energia tego wyrażenia nie przestaje do dzisiaj zadziwiać. Załatwić najpierw coś, a później siebie, chociażby połówką żytniej.

Załatwili nas, to był wspólny temat wielu rozmów w samochodach. Spójrz pan, zobacz pani, ale nas załatwili na szaro. Tego nie ma, tamtego nie ma, półki puste, a sami siedzą na tych swoich daczach. Pan wiesz, wiesz pani, ile w takiej Szwecji zarabiają?

Mało kto się gryzł w język, zgoda była mniej więcej powszechna, załatwili nas, z kacapami nas razem załatwili, jadę załatwić kafelki do Jasła, łazienkę muszę naprawić, bo cieknie. Narzekało się, było zadowolonym, że samochód wiezie, zawsze parę kilometrów mniej, jednym do nieokreślonego celu, drugim do straganów z ceramiką.

Jedź, młodzieży, w Polskę!

Złotą epoką autostopu były wczesne lata 60., i na Zachodzie, i u nas. Zaimportowany z Ameryki, miał chyba łatwiejszą drogę niż jazz. Przeflancowany przez władzę na stronę krajoznawczą, przystosowany do ograniczonej i zamkniętej na kłódkę przestrzeni, oczyszczony z amerykańskiego niepokoju metafizycznego (jechać tysiące kilometrów, nigdy nie mieć domu i pracy, być wiecznym *hobo*, wypinać się na system), stał się u nas uznanym sposobem „wakacyjnego spędzania czasu przez młodzież”.

Karin Stanek wyśpiewała jego hymn, „Autostop, autostop / Wsiadaj, bracie, dalej, hop”; co prawda rymowała „autostopem-Europe”, ale tej ostatniej wówczas jakoś nikt nie widział. Doszły gitary, ogniska, z dróg wylotowych nad morze ciężarówka brały na przyczepę po 40 osób naraz. Autostop przypominał nieco nieorganizowane harcerstwo: jedź młodzieży, poznawaj Polskę, zdobywaj o niej wiedzę, baw się i we wrześniu wracaj do szkół.

Roman Polański w „Nożu w wodzie” nadał autostopowi inny, egzystencjalny wymiar (obcy pojawia się nie wiadomo skąd, coś w ludziach rozbełta, i nie wiadomo gdzie zniknie), lecz w tamtej rzeczywistości kojarzyć się miał przede wszystkim z mile upionym wybuchem młodzieńczości szukającej wakacyjnych wrażeń. Trzeba było zainwestować w fantazmaty beatnikowskie, wziąć za swoje *highway* opiewane przez Dylana i Morisona, kolejne *on the road again* falseciarzy z Canned Heat, by dzieś lat później stworzyć nowy duchowy podkład dla własnych podróży.



STEFAN KRASZEWSKI / PAP

Początek sezonu „Autostop-77”, maj 1977 r.

Od Trockiego do kosmosu

Kiedyś wylądowałem w bazie Mannheim, którą Gomułka straszył u nas naród – słowo „Mannheim” oznaczało w jego ustach najgorszy grzech świata, wypustkę amerykańskiego imperializmu. GI wiozący mnie gdzieś w stronę Alzacji musiał na chwilę wpaść do oddziału. Przejechalśmy niezatrzymywani obok wartowni, stałem przy samochodzie, dostałem camela na odczekanie, raz przejechał mały transporter, później jeep w zielone plamy. Na takie chwile się czekało: eksplozje szalonej transgresji, przecierania oczu zamydlonych oficjalną narracją.

W samochodach, kiedy już powtórzyło się z naciskiem, że jest się z Poland, nie z Holland, rozmawiało się o muzyce i byle czym, ale też często o sprawach pryncypialnych. Pryncypialnych dla kierowców; idee krążyły w powietrzu. Rok 1974, 75, 76, samochody mrugały żółtymi naklejkami z napisem „Nuclear? Nein, danke”; podobne znaczki zdobyły swetry kierowców. Ekolodzy nie przekraczali na autostradzie setki, żeby mniej zanieczyszczać powietrze. Lewicowcy, zwłaszcza komuniści, byli zatroskani; jeśli wprowadzą teraz u was kartki na żywność, powiedział mi jeden z nich w okolicach Cannes, to przegramy najbliższe wybory w Szwecji. Był Francuzem, ale miał internacjonalistyczną nadzieję na dobry wynik komunistów w Sztokholmie.

Oficjalny, partyjny komunizm, tak mocny we Włoszech czy Francji, zaczynał jednak powoli się rozpadać; parę lat ledwie upłynęło od roku 1968, społeczna niesforność coraz szerzej przenosiła się na tereny alternatywne, mikrowspólnotowe. Co chwila, co drugi samochód, próbowano mnie skaptować. Jak nie komuniści, to goszystowskie nieokreślone ptaki, szukające innych rajów. Anarcho-syndykalisci, trockiści, cheguevarysty, wszelkiej maści rewolucyjniści. Już od dawna wyzwoleni spod sowiecko-chińskiej magii, odwołujący się oczywiście do mło-

dego Marksa, a za najbardziej dla siebie symboliczne wydarzenie rewolucyjnych dziejów uznający antybolszewicki bunt marynarzy w Kronsztadzie.

Jak nie trockiści, to czciciele różnych bogów, harikrysznowcy, buddyści. Kierowca zawiózł mnie do sekty Moona, w nocy spałem w sali gimnastycznej jakiegoś klubu bokserskiego z bezdomnymi i paroma jak ja. Budził nas o szóstej rano facet z gitarą obwieszający, że słońce już wstało; spadaj, odpowiadali mu kloszardzi, słońce może wstało dla sekty Moona, lecz z pewnością nie dla nich. Za dnia prowadzono mnie do jakiegoś niezłego pałacyku, dawano dobrze zjeść, a później wyświetlano filmy i ktoś przemawiał o Antychryście.

Zerwałem się, dałem drapaką na drogę, kolejny kierowca – raczej nie przesadzam – skrzywił się po mojej opowieści: „Sekta Moona? To nie to!”. Zawiózł mnie do Dzieci Jezusa, lepiej śpiewali. Później trafiłem za kimś, kto wziął mnie w Cévennachs, do innej sekty. Odmienne przesłanie: boskość, jakkolwiek ją rozumieć, jest rozlana po przyrodzie. Nie ufali cywilizacji, trzeba wrócić, mówili, do stanu pierwotnego. Mieszkaliśmy z nimi w wielkich tipi w górach, zbierałem kasztany, wytrzymałem trzy tygodnie. Jadło się tylko warzywa i owoce, i dobry chleb.

Byli też po drodze – na drodze – wyznawcy kosmosu. Trafiłem do mieszkania jednego z nich; całe wyłożone niebieskimi mapami i obstawione globusami. Od roku 1968 minęło siedem lat, polityka powstała na gwiazdach, na Ziemi niewiele już dało się zrobić.

– Naprawdę wierzysz we wpływy tego Oriona? – spytałem.

– Ja nie wierzę. Ja stwierdzam – odpowiedział.

Nie wierzyli, lecz stwierdzali, wszyscy mogliby oświadczyć to samo.

Spotkania z Plotynem

We Włoszech stop szedł średnio, we Francji na ogół dobrze, w Niemczech jeszcze lepiej, niekiedy fantastycznie. Byłem Polakiem, dla niektórych młodych miało to znaczenie, odpracowywali coś jeszcze w sumieniach, zapraszali na noc do domu, obdarowywali prezentami, nazajutrz wywozili na drogę; od jednej pary dostałem złotego pelikana, od kogoś innego jakieś części do mercedesa, bo ktoś pracował w fabryce mercedesa, przez jakiś czas zdobyły absurdalnie moje biurko niby nowoczesne hakiory; od chłopaka, którego matka pracowała w hotelu, karton z setką śniadaniowych dżemików, i tak dalej.

Dla innych byłem z kolei swój z nadania rzeczy, miałem długie włosy i jechałem stopem, starczyło, o nic nie trzeba było pytać, robili – kiedyś albo nadal – to samo. Byłem jak oni, oni byli jak ja, wspólnota spięta długimi włosami i tą samą muzyką nie potrzebowała wyjaśnień. Pamiętam tę milczącą jazdę i tę noc pod Heidelbergiem: żadnego słowa, żadnego pytania od pierwszej chwili do chwili rozstania. Jazda była długa, zajechali wreszcie pod dom i pokazali, gdzie mam spać, nazajutrz dali jeść – długo pozostawał w pamięci smak chleba na zakwasie – i dalej bez słowa wywieźli na dojazd do autostrady.

Pamiętam dwie noce w jakiejs rozwalonej budzie na górkim odludziu; para, która mnie wzięła, żyła tam sobie cokolwiek poza światem; coś im rośło w ogródku, ale kiepsko, mieli chudą kozę, którą uczyli mnie doić. Też o nic nie pytali, dali wieczorem pod Pink Floydów bardzo mocną trawkę, wydawało mi się po paru machach, że zrozumiałem Plotyna; dziś ledwie pamiętam, kim był.



→ Cała Francja śpiewała wówczas autostopowy przebój Alaina Souchona „Poznali się na drodze”. Mógłbym być eksponatem w muzeum autostopu. Parę dni później wzięła mnie dziewczyna; miała mnie tylko przewieźć przez tunel Mont Blanc, wytrzymała w Polsce ze mną i z Gierkiem półtora roku. Przypomina mi się też noc na rozległej nadrzeznej łasze; koczowało ze mną paru innych stopowiczów z różnych stron; Amerykanka była podobno w Woodstock, wtedy. Próbowaliśmy coś podpytać, może o ten deszcz i błoto po południu, raczej milczała, ogień oświetlał jej włosy *à la* Joan Baez; na szczęście nie śpiewała. Siedzielśmy wszyscy wokół ogniska jak nieznana sobie rodzina, noc była gorąca, od rzeki szedł przyjemny chłód.

Nasi i wasi

Rok po pierwszym wypadzie jechałem już na Zachód sam. Obrosłem nieco w autostopowe piórka, wiedziałem lepiej, co i jak, przestałem się czuć nieswojo. Na niemieckich stacjach benzynowych widziałem takich jak ja, mogłem niekiedy rozpoznać, czy już mają wszystkiego dosyć, czy nie, a nawet czy są wygami, czy debutantami.

Pamiętam młodego Włocha, który poprosił, byśmy jechali razem, bał się. Dziś boją się wszyscy, na zewnątrz i wewnątrz samochodów. Pamiętam parę Portugalczyków, która podeszła do mnie w jakimś schronisku młodzieżowym; przerażała ich swoboda Niemców czy Anglików, ich pewne siebie zachowania, ich głośnie krzyki i rechoty. Dowiedzieli się, że jestem z Polski, więc chcieli podróżować kawałek wspólnie, czuli, że jesteśmy z podobnej geopolitycznej krainy, skazani na wstydlivość i uważność.

Owszem, tkwiły jeszcze we mnie jakieś historyczne i geograficzne fantazmaty, tak śmiesznie obudzone tamtej pierwszej nocy gdzieś pod Hamburgiem. Było choćby miejsce na odruchy solidarności środkowoeuropejskiej, bo wszystkich nas przecież załatwili; Węgrom, Słowakom ścisłało się mocniej łapę niż Hiszpanom.

Któregoś razu wracaliśmy do kraju przez Wiedeń, z innym jeszcze kumplem. Wieźliśmy z Paryża zakazaną literaturę, miałem upchane po kieszeniach malutkie ksero z wierszami Barańczaka i chyba Zagajewskiego, w plecakach na dnie leżało pod gaciami sporo książek „Kultury” paryskiej. Przed węgierską granicą wziął nas Chorwat; uprzedziliśmy go, że lepiej, byśmy granice przeszli pieszo, niech na nas poczeka, machnął ręką. Na granicy dokładnie nas sprawdzali, powyciągali z plecaków książki, próbowali coś zrozumieć, ale polski to jednak nie węgierski. Wreszcie puścili. Chorwat walił jak szalony w klakson z wielkiej radości; no, miły gość. Po chwili wyjaśnił: miał poukrywaną w podsufitce, w oponach i nie wiem, gdzie jeszcze, własną kontrabandę, żywnościową czy używkową, niepolityczną. Nie pamiętam, papierosy, kawa, coś innego w wielu kilogramach na sprzedaż. Na pożegnanie próbował nas orznać, proponując wymianę waluty po jakimś śmiesznym kursie, ale pożegnaliśmy się serdecznie, śmiejąc i obejmując. Nasza Europa, wszystkie chwytły dozwolone, a i tak raz jeszcze oszukaliśmy komunę.

Pęd, oczekiwanie i kres

To była jednak tylko powierzchnia rzeczy; pozwalała coś mówić o sobie na zewnątrz, identyfikować się w oczach innych. Pod spodem było jedno: niewstrzymany pęd. Przez jakiś czas łudziłem się jakąś celowością podróży, nie mogłem wyzbyć się mieszczańskich klisz, że jedzie się gdzieś po to, by coś zobaczyć, zwiedzić, takie muzeum, i taki zamek, i takie niesamowite jezioro w górach. Ale przed zaśnięciem, i to przez niemało lat, nie powracał pod powieki ani żaden obraz z muzeum, ani wieże średniowiecznej twierdzy; widziałem natomiast samochody i ich kierowców, których liczyłem jak owce nasenne, po kolei, od pierwszego, który mnie zabrał, po ostatniego; była szansa, że sen przyjdzie w połowie stawki. Korowody ludzi i maszyn, i miejsc, w których stałem w oczekiwaniu.

Oczekiwanie przestało mi przeszkadzać, dwie godziny czy cztery, czy pół dnia choćby, nie miało to już większego znaczenia, to był czysty czas, ożywczy, wyrwany z ciągłości, bo po co jakaś ciągłość. Rano wyskakiwałem, czasem z rowu, czasem z łóżka, i głos mówił: jedź dalej. Choć tyle tu jest rzeczy, które warto zobaczyć; choć zmierzałeś do tego historycznego miasta przez cztery dni, zarywając noce. Jedź dalej, a jak dojedziesz, to się nie zatrzymuj.

Zachód stawał się w coraz mniejszym stopniu tą drugą zakazaną stroną, pełną swych niepowtarzalnych i niedostępnych szczególności, a coraz bardziej wymoszczoną przez niekończące się szosy przestrzeni bez właściwości, poza tą jedną: był otwarty i nieprzynależny. Dawało się tu dyla, aby nie przynależeć do niczego, nawet do własnych przyzwyczajęń; przeobrazić się, jak tylko się da. Daleko od rodziny, daleko od ojczystych dziejów, daleko od czasu, który mnie ukształtował, w jakimś sensie daleko od siebie samego. Tych dziewięć godzin spędzonych kiedyś na szosie pod Chamonix jak uboga nirwana; było mi właściwie wszystko jedno, czy ktoś się zatrzyma, czy nie; trwałem i to starczyło.

Jakieś 15 lat później autostop dobiegł w Europie kresu. Istnieje nadal, oczywiście, na mniejszą skalę – właśnie podwoziłem Włocha, który w Norwegii na Przylądku Północnym chciał świętować swoje dwudzieste urodziny, i czułem, że zostawiam przy drodze sobowtóra siebie sprzed lat – ale w świecie pełnej kontroli „demokratycznej” (od kamer po wykrywacze metalu) i imperatywu pełnego bezpieczeństwa i zabezpieczenia, to już jest autostop po historii autostopu. Poststop. Częściowo rozmieniony na drobne i skuteczne, na bla-bla-cary, łapanie się przez internet; wówczas nawet nagabywanie ludzi na stacjach benzynowych wydawało mi się niehonorowe, gdyż godziło w etos autostopu, czyli w wolną wolę i apetyt na nieznane.

Zapewne to odejście autostopu mówi o czymś więcej; dla socjologów to chyba niezły temat, opowiada coś o przemianach cywilizacyjnych. O mirażu szczególnej wspólnoty duchowej – czym ona była, na czym polegała? – która pozwalała mi (no, niekiedy) spać pod czyjś dachem i jeść czyjś chleb. Już jej nie ma, na jej miejsce przyszedł strach, niekończący się strach.

© MAREK BIEŃCZYK

Modric dziennikarstwa

Poświęcony zakończonemu w niedzielę mundialowi specjalny serwis „TP” cieszył się ogromnym zainteresowaniem.

Oto kilka wybranych głosów na temat tekstów głównego autora serwisu, Michała Okońskiego, twórcy książki i bloga „Futbol jest okrutny”:

~Bartłomiej Stachnik:

Czytanie pisanych przez Okońskiego tekstów jest dla mnie niezwykle przyjemnością. Wiele z nich pozostawia po sobie nieopisywalną chwilę uniesienia. Tak jakby poza warstwą tekstu i jego sensu, zapisane w nich było coś metafizycznego. Z wykorzystaniem jednego z artykułów udało mi się podczas mistrzostw pokazać kilku „niefutbolowym” przyjaciołom piłkę nożną od zupełnie nieznanej im dotąd perspektywy. Dla mnie Michał Okoński jest Modriciem polskiego dziennikarstwa sportowego.

~Beata: Właśnie przeczytałam tekst „Kto nie dotknął piłki ni razu”. Jestem oczarowana – jako osoba, która dotychczas chłodnym sercem traktowała to, co z mundialem i futbolem związane.

~Radosław Nawrot: Och, jakie to jest dobre! Napisane, nie wykrzyczane. Z użyciem języka, a nie wulgaryzmów. Dziennikarstwo, a nie wpis. Z horyzontami znacznie szerszymi niż boisko.

~Tomasz Adam: Kolejny powód, by smuć się po zakończonych MŚ

– koniec z codziennymi tekstami p. Michała.

Teksty z mundialowego serwisu „TP” do przeczytania na powszech.net/mundial2018

W sprawie przyszłości Instytutu Teatralnego

W związku z zapowiadającym przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego zamiarem ogłoszenia konkursu na stanowisko dyrektora Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego wyrażamy zdecydowane poparcie dla obecnej dyrektorki Doroty Buchwald i kształtu prowadzonej przez nią instytucji.

Instytut Teatralny służy całemu środowisku teatralnemu, jest instytucją otwartą, przyjazną i różnorodną. To niezwykle istotne dla polskiego teatru miejsce, w którym dba się o jego pamięć, rozwijając najbardziej kompleksowy i nowoczesny system dokumentacji życia teatralnego w Europie, ale także stawia się najważniejsze pytania o przyszłość tej sztuki w jej estetycznym, społecznym i instytucjonalnym kształcie. Od lat Instytut stanowi centrum debaty o polskim teatrze i jego ośrodek życia intelektualnego. To tu powstała i rozwinęła się odnowiona idea pedagogiki teatralnej, tu stworzone zostały największy portal teatralny e-teatr.pl i innowacyjna elektroniczna Encyklopedia Teatru Polskiego, tu zainicjowano wiele fundamentalnych projek-

tów badawczych i publikacji. Lista osiągnięć Instytutu jest bardzo długa, są na niej liczne inicjatywy naukowe, popularyzatorskie i artystyczne, a także od lat prowadzone ogólnopolskie programy służące promocji teatru i jego większej dostępności. Rozwijany tu dialog wokół teatru i jego spraw jest przy tym otwarty na różne środowiska, głosy i poglądy – i otwarcie to, podobnie jak wyjątkowe połączenie profesjonalizmu i przyjaznej bliskości, są niewątpliwymi zasługami Doroty Buchwald. Jako współinicjatorka Instytutu, współtworząca jego kształt od początku działalności, wielokrotnie dowiodła, że potrafi łączyć różne środowiska, postawy i poglądy; jest nie tylko merytorycznie, ale także osobowościowo uosobieniem autorskiej idei Instytutu jako miejsca otwartego, stanowiącego platformę współpracy całego środowiska. Rozmawiając o przyszłości Instytutu Teatralnego, trzeba bowiem pamiętać, że – jak żadna inna tego typu ekspercka, centralna instytucja – powstał on w wyniku oddolnej inicjatywy, dzięki staraniom i determinacji środowiska, w odpowiedzi na potrzeby zdefiniowane przez ludzi teatru, a zarazem od początku wiele z podejmowanych tu działań miało charakter autorski – było i jest efektem determinacji i pasji tworzącego Instytut zespołu. Zachowanie autonomii

i charakteru tej wyjątkowej instytucji jest postulatem środowiska teatralnego i ludzi kultury – wszystkich, którzy sygnują ten list. Dorota Buchwald gwarantuje realizację tego postulatu. Dlatego z całą mocą popieramy jej starania o możliwość kontynuacji pracy na rzecz polskiego teatru w roli szefowej Instytutu Teatralnego. List można podpisywać, pisząc na popieramit@gmail.com

Sprostowanie

W artykule Kajetana Prochyry „Popioły i diament” („TP” 29/2018), poświęconym wydanej właśnie płycie z niepublikowanymi dotąd nagraniami Johna Coltrane’a, autor wspomina „siedmiośladowy magnetofon Coltrane’a”. Jak się domyślam, tak autor przetłumaczył 7” *Tape Reels*, o których mowa w książeczce dołączonej do albumu. Chodzi tu o siedmiośladowe szpule z taśmą magnetofonową. Siedmiośladowy magnetofon byłby w roku 1963 (wtedy powstały nagrania z płyty) techniczną sensacją. Dla porównania: w tymże roku Beatlesi zarejestrowali „I Want to Hold Your Hand”, i była to ich pierwsza piosenka, do której użyto sprzętu czterośladowego, wcześniej wystarczyłyby dwie. Dopiero w 1968 r., nagrywając „Białe album”, muzycy i ekipa techniczna posłużyli się aparaturą ośmiośladową.

ADAM POPRAWA

TP Strona Świata

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Jordania, Azerbejdżan, Indie, Izrael, Malesja, Liban, Afganistan, Pakistan, Zimbabwe – o tych miejscach tylko w ciągu ostatniego miesiąca pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



GRAZYNA MAKARA

ANNA

Dziewit-Meller: *Pasztety do boju*



TO BYŁ BARDZO DZIWNY SEN, BO TA DZIEWCZYNA właściwie nie miała mi się prawa przyśnić. Po raz ostatni przecież na żywo widziałam ją ponad 15 lat temu i to w przelocie, podczas krótkiej wspólnej jazdy autobusem, i było to nasze pierwsze spotkanie od czasu ukończenia szkoły podstawowej, wielkiej osiedlowej tysiąclatki, do której razem chodziliśmy. Ledwo ją wtedy rozpoznałam, bo zmieniła się niesamowicie. To zresztą ona zawołała pierwsza w moją stronę: „Hej, poznajesz mnie?”. „No, z trudem”. Pamiętałam ją jako wychudzoną, bladą, ubraną w niezbyt ładne ciuchy dziewczynkę pełniącą w naszej klasie rolę ofiary. Tej, z którą nikt nie chce siedzieć w ławce, bawić się na przerwach ani w ogóle gadać. Tej, której się dokucza z każdego powodu. Śmiało się z jej psa, rachitycznego trzęsącego się ratlerka, z jej piórnika, z jej zabawek, nawet jeśli zdarzyło się, że przyniosła coś nowego, coś fajnego, czym żadne z nas – dzieci niemal jednakowo niespecjalnie zamożnych – nie pogardziłoby. Gdyby nie należało do niej. Bo jak do niej, to wiadomo było, że syf. Taka niepisana umowa. No i teraz przyśniła mi się. We śnie znów miała 10 lat.

Nie wiem, dlaczego właśnie ona została klasową ofiarą, przecież nie różniła się aż tak bardzo od większości z nas. Wtedy wszyscy byliśmy do siebie znacznie bardziej podobni, niż dziś podobne są do siebie dzieci. Ktoś ją kiedyś na ofiarę wybrał, a myśmy na to zgodnie przystali. Nauczyciele nie reagowali, rodzice nie mieli pojęcia, a ona walczyła z nami o siebie przez 8 długich lat.

Nie muszę chyba nawet pisać, jak wstydzę się tego, że stałam nieraz po stronie milczącego tłumu i nie broniłam jej przed tą śmiesznością, której w sobie przecież wcale nie miała. Po latach – w tym autobusie – spotkałam wysoką, silną i piękną dziewczynę,

która jechała na zajęcia na uniwersytecie, czyli tam, gdzie żadne z dawnych kolegów nie spodziewałoby się jej spotkać.

Możliwe, że przyśniła mi się dlatego, że przeczytałam książkę francuskiej pisarki Clémentine Beauvais „Pasztety do boju”, poświęć dla młodzieży, która kazała mi myśleć intensywnie o tym, jak łatwo jest zostać ofiarą i ile mocy w sobie trzeba mieć, żeby jak owa koleżanka strząsnąć z barków takich beznadziejnych ludzi, jakimi byliśmy my, i pójść przed siebie swoją drogą.

Beauvais napisała książkę o trzech dziewczynkach będących u progu okresu dojrzewania, którym podobni ówczesnym nam kretyni w facebookowym głosowaniu przyznali tytuły Pasztetów – czyli oficjalnie najbrzydszych dziewczyn w szkole. Dzień jak co dzień dla setek tysięcy dzieci na całym świecie – gnębionych ze względu na swój kolor skóry, wagę, zainteresowania, stopień zamożności rodziców, pochodzenie lub, jak ta moja koleżanka z klasy, bez jakichś specjalnych powodów. Dziewczynki z książki Beauvais jednak – inaczej niż większość ofiar, które nie znajdują w sobie stosownej siły – decydują, że przejmą od swoich gnębieli ich narrację, tylko odwracając jej wektory. Pasztety, o których postanawiają powiedzieć światu własnym głosem, stają się ich marką, ironicznym zawołaniem, a wreszcie – sposobem na to, by zarobić pieniądze na wspólną wyprawę do Paryża. Dziewczynki bowiem jadą przez francuską prowincję na rowerach, prowadząc obwoźny handel tym tłustym przysmakiem, a towarzyszy im zainteresowanie mediów i publiczności, rosnące wprost proporcjonalnie do liczby przebytych przez nie kilometrów.

Clémentine Beauvais, bawiąc niedawno w Polsce na spotkaniach z czytelnikami, mówiła o francuskiej obsesji szczupłości, która daje się we znaki nastolatkom, a także o swoim dorastaniu i zmaganiach ze zmieniającym się nagle ciałem, które staje się obce i niezrozumiałe. To częściowo z jej własnych doświadczeń zbudowane są trzy bohaterki „Pasztetów”, ale sukces książki we Francji wynika pewnie również z tego, że takich doświadczeń każdy ma w zanadrzu choć trochę. Ja zaś piszę o tym wszystkim po to, by polecić Państwu tę książkę, może zechcecie podsunąć ją swoim dzieciom, uczniom, bratankom oraz samym sobie. Spojrzenie we własną przeszłość nie zawsze jest przyjemne, ale daje na przykład taką możliwość, którą ja dziś chętnie wykorzystam: Aniu z mojej klasy, przepraszam Cię za wszystko, co zrobiłam, a może nawet bardziej za to, czego zrobić nie umiałam. Może mi kiedyś wybaczysz. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl